

Thomas Eloy Martinez

Lot królowej

Tytuł oryginału EL VUELO DE LA REINA

Dla Mercedes Casanovas, za cierpliwość podczas tego lotu. Dla Gabrieli Esquivady, która nauczyła mnie latać od nowa.

... życie jest parodystyczne i brak mu interpretacji.

Toteż olów parodiuje złoto.

Powietrze parodiuje wodę.

Mózg parodiuje równik.

Kopulacja parodiuje zbrodnię.

Georges Bataille *Słoneczny odbył*

Zbrodniarz nie tworzy piękna: on sam jest pięknem w stanie czystym.

Jean-Paul Sartre *Saint Genet, comédien et martyr* Przełożył Bogdan Banasiak.

Można powiedzieć, że pycha jest królową pszczoł wszystkich grzechów i wad.

Dennis Helming *Encyclopedia of Catholic Doctrine*

1

O koło jedenastej, jak każdego wieczoru, Camargo rozchyła zasłony w swoim mieszkaniu na ulicy Reconquista, ustawia krzesło metr od okna, żeby chronił go panujący tu półmrok, i czeka, aż kobieta zjawi się w polu widzenia. Czasami widzi ją w oknie, jak przemyka niczym podmuch wiatru i znika w łazience albo w kuchni. Jednak kobieta najbardziej lubi stawać przed lustrem i powolutku się rozbierać. Wtedy Camargo może się jej przyglądać do woli. Wiele lat temu, na rewii w Osace widział, jak japońska tancerka zdejmuje ceremonialne kimono i staje zupełnie naga. Kobieta z naprzeciwka ma w sobie tę samą elegancję i powtarza te same gesty pozorowanego zdumienia, tyle że jej ruchy wydają się jeszcze bardziej zmysłowe. Pochyla głowę, jak gdyby szukając zagubionego wspomnienia, a potem przesuwając po skórze poniżej piersi opuszkami palców i delikatnie je oblizuje. Żeby nie przegapić żadnego szczegółu, Camargo obserwuje ją przez teleskop Bushnell, siedemdziesiąt siedem centymetrów, zainstalowany na trój nożnym statywie.

Mieszkanie, w którym właśnie przebywa, wynajął dziesięć dni temu, bo okna wychodzą prosto na okna sypialni kobiety, jak gdyby były ich lustrzanym odbiciem. Ona pojawia się zawsze o tej samej godzinie. To ułatwia obserwację. Nikt nie uznałby jej za piękność. Ma cienkie i być może za wąskie usta, nos nieco zadarty, z okrągłym, wydatnym czubkiem, wystający, nieco wyzywający podbródek. Kiedy się śmieje, tak wysoko podnosi górną wargę, że odsłania dziąsła. Ma grube kostki, a na łydkach rysują się jej mięśnie jak u piłkarza. Zbyt małe piersi, które potrafią jednak falować jak meduza. Gdyby minęli się na ulicy, być może nie zwróciłby na nią uwagi. Ale jej postać, zwłaszcza kiedy stoi ujęta w ramy okna, promieniuje jakąś kocią niezależnością, nienaruszalną obojętnością, ma w sobie coś nieuchwytnego, co stawiają daleko poza czymkolwiek zasięgiem.

W niedzielę kobieta do późna jeździ konno i wraca do mieszkania w stroju jeździeckim. Dłuższą chwilę walczy z butami, a kiedy w końcu udaje jej się uwolnić drobne stopy, Camargo zalewa niewysłowione szczęście, bo gdy ona odchodzi od lustra, należy już tylko do niego. Okoliczne budynki świecą pustkami, mogłaby tam umrzeć i nikt by się nie dowiedział, a jeśli by on na chwilę spuścił ją z oka, zostałaby zupełnie sama w oceanie świata. Podczas tych długich godzin Camargo w ogóle nie oddala się od teleskopu, obserwując delikatne zakłócenia jej oddechu i drżenie mięśni. Pod względem pozostałych rytuałów niedziele niczym nie różnią się od innych dni: ona ściąga bluzkę przez głowę, wacha się pod pachami. Camargo wykorzystuje tę emocjonującą przerwę, by uważnie przyjrzeć się bliźnie widocznej pod jej pępkiem, tuż nad linią włosów łonowych. Z tego, co udało

mu się ustalić, wynika, że to pozostałość po źle przeprowadzonej w dzieciństwie operacji wyrostka. Przynajmniej taką wersję podaje kobieta. Jednak on podejrzewa, że to ślad sekretnej cesarki.

Nocą dwudziestego piątego lipca Camargo zasypia przy dźwiękach sonaty skrzypcowej Cesara Francka, gdy nagle kobieta wchodzi do mieszkania pod koniec scherza, dwadzieścia po jedenastej. Wygląda na niespokojną, zdezorientowaną, nie wie, co ze sobą zrobić. Ma na sobie długi, czarny płaszcz, a pod nim szary kostium. Szybkim, gwałtownym ruchem kładzie płaszcz na łóżku i odwracając się do lustra, odkrywa coś, co najwyraźniej ją zaskakuje. Przez dwie albo trzy minuty ogląda swoje podkrążone oczy, drobne zmarszczki na czole i opuchliznę po ranie na wargach. Temperatura przeszła z jednej skrajności w drugą i ta zmiana porannego zimna w wieczorny upał mogła sprawić, że zrobiło się jej na wardze jakieś pęknięcie. Camargo sięga po teleskop i patrzy, jak ona przesuwając językiem po cienkiej strużce krwi. Rana musi być zatem świeża, ale zdziwienie w oczach kobiety najwyraźniej pochodzi z jakiegoś momentu w przeszłości. Może to dawne skaleczenie, które nagle się odnowiło. Z kobietami po prostu tak jest, Camargo dobrze o tym wie. Wszystko, co przeżyły, pozostaje w nich na zawsze. Przenoszą z miejsca na miejsce to, co im się zdarzyło, i kiedy zbiera się tego za dużo, nagle coś się odsłania i nie są w stanie temu zaradzić. Czasem to jakieś ubranie albo perfumy, kiedy indziej rana, jak ta na ustach kobiety z naprzeciwka. Nie rozbierając się, zapala nocną lampkę przy łóżku i chwytając telefon. Waha się kilka sekund, stuka w przyciski z numerami, a potem odkłada słuchawkę.

W tej chwili jeden z telefonów Camargo zaczyna dzwonić w kieszeni płaszcza. W mieszkaniu na ulicy Reconquista nie ma żadnych aparatów, ale on zawsze nosi przy sobie dwie komórki na wszelki wypadek. Jedna z nich umożliwia mu kontaktowanie się z redaktorami dziennika, kiedy wyjeżdża za miasto albo dzieje się coś niespodziewanego. Drugi zarezerwowany jest wyłącznie dla jego córek i najbliższych osób. Camargo jest ojcem bliźniaczek. Obie mieszkają w Chicago i jedna ma raka. Rozłąka z córkami nie martwi go. Martwi go poczucie, że jego krew cierpi, męczy się i gnije gdzieś daleko i że ta odległa choroba być może także i jego kiedyś dotknie. Ale tym razem dzwoni redaktor z nocnej zmiany. Camargo, rozczarowany, słucha szorstkiego, uległego głosu, podczas gdy kobieta w oknie zdejmując spódnicę i zrywając schyla się do stóp.

- Doktor Camargo? - pyta ostrożnie głos w słuchawce.

- Zaraz - odpowiada. - Muszę ściszyć muzykę.

Kobieta gładzi się po zagłębieniu z tyłu kolana i odwracając do lustra, przygląda się uważnie czemuś, co zwróciło jej uwagę: być może jakaś nowa brodawka albo cień żylaka. Ten gest wprowadza nieoczekiwaną zmianę do zwyczajowej rutyny i Camargo nie chce przegapić najmniejszego ruchu.

- Czy to coś pilnego? - pyta.

Wolną ręką przysuwa do siebie teleskop i obserwuje.

- Mamy tu mały spór o tytuł na pierwszą stronę i chcielibyśmy, żeby pan zdecydował.

- Tym mi głowę zawracasz? Dlaczego nie nauczycie się popełniać błędów na własny rachunek?

Redaktor zaczyna tłumaczyć się nieskładnie. Wczoraj, mówi, uraczyli już czytelników dwoma artykułami o samolotach, a teraz mają jeszcze zdjęcie na cztery kolumny płonącego concorde'a, który spada na przedmieścia Paryża, i wiadomość o tym, że w wypadku zginęło sto trzynaście osób. Może lepiej położyć nacisk na załamanie się rozmów między Palestyńczykami i Izraelem albo dać na trzy kolumny sprawę zamrożenia cen leków do końca roku.

Kobieta wyraźnie czymś zniecierpliwiona zaczyna się poruszać trochę szybciej. Zdejmuje spódnicę i pochyla się, żeby zdjąć gorset. Delikatna krzywizna krocza ukazuje się pod figami. Camargo zawsze się dziwi, że kobieta rozbiera się, w ogóle nie zachowując ostrożności. Pewnie sądzi, że nikt na nią nie patrzy, bo jej mieszkanie znajduje się na uboczu, na ostatnim piętrze. Wie, że naprzeciwko, w budynku, gdzie Camargo wynajmuje lokum, mieszczą się tylko biura, które są zamykane wcześniej. Mimo to wydaje mu się, że powinna być ostrożniejsza.

- Dajcie na górę informację o samolocie. I zdjęcie. Przeczytaj mi tytuł.

- "W Paryżu rozbił się concorde: 113 ofiar". I niżej: "Runął na hotel. Leciał do Nowego Jorku. To pierwszy wypadek ponaddziesięcioletniego samolotu".

- No i o co chodzi? Przecież to ten sam tytuł, na jaki zgodziłem się dwie godziny temu. Jeszcze tego nie wysłaliście do druku? Na co czekacie? Traciecie czas na jakieś głupoty.

Widzi, jak ona kładzie się do łóżka i zapala papierosa. Od kiedy pali? Na pewno ma mnóstwo utajnionych nałogów. Uchyła lekko żaluzje, żeby do środka dostało się trochę zimnego, nocnego powietrza. Hałasy ulicy docierają do mieszkania, zakłócając muzykę: cały korowód autobusów posu-

wa się aleją Corrientes w stronę El Bajo, a z oddali dobiegają nerwowe odgłosy telewizora. Chaos zewnętrznych odgłosów paradoksalnie pozwala mu wsłuchać się w samego siebie: słyszy, jak niewidzące i głuche ślepiea pożądania otwierają się w głębi jego duszy. Pragnienie rozpala się nie za sprawą siły przyciągania kobiety tylko przez inercję nocy, albo muzykę, końcowe, szczytujące allegro kwartetu Cesara Francka. Allegro czasami staje się gwałtowne, a potem melancholijne, jak księżycowy krajobraz: najpierw krater, a potem muzyka powoli rozlewa się po równinie, do czasu aż znowu nabiera wigoru. Cały utwór składa się z sekwencji wstrząsów i westchnień, i nie dziwi go podobieństwo jego modulacji z ostatnią częścią W poszukiwaniu straconego czasu. Kiedy Proust pisał Uwięzioną, piąty tom swojego dzieła, kazał kwartetowi Pouleta grać przez całą noc w kółko. Alcista Amable Massis wspominał wiele lat później, że Proust, ledwie tylko przyszli, położył się do łóżka i kazał podać muzykom szampana i frytki, żeby nie opadli z sił. Partytury rozłożyli na meblach w sypialni o ścianach obitych korkiem, w domu na Boulevard Haussmann, i raz czy dwa podczas wykonywania utworu, Proust podniósł z podłogi jakieś papiery gęsto pokryte pismem, żeby zapisać na nich kilka zdań. "Mogliby panowie zagrać cały kwartet jeszcze ostatni raz?", jak wspomina Massis, Proust powtarzał to donośnym głosem kilka razy tamtej nocy. Proust był ofiarą swoich idées fixes, zostawiał ich ślady, jak tatuaże, po całej książce. Tak naprawdę obsesje tworzą tę książkę, pomyślał Camargo. Świat do niczego by nie doszedł, gdyby nie takie uporczywe myśli, traktowane dosłownie, zwyciężające wszelkie przeciwności.

Kobieta ponownie stanęła przed lustrem w sypialni i teraz porusza głową na boki. Pewnie też słucha muzyki, U2, REM czy któryś z tych zespołów doprowadzających go do szału. Długie i ciemne włosy kobiety, muskające jej ramiona, falują bez wyraźnego kierunku jak chaotyczne morze, a jej bezbronne piersi, przypominające owcze wymiona, naznaczone długimi rozstępami, którym nieraz się przyglądał, celują w górę, w poszukiwaniu świeżego powietrza. Jak takie drobne piersi mogą mieć rozstępy?

Udręki długiego dnia w końcu dopadają Camargo. Szybko zrzuca z siebie całe ubranie, co za ulga, upuszcza na podłogę krawat i nakrochmaloną koszulę ze spinkami w mankietach. Na wieszaku przy wejściu wisi flanelowa marynarka, którą nosi od wczoraj. Może mógłby się wyciągnąć i trochę odpocząć. Nigdy nie zostawał tu na noc, chociaż zdarzało się, że czekał do rana w swoim fotelu obserwacyjnym, nie spuszczać z oka kobiety, a potem, przed pójściem do redakcji, brał prysznic. Woli swoje łóżko po drugiej stronie miasta, w San Isidro, obok rzędów geranium, gdzie od rzeki wieje bryza, to wielkie, martwe łoże, którego już z nikim nie dzieli, a jednak czuje się w nim człowiekiem potężnym, a nie niewidocznym satelitą krążącym wokół okna z naprzeciwka. W anonimowym mieszkaniu, w którym teraz przebywa, ma tylko klasztorną pryczę, bieliznę na zmianę, łazienkę, lodówkę i butelki whisky. Może tu robić, co zechce, bo dozorca budynku na wszystko mu pozwoli, jestem tu na pańskie rozkazy, doktorze Camargo, ale to, czego tak naprawdę by chciał, znajduje się poza obszarem kontrolowanym przez dozorcę, po drugiej stronie ulicy, i nie jest to ciało kobiety, tylko aura, jaką ona emanuje.

Teraz przestała się kołysać i przygląda się sobie w lustrze. Niewielka ranka na wardze znów krwawi. Z profilu, ledwie muśnięta rozproszonym światłem w sypialni, kobieta przypomina noc, jakże dzisiaj zmienną. Mój Boże, ile to nocy zlewa się w jedną noc, ile kobiet w jedną kobietę. Zadziera podbródek w królewskiej pozie i napawa oczy widokiem swojego ciała w lustrze. On też, naprzeciwko, patrzy na siebie. Niespodziewany odbłask księżycowego światła omiata jego ciało i pozwala mu dostrzec swoje odbicie w innym lustrze, tym z pustego pokoju. Jednak to, co pokazuje mu zwierciadło, jest tylko echem jego prawdziwego, w żadnym wypadku nie oddaje prawdy. Mężczyzna nie jest sobą bez swojej przeszłości, bez tej mocy, jaką promieniuje przy innych, bez wzbudzanego w nich szacunku i strachu. Mężczyzna nigdy nie jest prawdziwym sobą w samotności i to odbicie to nie ja, powtarza sobie Camargo. Nie rozpoznaje tego wydatnego brzucha, obojętnego na gimnastykę i diety, ani piersi, które tworzą niewygodną fałdę na jego dumnej klatce piersiowej, ani indyczego podgardla zwisającego mu spod brody. Odbicie w lustrze ma niezgrabne i chude nogi, nieharmonizujące z masywnym tułowiem, i brak mu godności. Jaką godność może mieć w sobie nagie, sześćdziesięcioletnie ciało? To pytanie do innych, nie do niego. Jego wszyscy postrzegają jako człowieka niepokonanego, odpornego na wszelkie choroby i zmęczenie. Wiele razy powtarzały mu kobiety, z którymi szedł do łóżka: jego ciało to nie ciało, to boska siła.

Żaden z nich nie ma nawet bladego pojęcia, że zdradza ich to, jak piszą. Po tym ich poznają: po tym, co mówią. Jestem taki, jak piszę, jestem tym, co piszę. Przechadzając się po pokoju redakcyjnym o dziesiątej rano, Camargo powtarzał półgłosem to powiedzonko, które, według niego, podsumowuje całą mądrość o dziennikarstwie. Zawsze lubił spacerować o tej porze po swoim opustoszałym królestwie, kiedy białe, dziewicze światło padało do środka przez świetliki, wśród pustych biur, nieskażonych monitorów, białych stron czekających na tchnienie inwencji, która nigdy nie nadchodzi. Sprzątaczkę usunęły już wczorajsze dowody zdrady przeciw składni faktów i logice wydarzeń; wszyscy pisali o, dlaczego, jak i po co, podczas gdy on prosił ich, żeby pisali z siebie, żeby to przeżywali, żeby szli tropem prowadzącym do spotkania zewnętrznego świata z wnętrzem każdego z nich, rzeczywistość musi przypominać was, powiedział im, a nie wy rzeczywistość. O ile lepsza byłaby gazeta, gdyby mógł ją pisać sam. O ile lepszy byłby świat, gdyby on go pisał.

W pokoiku w dziale kultury, obok łazienek, młoda dziewczyna pracowała na stojąco przy monitorze i obgryzała paznokcie. Camargo kontemplował z odległości zgrabną sylwetkę, zaokrągloną i kształtną pupę, piersi zaznaczające się pod ciasnym swetrem.

- Popatrz pan na tego newsa - powiedziała dziewczyna, nie podnosząc wzroku znad ekranu. - Któż to umarł. Robert Mitchum. Strasznie bym chciała o tym napisać.

Miała mocny, władczy głos. Koniuszki palców, nabrzmiałe jak winogrona, były mokre od śliny. Camargo wydało się, że go nie rozpoznała. Niewielu dziennikarzy miało okazję się z nim spotkać.

- Jestem Camargo - powiedział.

Przyzwyczał się, że jego nazwisko budzi postrach u wszystkich redaktorów i paraliżuje nowo przyjętych. Dziewczyna przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

- Pan jest Gie eM? - zapytała. - Doktor Camargo? Inaczej sobie pana wyobrażałam.

To był bardzo nierozważny, niegrzeczny komentarz. Wyobrażała sobie? Po co, skoro wszyscy go znają. Niewielu pozwalało sobie na nazywanie go Gie eM i praktycznie nikt nie zastanawiał się nad znaczeniem tych inicjałów. Czas zmienił je po prostu w imię, tak jak stało się to z D.H. Lawrence'em, T.S. Eliotem czy H.A. Mureną, i nawet on nie zastanawiał się nad ich znaczeniem. Pochodziły od świętego czczonego w dniu jego urodzin, Gregorio Magno Pontífice, Grzegorza Wielkiego Papieża, i chociaż w jego dowodzie osobistym figurowały te trzy słowa, udało mu się ostatnie z nich zachować w tajemnicy.

- A ty kto jesteś? - zapytał.

- Przepraszam. Reina Remis. Mam fatalne maniery.

- Ktoś w twoim wieku nie może tak naprawdę wiedzieć, kim był Robert Mitchum. Ile masz lat? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia pięć?

- Trzydzieści. I wiem więcej, niż się panu wydaje.

- No to na co czekasz? Siadaj i pisz o jego śmierci.

- Szefowi działu to się nie spodoba. Może upatrzył sobie kogoś innego do tego tematu.

- Twojemu szefowi spodoba się wszystko, co ja postanowię - powiedział, obracając się do niej plecami.

Ech, Boże, na co mu te zrywy hojności? Otwierać przed innymi miejsca, do których tylko on miał dostęp, to coś, czego dla niego nikt nigdy nie zrobił. Wiele cierpień i nienawiści kosztowało go, by dotrzeć tu, gdzie teraz jest. Dobro i zło: stojąc na szczycie, mógł dawać i odbierać co tylko chciał. Na tym polega władza. Właśnie ofiarował bezczelnej i nietaktownej dziewczynie coś, na co sam miałby ochotę, ale jakie to ma znaczenie? Ciągle mu się to zdarza. Zrezygnował z napisania pożegnalnego tekstu o Mitchumie, który był jego idolem. W 1958 roku, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, zobaczył go w *Nocy myśliwego*. Doskonale pamiętał swoje olśnienie: kino pod gołym niebem, letnie świerszcze grające w drzewach przejmującą litanie, i ta historia, zapierająca dech w piersiach, w której po raz pierwszy odkrył doskonale Zło. Miesiącami dręczyła go obsesyjna myśl, że Zło kryje się we wszystkim i że być może to właśnie ono jest prawdziwym Bogiem tego świata. Albo że Zło jest ułudą, zjawiskiem możliwym tylko dzięki temu, że wszechświat jest nierealny, jak wierzyli Weddowie, albo że Zło jest oczywistym dowodem na to, że Bóg jest tak samo bezsilny jak ludzie. Obejrzał *Noc myśliwego* tylko jeden raz, ale pamiętał każdą scenę, każdą linijkę dialogów, jakby on sam je napisał. Nie znał innego filmu nakręconego z taką swobodą. Obrazy układały się w nim w jakiś nowy język, niczego takiego nie było wcześniej ani w literaturze, ani w kinie, być może czasami u Mallarmego albo dadaistów. Marzeniem jego życia było obudzić się któregoś dnia z go-

tową recenzją Nocy myśliwego na stoliku nocnym, stroną podyktowaną mu przez podświadomość i pełną niepotrzebnych słów, które przypominałyby film. Ciekawiło go, co napisze ta dziewczyna, Remis. Język, jak powtarzał niestrudzenie, to jezioro, w którym odbija się ludzka osobowość..

Wszedł do biura, udając, że nie słyszy powitań. Po przyjściu przynajmniej przez pół godziny nie pozwalał, by mu przeszkadzano. Przeczytał w jednej z książek generała De Gaulle'a, *Le Fil de l'épée*, że wielcy ludzie, wszyscy bez wyjątku, zawsze mają umiejętność zamykania się w sobie. Na górze powietrze jest czyste i nie dochodzą tu odgłosy mogące zakłócić twoje myśli, Camargo, świat musi dalej kręcić się wokół twoich rozmyślań. I również wokół tego, co widzisz, Camargo, bo widzisz wszystko. Jego lenno tworzyło terytorium zamknięte między ścianami z pancernego szkła, groźne niczym akwarium z rekinami, na dwudziestym piętrze wieży wznoszącej się nad aleją Libertador. Tam na dole sypiał Eugene O'Neill, kryjąc się przed niepogodą, a Borges wymyślił ostatnie, banalne zdanie swoich rozważań o pamięci - *Ireneo Funes zmarł w 1889 roku na zapalenie płuc - idąc w stronę domu swoich przyjaciół Adolfa i Silviny na późną kolację*. Cała ta przeszłość należy do ciebie, Camargo, zdanie Borgesa, butelka ginu, z której O'Neill pił w portowych zaułkach razem ze Smittym z Bound East for Cardiff, wybrzeże Urugwaju w oddali*. Choć nie zaprzętał tym sobie głowy, nieruchomy i gęsty nurt Rio de la Plata ciągle tam trwał, obojętny na zniszczenie pustoszące lizane przezeń brzegi. Camargo wymazał tę myśl jednym gestem. Chwycił pilota i spuścił story. W biurze zapanował półmrok. Włączył telewizory i poranne wiadomości zaczęły się powtarzać jak kanon Bacha. Cztery tysiące chińskich żołnierzy maszerowały w stronę granicy z Hongkongiem. Kończyła się stuletnia władza Brytyjczyków. Miliony szkunerów, dżonek i sampanów pływały tam i z powrotem po porcie Victoria na półwyspie Kaulun z banderą Republiki Ludowej. Spiker zachrypniętym głosem oznajmił: "Przeszłość, ech, przeszłość. Czy jest w nas coś, co nie jest przeszłością?" Kamera pokazuje zrekonstruowane ciała morskich gadów sprzed stu siedemdziesięciu milionów lat, których skamieliny znaleziono właśnie w wykopach w Neuquen. Trzech paleontologów ostrożnie i z dumą prezentuje szczątki. Wiadomości niespodziewanie przybierają frywolny ton: meksykańska aktorka o bujnych kształtach, Salma Hayek, wywołała poruszenie w sklepach w Buenos Aires. Przyjechała, żeby przedstawić swój najnowszy film i wciąż podążała za nią tłum namolnych reporterów pytających o uroki miłości od pierwszego wejrzenia. Pokazali zbliżenie na jej nogi. Potem znów wrócili maszerujący żołnierze chińscy. Wtedy zadzwonił telefon. To jego żona.

- Moja matka miała kolejny zawał - powiedziała. - Właśnie dostałam wiadomość, że jest umierająca. Jeszcze dziś wieczorem muszę polecieć do Michigan. Pojadę z dziewczynkami. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, co? Pewnie, że nie masz.

Brenda miała słodką twarz i niewinne oczy sarny. Kiedyś zapuszczała długie włosy, które opadały jej nad szczęki, wydatne jak u Holly Hunter, ale z upływem lat zaczęła je wiązać. Była Amerykanką, z Traverse City, w krainie wielkich jezior, i tak jak wszyscy z jej rodu działała bez namietności, ulegając swojemu instynktowi praktycznemu. Słuchając, jak mówi, nikt nie dałby za nią złamanego grosza, ponieważ jej język był jak symfonia wątpliwości, ale przy Camargo zmieniała głos, który wtedy zaczynał się składać z samych pewników. Teraz jej matka była umierająca: to znaczy, że Brenda traciła ostatnią więź łączącą ją z tym światem, nie licząc bliźniaczek. Ile to już lat jej matka stoi u progu śmierci? Trudno zliczyć: od kiedy Camargo ją poznał, przygotowywała się do odejścia na tamten świat w tym swoim domiszczu pełnym nieużywanego od wieków sprzętu wędkarskiego, na brzegu jeziora Torch. I były tam też te jej ptaki. Setki ptaków: kosy, drozdy, sroki i kardynały, które śpiewały przez cały dzień, potęgując przygnębienie matki, żeby jeszcze trochę zbliżyć ją do śmierci. I w końcu przyszła ta chwila.

Czy tym razem naprawdę umrze? Na ciemnym niebie nie można było odczytać żadnego znaku: wciąż tylko te fałszywe zawały i fałszywe alarmy. Miałby ochotę powiedzieć Brendzie, żeby dała matce spokój. Jest tam szczęśliwa, sama wśród ptaków. Ale ostatecznie powiedział:

- Cóż, w końcu twoja matka dostanie to, o czym od dawna marzy.

- Tak? Wydaje ci się, że ona chce umrzeć? A może sądzisz, że powtarzała to tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę? Lekarz mi powiedział, że ona się trzęsie ze strachu. Poprzyczepiali do

* * Jorge Luis Borges (1899-1986), słynny argentyński pisarz, autor m. in. opowiadania *Pamiętliwy Funes*, z którego pochodzi cytat (przel. Stanisław Zembrzusi). Borges przyjaźnił się z Adolfem Bioy Casaresem i jego żoną Silvina Ocampo, także pisarzami. Wspólnie tworzyli trzon tzw. grupy literackiej Sur.

Eugene O'Neill (1888-1953), amerykański dramaturg, laureat literackiej Nagrody Nobla. W 1910. zupełnie jeszcze nieznany, uciekł przed ojcem i ciężarną żoną do Buenos Aires, gdzie przeżył dziewięć miesięcy, nocując jak bezdomny w porcie (przyp. tłum.).

biedaczki pełno rur, nie może wydobyć głosu i na migi daje do zrozumienia, że chce zobaczyć swoje wnuczki. Zabieram je ze sobą, Camargo. Nie wiem, kiedy wrócimy.

- Tygodnie. Ludzie czasami umierają przez tygodnie.

Usłyszał, że Brenda stara się zdławić rodzący się szloch, ale nie dała rady. Łkała coraz intensywniej.

- Bóg sprawi, że tak nie będzie. Jeśli musi umrzeć, niech to się stanie szybko. Wystawię na sprzedaż dom, meble, porcelanę, wędki. Kto kupi takie stare, samotne rzeczy? Dziewczynki powiedziały, że jeśli babcia umrze, otworzą wszystkie klatki i wypuszczą ptaki. Ty też mógłbyś przyjechać. Mógłbyś wpaść na jakiś weekend i wrócić. W końcu nie byłby to pierwszy raz.

- Co to za pomysł, Brenda? Przecież podróż trwa dwadzieścia godzin. Chicago, Traverse City. Nie mogę teraz zostawić gazety.

Za każdym razem, kiedy rozmawiał z żoną, Camargo nie potrafił opanować najgorszych uczuć. Przez pierwsze lata małżeństwa, zawsze gdy byli razem, czuł w sobie takie ciepło. Teraz było na odwrót: nachodziła go przemożna ochota, żeby zrobić jej krzywdę. Chciał widzieć, jak cierpi, jak chodzi boso po twardych grudach, jak błaga, grzebie w śmieciach. Kiedy mu odpowiadała, jej głos zawsze brzmiał słodko:

- W takim razie odprowadź nas jutro na lotnisko. Bliźniaczki chciałyby cię pocałować na pożegnanie.

- Zobaczę. To zależy od tego, co się zdarzy w senacie. O której macie samolot?

- O wpół do dziewiątej.

- Anie, to niemożliwe. Później do nich zadzwonię. Teraz muszę kończyć.

- Dobrze. Czyli się nie zobaczymy

- Nie. Nie damy rady. Szczęśliwej podróży, Brenda, okej?

Z ulgą odłożył słuchawkę. Znowu będzie miał dom dla siebie. Od kilku lat zdarzało mu się to często, ale te okresy były tak krótkie, że nie miał czasu się zrelaksować. Żona i bliźniaczki założyły trio: fortepian, skrzypce i wiolonczela, i różne wydziały kultury władz prowincjonalnych, zachęcane ich pokrewieństwem z Camargo, zapraszały je na koncerty, z których wracały ze słodyczami domowej produkcji, partyturami lokalnych muzyków i tandetnymi pamiątkami. Brenda wychowała się w kwakerskiej szkole w Kalamazoo i wciąż mówiła po hiszpańsku z trudem, nie potrafiła wyzwolić się z tej nienasyconej ciekawości, jaką odczuwają niektórzy anglojęzyczni w stosunku do kultur biednych krajów - czy też tego, co ona uważała za kulturę biedy - i nigdy nie nauczyła się rozróżniać autentycznego talentu od nędznej imitacji. Grała na fortepianie z pewną wprawą i zanim jeszcze bliźniaczki nauczyły się czytać, zmusiła je do lekcji muzyki. W przydomowym ogrodzie, nad stromym brzegiem rzeki Camargo kazał postawić domek z izolacją dźwiękową, żeby miały gdzie ćwiczyć, i stopniowo wszystkie trzy opuściły go dla Beethovena, Alkana i Gabriela Faurego. Mimo że ściany domku wyłożono szczelnym materiałem, Camargo za każdym razem, gdy wchodził do domu, słyszał pogłos strun. Psuły mu zachody słońca, przejrzyste powietrze, na zawsze wymazywały mu z pamięci te wszystkie Beethoveny, które czyniły go szczęśliwym w różnych teatrach świata.

Kiedy już kogoś nie kochasz, przestaje ci się podobać wszystko, co robi, i Brenda, za którą mężczyźni wciąż się oglądali, nie poruszała w Camargo żadnej struny. Pierwsze symptomy zniechęcenia pojawiły się pewnego ranka dwanaście lat temu. Bliźniaczki uczyły się chodzić i nocami płakały na zmianę. Brenda dostała nagłego ataku hysterii i dwie żyły tak jej nabrzmiały, że ułożyły się w literę V na czole. Możliwe, że miała już coś takiego wcześniej, ale Camargo zauważył to pierwszy raz. Nagle przestał rozumieć, dlaczego się z nią ożenił ani co robili tam razem, we wspólnym łóżku, z dwiema córkami, które nie dawały im spać. Następnego dnia irytowały go też jej ziewnięcia, zapach skóry kojarzący się ze zsiadłym mlekiem, pantofle z króliczego futra, w których przygotowywała śniadanie. Brenda stała się czymś, co przydarzyło się człowiekowi, którym on już nie był. Ale separacja byłaby jeszcze bardziej kłopotliwa niż życie takie jak dotąd. Wcale nie stałby się bardziej wolny.

Wracaj do rzeczywistości, Camargo, rzeczywistość wraca. Zresztą czy ty kiedykolwiek uciekasz od rzeczywistości? Jedna z sekretarek weszła na palcach i przypomniała mu, przestraszona, że o dwunastej zaczyna się pogrzeb senatora Valentiego na cmentarzu Recoleta. Czy mamy zadzwonić po szofera, proszę pana? W gazecie prawie wszyscy ulegali tej przeklętej manii zwracania się do niego w liczbie mnogiej. Tak, proszę go wezwać, tak.

Poprzedniej nocy widział długi rząd mnichów w mieście z przeszłości, o którym zawsze śnił. Lubił po nim spacerować, bo dobrze się w nim orientował, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżał gdzie indziej. Mosty, pasáže, podupadłe ryneczki unoszące się na wielkich słonych jeziorach, zegary zawsze wskazujące tę samą godzinę: miasto bez drzew i bez końca, z brudnym słońcem i nocami jasnymi jak dni. Przy ulicach w centrum otwierano piwnice będące - Camargo o tym wiedział - hotelami, komórkami oświetlonymi przez świece z gęstego wosku. Do jednego z tych hoteli wchodzili mnisi. Widział ich tysiące, księżyc opadał nad horyzontem miasta jak piłka, a on biegł wśród iskielek światła, żeby umieścić go z powrotem na miejscu. Mnisi śpiewali po cichu i ich pomruk nie dawał mu spokoju. Pchał księżyc przez drewniany most, kiedy zbudził go dźwięk komórki - dzwonił z gazety. Było wpół do trzeciej albo trzecia. Brenda spała obok na łóżku, na plecach, z twarzą pokrytą obrzydliwym kremem z migdałów. Jeszcze nie wiedziała, że po drugiej stronie globu jej matka zaczyna umierać, jeszcze nie zdawałaś sobie sprawy, Camargo, co umrze tej nocy. Komórka nie ustępowała. Chwilę mu zajęło, zanim rozpoznał głos redaktora z nocnej zmiany, osłabionego zmęczeniem.

- Stało się coś poważnego, proszę pana - powiedział. - Wydrukowaliśmy już połowę nakładu, kiedy dowiedzieliśmy się, że senator Valenti się zabił. - I co pan zrobił?

- To, co, jak myśleliśmy, zrobiłby pan. Wstrzymałem druk. Jeszcze zdążymy dać tę wiadomość na pierwszą stronę gazet, które trafią do kiosków w stolicy.

- Valenti, powiedział pan? Jak to się stało?

- Wdowa znalazła go klęczącego przy łóżku, strzelił sobie w usta. Nie zostawił żadnego listu. Tak mówią.

Wreszcie ktoś zdobył się na honorowy gest. Argentyna była przeżarta chorobą do szpiku kości. Tyle że jedna śmierć nie zmieni biegu rzeczy.

- No to napisz to tak: że zabił się, strzelając sobie w usta, bez wyjaśnienia dlaczego.

- To dość mocne, nie sądzi pan?

- Przecież tak było, prawda? Niech pan pisze, jak było. Gdzie będzie czuwanie przy zwłokach?

- W ogóle nie będzie. Wdowa się sprzeciwiła. Chce, żeby go jak najszybciej pochowali, w południe, jeśli to możliwe.

Przez chwilę przewracał się w łóżku z boku na bok, aż wreszcie postanowił wstać. Hałasował trochę, żeby Brenda się zbudziła i zaparzyła mu kawę, chociaż wiedział, że nie będzie skłonna niczego dla niego robić. Wyszedł na korytarz, wszedł do gabinetu i włączył telewizor. Bezmyślnie przełączał kanały informacyjne, szukając jakichś obrazów pokazujących samobójstwo: może jakaś karetka przez domem Valentiego, poruszeni sąsiedzi. Niczego nie było, same sceny z walk w Gazie i na Bałkanach.

Tak jak powiedziała sekretarka, pogrzeb zaczął się o dwunastej, a za pięć dwunasta cały kondukt był już na cmentarzu. W powietrzu utrzymywała się straszliwa wilgoć. Marmury pokrywały się mchem i wydawało się, że bardziej grobowo jest na zewnątrz niż w mogiłach. Oprócz jego dziennika nikt nie napisał o samobójstwie. Rozgłosnie radiowe wspominały o fackie mimochodem, bez podawania żadnych szczegółów, co wydało się bardzo dziwne. Wyglądało to tak, jakby wszyscy chcieli przejść nad tą śmiercią do porządku dziennego, jakby nic się nie stało. Powściągliwość ta tłumaczyła, dlaczego tak niewiele osób przyszło na pogrzeb. Niewiele, ale za to znanych: prezydent republiki i jego ochroniarze, najbardziej skumani z rządem sędziowie, jacyś koledzy zmarłego. Na trumnie nie leżał nawet jeden kwiat. Nikt nie zdecydował się na wygłoszenie przemówienia. Jeden z adiutantów przyprowadził skądś głuchego księdza, który wydawał się nie rozumieć, dlaczego tu jest, i szybko odmówił modlitwy.

"Biedny Valenti - powiedział na głos prezydent. - Jaka niesprawiedliwość spotkała tego człowieka". Postawił sobie kołnierz płaszczka i obojętnie odwzajemniał uściski i pozdrowienia, puste spojrzenie, jakby był sam. Ożywił się tylko, kiedy podszedł do niego Camargo. Chwycił go pod ramię i zaprowadził na stronę: "Ach, doktorze Camargo - westchnął - bardzo się cieszę, że pan przyszedł! Niech pan zrobi, co w pańskiej mocy, żeby nie rozgłaszano w pana gazecie tych oszczerstw, które zniszczyły Valentiego. Biedak nie może się już bronić". Camargo irytowało, kiedy pouczano go, co ma robić, a czego nie, i natychmiast się usztwywił. Ugryzł się w język, ale nie zdołał ukryć lodowatego, niechętnego i zdystansowanego tonu: "Rozgłaszano? Ja niczego takiego nie robię. Jeśli coś publikuję, to dlatego, że mogę to udowodnić, panie prezydencie. I zachowuję się tak samo w stosunku do zmarłych i żyjących. Jeden sędzia powiedział wczoraj, że Valenti jest odpowiedzialny za

przemyt broni. Jak pan może oczekiwać, że nie opublikuję czegoś takiego?" "Sędzia, sędzia, i co z tego? - upierał się prezydent. - Valentiego osądza teraz Bóg". Gestem ręki przywołał adiutanta i obrócił się do Camargo plecami. Był niski, chuderlawy i maskował swój starczy wiek szczupłością. Kosmyki sztucznych, czarnych włosów zasłaniały plamy łysiny na czubku głowy. Dzięki chirurgii plastycznej z daleka prezentował się całkiem dziarsko, ale z bliska przypominał ludzika z ciasta.

Wiatr miotał po ziemi rozmokłymi niedopałkami papierosów. Przy bramie cmentarza Camargo zatrzymał się przed potężną tablicą, na której goście wpisywali swoje nazwiska jako dowód, że przyszedł na pogrzeb. Kątem oka dostrzegł, że Enzo Maestro zmierza w jego stronę, i udał, że nic nie zauważył. Enzo nie uczestniczył w ceremonii. Czego chciał? W 1982 roku pracowali w gazecie przy sąsiadujących biurkach i praktykowali nieczęsty rytuał wspólnych lunchów, co dla Camargo stanowiło najbliższy odpowiednik przyjaźni, ale teraz Maestro stał się pieskiem na służbie prezydenta, prywatnym sekretarzem, dlatego Camargo rozmawiał z nim tylko wtedy, kiedy naprawdę nie miał innego wyjścia.

- Od chwili, gdy zadzwonili do mnie z wiadomością o tym samobójstwie, nie zmrużyłem oka - powiedział Maestro. Był poruszony i pocił się. - Gdyby mnie mieli wsadzić do więzienia, też bym się zastrzelił.

Camargo uśmiechnął się i powiedział:

- Ja nie. Trzeba czuć się bardzo winnym, żeby popełnić samobójstwo.

Przeszedł przez cmentarną bramę i zrobił kilka kroków w stronę wysokich eukaliptusów rosnących przy wejściu. Na zewnątrz życie kipiało energią. Słońce radośnie wynurzało się spomiędzy chmur, rozjaśniając ludzkie nastroje. Uparty Maestro szedł w ślad za nim.

- Widziałeś, że prezydent jest nie w humorze, Camargo? Złe wiadomości spadają na niego jedna po drugiej. Myślisz, że przy tym wszystkim kraj może wyjść z dołka? Kiedy sprawy idą dobrze, narzekamy, że nie poszły lepiej. To, co zrobili biednemu Valentemu, bardzo mnie zraniło.

- Nikt mu niczego nie zrobił, Enzo. Sam sobie to wszystko zrobił. Pozwolił się sfilmować w trakcie odbierania łapówki za przemyt. Nie miał już szans.

- Takich jak on może być wielu i żadnemu nic się nie dzieje.

Niespodzianie powtórzył się ten przeklęty skurcz. Spłynął w dół jak smagnięcie biczem, mięśniami poniżej biodra, i zgął Camargo w pół. Ten sam ból, co miesiąc i rok temu, podczas podróży do Davos. Pojawiał się i znikał. Ale kiedy był, Camargo stawał się inwalidą. Maestro podtrzymał go upokarzająco mocno.

- To nic, Enzo, to nic. Wydawało mi się, że skręciłem kostkę. Już w porządku, dzięki. W porządku.

Szli w stronę La Biela, naprzeciwko cmentarza. Szofer zaparkował mercedesa na rogu, ale Camargo gestem dał mu do zrozumienia, żeby poczekał. Knajpa była pełna ludzi. Kiedy weszli, zwinął się stolik przy oknie i Camargo osunął się na krzesło.

- Przydałoby ci się pochodzić na siłownię - powiedział Maestro. - Popatrz na mnie. Dzięki rowrowi, saunie i masażom schudłem dziesięć kilo w dwa miesiące. Ani się obejrzysz i jesteś jak nowy.

Dwóch senatorów, którzy uczestniczyli w pogrzebie, zauważyło Camargo przez drzwi lokalu i zaczęło się zbliżać do stolika. Camargo uniósł rękę i nie patrząc na nich, dał do zrozumienia, żeby mu nie przeszkadzali.

- Jesteś straszny, Camargo - powiedział Maestro. - Teraz rozumiem, dlaczego otaczają cię same lizusy i nie masz ani jednego przyjaciela, który mówiłby ci to, co myśli.

Enzo zawsze zachowywał się z taką lepkością, jak kaznodzieja, a kiedy mówił, sprawiał wrażenie, że prosi o przebaczenie.

- To dlatego, że zaczynam się upodabniać do twojego szefa, jak cały kraj. Nie zamierzam podawać ręki tym złodziejom, Enzo. Nie mogę. Brzydzę się.

- W takim razie mnie też nie podawaj. Jadę na tym samym wózku.

- Ty nie. Ty jesteś figurantem. Skończysz tak samo źle jak oni, tyle że biedny jak mysz kościelna. Historia z Valentim to dopiero początek.

- Tak sądzisz? Tu nie ma początku i końca. W tym kraju zawsze wygląda na to, że zaraz zdarzy się coś strasznego, ale nic się nie dzieje. Wszystko będzie po staremu, zobaczysz.

- Jeśli by to zależało ode mnie: nie. Moja gazeta nie wierzy w ani jedno słowo twojego szefa. Mojej gazety nie można zastraszyć ani kupić.

Maestro pochylił się i powiedział cicho, wyraźnie akcentując sylaby:

- Chcesz, żeby zapanował chaos? Chcesz, żeby wszyscy się zabili jak Valenti? Nie jesteś Bogiem.

- Nie ma Boga, Enzo. I to jest najgorsze. Nie ma żadnego Boga.

Wrócił do redakcji w fatalnym humorze. Zadzwoił do szefów działów, żeby natychmiast zebrali się w jego biurze, ale żaden nie wrócił jeszcze z przerwy na lunch. Kazał sekretarkom, żeby ich namierzyły, dzwoniąc na komórki. Gówniany dzień. Skurecz wciąż trzymał w biodrze. Najlepiej byłoby pójść do lekarza, ale nie teraz. Teraz trzeba szykować się na prywatną wojnę. Senator Valenti wynegocjował sprzedaż ładunku broni Kostaryce i Panamie, które ich nie potrzebowały, bo nie miały wojska. Nie ulega wątpliwości, że zanim broń dotarła do miejsca przeznaczenia, została przesłana gdzie indziej. Jedna z senackich komisji zaaprobowала tę transakcję i ostatecznie dekret został podpisany przez prezydenta, choć nie opublikowano go w żadnym biuletynie pod pozorem ochrony bezpieczeństwa kraju. Valentiego sfilmowano w trakcie negocjowania z przedstawicielem nieokreślonego kraju - mogła to być Chorwacja, Albania albo Serbia - przelew szesnastu milionów dolarów na jeden z jego rachunków w Luksemburgu. Taśma wideo trafiła do rąk jednego z senatorów opozycji. Przez kilka miesięcy prasa snuła spekulacje, czy Valenti działał w imieniu jakiejś wyższej władzy i czy nie podzielił się częścią łapówki z innymi senatorami. Największa kwota mogła trafić do kieszeni prezydenta, ale tego nie można było nawet zasugerować. W końcu jeden z sędziów, ryzykując życie, oznajmił, że Valenti dopuścił się nielegalnych działań i nakazał go aresztować. Camargo zamierzał teraz sprawdzić, czy samobójstwo było autentyczne, czy przypadkiem prezydent nie kazał go zabić, żeby nie sypnął.

Łatwo teraz o tym opowiadać, bo wszyscy wiedzą, co się wydarzyło, ale w 1997 roku panowało takie zamieszanie, że ludzie nie zwracali uwagi na takie rzeczy i uznawali je za przesadę zadziornej prasy. Dwóch dziennikarzy otrzymało anonimowe listy z nazwiskami sześciu senatorów współpracowników oraz sumami oscylującymi między dwustoma tysiącami a pół miliona dolarów, które być może oznaczały wysokość łapówek. Sam Camargo dostał kopertę z nadrukiem senatu oraz pieczętką "poufne", w której znajdował się arkusz papieru z czternastoma numerami. Od początku podejrzewał, że to kody różnych kont bankowych i wysłał je korespondentowi w Nowym Jorku, żeby jakiś tamtejszy ekspert spróbował to rozszyfrować, co jednak się nie udało. Cały dział polityki z zapalem badał sprawę, podpytując portierów i senatorskich sekretarzy, żeby wyciągnąć, o czym rozmawia się w kluarach. Kilka dni wcześniej Camargo, ulegając swojej błyskawicznej intuicji, obdzwoił innych redaktorów naczelnych dzienników w Panamie, Limie, Montevideo i Sao Paulo z prośbą o pomoc w śledztwie. Nie wierzył, żeby się od nich mógł wiele dowiedzieć, ale nie chciał zaniechać żadnego możliwego tropu.

Redaktorzy wrócili z lunchu bez żadnych nowin o samobójstwie Valentiego. Wszystkie źródła milczały, bracia zmarłego nie odbierali telefonów i nikt nie miał najmniejszego pojęcia o pożegnaniach, o ile taki w ogóle istniał. Stracili energię i wyczerpanie tą walką odbijało się na ich twarzach.

Camargo odepchnął się do tyłu na swoim fotelu i wyłożył nogi na biurko: była to jego ulubiona poza, kiedy rozmyślał. Potrzebował nowej strategii w śledztwie. Albo szczęśliwego zbiegu okoliczności. A może by tak poszukać człowieka, który nakręcił ten film? Wideo trafiło do rąk opozycyjnego senatora w kopercie bez nadawcy, a agenci wywiadu nie zdołali wytropić sprawcy. Być może w ambasadzie Stanów Zjednoczonych coś wiedziano, ale jeśli taśma pochodziła stamtąd - jak podejrzewał Camargo - nikt nie puści pary z gęby. Redaktorzy robili pośpieszne zapiski w swoich notatnikach, a telewizory za ich plecami powtarzały te same historie: żołnierze Chińskiej Republiki Ludowej wkraczający do Hongkongu, tyłek Salmy Hayek, barykada z opon na drodze numer 9 tarasująca dojazd do miasta Salta.

Camargo poderwał się na dźwięk dzwonka telefonu. Zakazał łączenia jakichkolwiek rozmów. Jeśli to żona, sekretarki drogo za to zapłacą. "To z Sao Paulo", powiedziano mu. Rozpoznał powolny i poważny głos Antonia Pimenta Nevesa, naczelnego "Gazeta Mercantil", którego wszyscy określali samym nazwiskiem, tak jak jego. Camargo wciąż mówił z akcentem z Tucuman, swojej prowincji. Podobnie Pimenta wymawiał "r" trochę z angielska, jak na wsi.

- Jak się nazywa najstarszy syn twojego prezydenta? - zapytał Pimenta doskonałą hiszpańszczyzną.

- Juan Manuel cośtam - odpowiedział Camargo. Zasłonił głośnik i zapytał swoich redaktorów. - Juan Manuel Facundo.

- Jeśli urodził się w 1975, to ten sam.

- Jak to, ten sam?

- Ten chłopak ma u nas firmę eksportowo-importową, która nazywa się Rosa de los Libres. To przykrywką do prania pieniędzy. Trzy dni temu wpłacił siedem milionów dolarów w imieniu firmy do filii pewnego singapurskiego banku. Wczoraj chciał przelać pięć milionów do innego banku, w Urugwaju, ale operacja się przedłużyła. Wczoraj wieczorem imprezował i wydał małą fortunę. Co ty na to?

- Perełka - ucieszył się Camargo. - Domyślam się, że numer rachunku jest utajniony.

- Nie - odpowiedział Pimenta. - Mam kopię potwierdzenia przelewu i zdjęcia z orgietki. Posiadam też spis zarządu firmy: chłopak jest prezesem, dwóch kuzynów zastępcami, jeden z wujów od strony matki zarządcą. Wyślę ci to wszystko przez Internet.

- Napiszecie o tym w "Gazecie"?

- Oczywiście, jutro. Ale nie tak wielkimi czcionkami jak wy.

- Jestem ci dłużny kolację w Sao Paulo albo w Buenos Aires.

- Jesteś mi dłużny dużo więcej.

Camargo kazał redaktorom zrezygnować ze zdjęć. Nie chciał niskich zagrań, które przyćmiłyby rewelacje o depozycie bankowym. Trzech reporterów popędziło zweryfikować doniesienia Pimenty Nevesy. I chociaż nie było szans, żeby prezydent osobiście zajął stanowisko w tej sprawie, to jego rzecznicy będą musieli zareagować. Kiedy dotarły pierwsze materiały z Brazylii, Camargo przekonał się, że informacja jest nie do podważenia: dostali nie tylko czek z dziecięcym podpisem Juana Manuela Facundo, stan konta, polecenie przelewu do Urugwaju i wymowne zdjęcia z orgii, lecz również kilka ujęć chłopaka zrobionych przez kamery w banku, podczas gdy ten przeprowadzał transakcje w gabinecie kierownika. Lada moment zadzwoni Enzo Maestro, żeby powstrzymać tę lawinę. Wywiesi białą flagę przed szóstą, prorokował Camargo.

Stało się to chwilę później. O szóstej piętnaście usłyszał w telefonie szorstki i wrogi głos:

- Czy wy nie macie skrupułów? Spiskujecie przeciwko demokracji, pchacie się w rodzinne sprawy prezydenta. Rząd oczekuje zdrowej krytyki, a nie brukowego dziennikarstwa.

Camargo, trzymający w rękę wszystkie asy, nie tracił spokoju.

- Kwestia przymiotników - powiedział. - Nie ma zdrowej krytyki. Jest tylko krytyka czysta i brudna. Nasza jest tak klarowna, że to ci się nawet może wydać obraźliwe, Maestro. Na każde słowo, które opublikujemy, mamy dowody i świadków.

- Lepiej, żebyś miał rację. Robisz prezydentowi straszną przykrość. Kiedy mu o tym powiedziałem, oczy nabiegły mu łzami. Jak go znam, a znam bardzo dobrze, on pozwie cię do sądu za oszczerstwa, Camargo. Jest wściekły.

- Gdybym był jego przyjacielem, odradzałbym mu to.

- Nie jesteś jego przyjacielem, bo nie chcesz. Jak ci nie wstyd publikować te wszystkie okropności, o których opowiedzieli mi twoi dziennikarze?

- Nie opublikuję wszystkiego, co wiem, Maestro. Tylko część. Przekaż swojemu szefowi, żeby nie zmuszał mnie do rozgłaszania najgorszego.

- Grozisz mu? Czyli chcesz wojny.

- Nie chcę ani wojny, ani pokoju. Nie mam nawet intencji czynienia sprawiedliwości. Nie jestem aż tak ambitny. Chcę tylko, żeby ludzie wiedzieli to, co ja już wiem: że w Buenos Aires czuć zgnilizną.

Poczuł ulgę. Nagle przypomniało mu się, że nie pożegnał się z bliźniaczkami, i poprosił sekretarki, żeby go połączyły - w ten sposób nie natknie się na zrzędlawy głos Brendy. Co to za życie, ciągle na telefonie? Czy kiedykolwiek zdoła zanurzyć się w szczęściu i pechu? Na biurku piętrzył się szaleńczy stos papierów i makiet, ale wokół ramki ze zdjęciem córek zawsze była oaza porządku. Prawie ich nie widywał, kiedy uczyły się chodzić, mówić, czytać. Prawie ich nie widywał, a mimo to były jego jedyną miłością. Martwił się o słabszą z nich, Angelę, którą kilka tygodni temu zmogła uporczywa gorączka i uporczywy ból kości. Nagle stała się melancholijna i milcząca. I tak brzmiał jej głos w telefonie, głos nieszczęśliwej dziewczyny. Miała trzynaście lat, a wyglądała na dziesięć. "Przyjedziesz do Michigan?" - zapytała. Nie miał serca powiedzieć, że nie.

Około siódmej, w porze największego zamieszania, na ekranie pojawił się materiał o Mitchumie. Zupełnie o nim zapominał. Nigdy nie czytywał tego rodzaju informacji, a tym bardziej w tak burzliwe dni jak ten, ale przed wyjściem na pogrzeb kazał sobie pokazać tekst i teraz czuł niezręczną, jak-

by proroczą ciekawość. Ta dziewczyna, taka eteryczna i ziemską zarazem. Zdziwiło go, że potrafi przypomnieć sobie jej kształty, a twarzy nie: była jak sylwetka zjawy odbitej w lustrze.

Pierwsze akapity były w porządku i następowały po sobie z taką naturalnością, że czytelnik mimowolnie wciągał się w lekturę. Miała wycucie języka, jakiego brakowało pewniejszym sobie i lepiej opłacanym dziennikarzom. Zaczynała od wspomnienia dzieciństwa Mitchuma w Bridgeport, bez rodziców, wymieniała następnie ekstrawaganckie zawody, jakich imal się w młodości - ochroniarz w kabarecie, menedżer astrologów - i kilkoma trafnymi zdaniem opisywała siedem wstydliwych tygodni w więzieniu w Los Angeles za palenie marihuany, niedługo po tym, jak nominowano go do Oscara. Mitchuma zawsze intrygowało zagadnienie Zła, pisała Reina. Był kalwinistą poszukującym odrażających postaci, jak te z *Przylądka strachu* czy *Krzyżowego ognia*, chciał pokazać, że Bóg nie byłby w stanie zbawić najbardziej zatwardziałyłch grzeszników. Następnie Reina poświęcała kilka niepewnych linijek w środku tekstu na omówienie *Nocy myśliwego*, w której zmarły zademontrował wszechstronność swojej sztuki aktorskiej. Camargo czytał to z niepokojem. Te linijki potwierdziły jego przeczucia.

Zdaniem Reiny, Mitchum w trakcie kręcenia filmu czytał niektóre z gnostyckich ewangelii. Z siedmiu ocenzonej historii pochodzących od Walentynian, odkrytych w 1943 roku przez archeologów Bickela i Von Holsta, dowiedział się, że Maria, dziewicza i młodziutka córka Joachima i Anny, wydała na świat nie jednego syna, ale dwóch. Bliźniaki nazwano Jezus i Szymon. Obydwaj wiedli podobne życie, nauczając w Galilei i Syrii; obydwu ukrzyżowano w różnych miastach, pod zarzutem konspirowania przeciw władzy Rzymu i obydwaj zmartwychwstali trzeciego dnia. Ale tylko jeden z nich był synem Bożym.

Dragi okazał się oszustem, który popadł w srogi grzech pychy i udawał boskość, choć jej nie dostąpił. Jego cudowne i równoczesne zmartwychwstanie zakłopotalo wyznawców obydwu braci. Waletynianie twierdzili, że bliźniak Boga - albo raczej syna Boga - był demonem.

Mitchum, pisała Reina, chciał zilustrować tę ideę, pokazując w słynnej scenie z *Nocy myśliwego* palce jednej ręki, na której wytatuowano słowa *Love i Hate*, Miłość i Nienawiść, krzyżując je, by zilustrować odwieczną walkę między dobrem a złem. Camargo wiedział, że ta informacja jest fałszywa: gnostycy zainspirowali nie Mitchuma- człowieka niezbyt czytane go - ale Charlesa Laughтона, reżysera filmu. Tak czy inaczej, dygresja była nie na miejscu i nie zamierzał jej drukować. Camargo nie obchodziło, czy Jezus miał brata bliźniaka, czy siostrę, czy troje rodzeństwa. Nikt już nie jest w stanie zmienić kierunku, w jakim potoczyła się historia ludzkości. A poza tym w czasie otwartej wojny z prezydentem nie pora na tworzenie nowego frontu i zadzieranie z biskupami, którzy tę niewinną prowokację od razu nazwaliby bluźnierstwem.

Przez kilka sekund wahał się, czy zwolnić Reinę, czy wezwać ją do biura i żądać wyjaśnień, dlaczego dodała tę zupełnie nie na miejscu informację. Dziewczyna ciekawiła go intelektualnie. W kilka minut mógłby ją lepiej poznać. Zadzwoił na numer wewnętrzny do Sicardiego, szefa kadr, i poprosił o teczkę osobową. Nie, nie Remise, powtórzył. Remis. Reina Remis. Sicardiemu ufał bezgranicznie. Był to mężczyzna przysadzisty, miał wielki nos naznaczony siateczką naczyń włoskowatych. Jego raporty były zawsze uporządkowane, staranne, żadnego zbędnego słowa.

- Tu mamy wszystkie jej dane, proszę pana - powiedział Sicardi. - Telefon, adres, imiona i nazwiska oraz zawody rodziców, wiek, ukończone studia, listę poprzednich miejsc pracy. W tym ostatnim punkcie nie ma niczego ciekawego. Sześć miesięcy jako asystentka w bibliotece w Androgué i następne sześć jako reporterka w dziale "Nieruchomości" w "Crónica Mercantil". W obydwu wypadkach zrezygnowała, żeby kontynuować studia.

Mówił, stojąc z pochyloną lekko głową. Nigdy nie ośmieliłby się usiąść w obecności Camargo.

- Kto ją nam polecił?

- Sama się zgłosiła. Miała najlepsze wyniki z sześciorga studentów, którzy byli u nas na stażu w zeszłym roku.

- Co skończyła?

- Ma magisterium z komunikacji, proszę pana. Średnia 9,86.

- Ile, mówiłeś', ma lat? - Nie jest już młoda. W listopadzie skończy trzydzieści jeden.

- Czyli jest mężatką?

- Z tego, co tu mamy, wynika, że nie. Panna.

- Przeczytaj mi wyniki badań lekarskich.

- Krew i mocz, proszę pana. W porządku.

- Tylko to? Chcę pełne badania. Chcę wiedzieć, czy ludzie, których pan przyjmuje, mają albo mieli choroby weneryczne, wszy, zapalenie płuc, nieregularne miesiączki, zepsute zęby, kiepskie migdałki, czy kobiety są w ciąży albo kiedykolwiek były. Kobietom nie można wierzyć, Sicardi.

- Oczywiście, proszę pana. Nigdy nie wiadomo. Nie robimy kompletnych badań ze względów oszczędnościowych. Kompletnie badanie sporo kosztuje.

- Nie pytałem, ile to kosztuje. Proszę je zlecić. I powiedz tej Remis, żeby do mnie przyszła. Proszę zostawić teczkę.

Telewizory powielają mityczną twarz Che Guevary na ścianie szpitala w Vallegrande. Czy znaleziono już ciało? Zadzwoił do redaktora działu zagranicznego, żeby to sprawdził. Nie, wykopano kość udową w pobliżu lotniska, ale należała do jakiejś kulawej kobiety. Poważni dziennikarze musieli przedzierać się przez gąszcz fałszywych wersji powtarzanych przez rozgłośnie radiowe i kanały telewizyjne desperacko poszukujące sensacji.

W gazetowym żargonie "teczką" nazywano komplet informacji zebranych przez Sicardiego na temat każdego dziennikarza. Były tam zapisy przesłuchań przeprowadzonych przez niego samego przed przyjęciem pracownika. Znajdowały się tam też numery telefonów, brudnopisy listów wyrzuczone do kosza, deklaracje, w których pojawiało się nazwisko delikwenta, kopie dokumentów potwierdzających przynależność do partii politycznych albo klubów piłkarskich. Doteczki Reiny Remis dołączono też kilka zdjęć: jej rodzice, starszy brat, bratanice, muzyk rockowy - były narzeczone. Camargo przejrzał to wszystko z uwagą i zaciekawieniem, jak gdyby trzymał miniaturową osobę na dłoni. Cóż za banalne życie: nigdy nie przydarzyło jej się nic ważnego. Kursy angielskiego na poziomie podstawowym, matura w szkole prowadzonej przez zakonnice, kilka podróży do Rio i Sao Paulo, autobusem, poza tym do Meksyku z plecakiem. Ojciec był mechanikiem samochodowym w Adroque, właścicielem warsztatu. Przetrwiał wszystkie kryzysy gospodarcze w Argentynie i, zdaniem Sicardiego, nie narzekał. Lubił konne przejażdżki i Reina jeździła z nim w weekendy do klubu jeździeckiego. W 1995 roku przeprowadziła się z domu rodzinnego w Adroque do dwupokojowej klatki na ulicy Humberto Primo w Buenos Aires. Oczywiście to ojciec płacił jej rachunki, ale Remis chciała czuć się niezależna, żyć jak dorosła, zdobyć sławę, publikować w prasie.

Po tej stronie rzeki panowała teraz cisza. Nad wodą ciemność nabierała fioletowego odcienia. Zapisy Sicardiego były tak precyzyjne, tak celne, że przywracały wiarę w ludzką inteligencję.

Na biurku piętrzyły się krótkie notki podrzucane przez sekretarki. Wiadomości od reporterów, informacje ze świata. Póki on nie wzywał, nikt nie ośmielał się wejść do jego sanktuarium.

"MV powiedział w wiadomościach na ATC, że śmierć Valentiego była przypadkowa, nie samobójcza: taka będzie wersja oficjalna. Bierzemy to?"

"Pod naciskami rządowymi singapurski bank zaprzeczy autentyczności czeku wystawionego przez Juana Manuela w Sao Paulo".

"W przedpokoju czeka panna Remis. Mówi, że Pan po nią posłał".

"Wdowa po Valentim wyjeżdża z kraju. Jest już na lotnisku Ezeiza, ma bilet na pierwszą klasę do Chicago. Dostała ochronę: czterech twardziel! z wywiadu". To ten sam lot, którym lecą Brenda i bliźniaczki, też pierwsza klasa. Może będą ze sobą rozmawiać przed snem. Będę musiał zadzwonić do Brendy rano i wypytać szczegółowo, co tamta robiła i mówiła podczas podróży, zrobi się z tego smakowitą notę).

- Proszę wprowadzić Remis - nakazał Camargo.

Ubrana była w te same wyblakłe rzeczy co wczoraj: sweter z wywijanym kołnierzem i zbyt ciasne dzinsy. Camargo wskazał jej krzesło przy biurku i obrócił wzrok w stronę telewizorów.

- Chwileczkę - powiedział. - Chcę to zobaczyć.

Ekrany pokazywały zdjęcie Shoko Asahary, niewidomego proroka sekty Najwyższa Prawda, która w 1995 roku wpuściła trujący gaz do metra w Tokio. Obraz, bez dźwięku, był przerażający.

- Mitchum - podjął wątek Camargo. - Wezwałem cię w związku z tym, co napisałaś o Mitchumie.

- Czy coś jest nie tak? - Dziewczyna przyjęła pozycję obronną. - Sporo się nad tym napracowałam. Zweryfikowałam wszystkie dane.

- Nie wszystkie. Mitchum nie czytywał gnostyckich tekstów. To Laughton.

- Charles Laughton?

Kiedy to mówiła, krew napłynęła jej do twarzy.

- Reżyser filmu. W tamtych czasach aktorzy praktycznie nie mogli improwizować. Rok 1955. Nie masz bladego pojęcia, jak wtedy wyglądało Hollywood.

- W takim razie pomyliłam się - przyznała dziewczyna. Ale nie przeprosiła.

- Twoje imię, Reina, czyli królowa, skąd pochodzi?

- Od babki ze strony matki. Była Brazylijką. Nazywała się Regina Maria da Gloria. Mało brakowało, a nazwaliby mnie Reina Isabel. Na szczęście w porę się opamiętali.

- Naprawdę sądzisz, że Jezus miał brata bliźniaka?

- A bo ja wiem? Nie mam pojęcia. Wszystko jest możliwe. Ledwie się orientuję, kim byli Walentynianie. Źle to zrozumiałam, mówiłam już.

- Muszę wyrzucić te akapity, Reina. Nasz dziennik nigdy nie zamieszcza tak długich wspomnień o zmarłych.

- Ale dlaczego właśnie te? To najlepsze z całego tekstu. Jeśli pan chce, poprawię to i napiszę, że to był pomysł Laughtona.

- Nie. Dziś mamy trudny dzień. Nie wezwałem cię po to, żeby dyskutować.

- W takim razie mogę odejść?

Blask telewizyjnych ekranów podkreślał jej sylwetkę, tak jak chciał ją zobaczyć Camargo. Odgađywał, że pod tymi dzinsami kryją się mocne uda, dostrzegał wypukłość piersi, delikatne włoski na ramionach. Wyglądało to tak, jakby jej sylwetka była akwarium, w którym unosi się jej trudno uchwytnie ciało. I ten jej zwyczaj swobodnego żonglowania słowami: tego się nie spodziewał. Nie wiedział, że kobieca inteligencja może być tak zwinna jak ryba.

- Byłem kiedyś krytykiem filmowym, Reino. Przeczytałem dziesiątki tekstów o Mitchumie. Twój nie jest zły, ale prawie wszystko z tego, co napisałaś, nikogo nie obchodzi. Ludzie kupują gazety, żeby w dwie minuty dowiedzieć się, co słychać. Nie chcą tracić czasu na szczegóły. Z tym motywem bliźniaczych Mesjaszów trochę cię poniosło.

- To nie tak, to nie tak. Jeśli pan chce, możemy kiedyś o tym porozmawiać. W jakiś dzień nie tak trudny jak ten.

- Był trudny. Ale już nie jest. Teraz jestem głodny. Możemy kontynuować temat podczas kolacji.

- Gdzieś na mieście?

- Oczywiście. Gdziekolwiek, nieważne gdzie, gdzieś daleko stąd.

- Proszę zobaczyć, jak ja wyglądam. Wolałabym się doprowadzić do porządku i umówić, gdzie pan zechce. O której?

- O dziesiątej. Zostaw telefon sekretarkom. Dadzą ci potem znać, w jakiej restauracji.

Twarz Reiny nie zdradzała żadnych emocji. Jej wielkie, czarne oczy otwały się szeroko, ale były puste jak oczy krowy, która przez kilka dni jechała w półmroku wagonu i nagle dotarła na nieznane pola.

Z wyjątkiem chwil, w których dopadały go te bóle w biodrze, tak jak dziś rano, Camargo czuł się młodo. Nie miał wrazenia, żeby jego ciało było elastyczniejsze, kiedy grywał w piłkę na uniwersytecie i chociaż jego mięśnie zwiótzały i osłabły, wciąż lubił prezentować na plaży swoje bicepsy i wypiętą pierś. Wyciągnął z biurka cygaro marki Cohiba, odpakował je i zapalił. Ogarnęło go poczucie szczęścia, że jest sobą. Wciąż był młody i jedna kobieta to dla niego za mało. Potrzebował takiej kobiety, co starczyłaby za sto, całych stad czułych kobiet, ogrzewających go jak wiosenne słońce, słonecznych kobiet, których nigdy nie zaćmi noc.

Kiedy przynieśli mu tekst na pierwszą stronę, poprawił go od niechcienia. Nie wahał się z wyborem głównego tytułu. Proste: *Syn prezydenta zdeponował fortunę w brazylijskim banku*. Tytuł prowokujący, tak jak przeczuwał Maestro. Dla kogoś, kto uważał siedem milionów za fortunę, brzmiało to poważnie i przekonująco. Tych kilka słów okaże się bez wątpienia nitką całego kłębaka korupcji: przemyt broni, powody samobójstwa Valentiego, walizki napchane pieniędzmi, które prezydent odbierał za pośrednictwem lotniska Ezeiza, powiązania z handlarzami narkotyków w Kolumbii, wrzody na biednej ojczyźnie. Zawsze miałeś rację, Camargo, to twój najważniejszy powód do dumy: nie myliłeś się, kiedy wszyscy inni się mylili. Przypomniała mu się piosenka z lat sześćdziesiątych: "Uniknąłeś błędów i czujesz się / uratowany. Ale popełniłeś największy z błędów, / jakim jest niepopelnianie ich". To jego nie dotyczy i nigdy nie będzie: błędy się go nie imaly. Nazajutrz może zdarzyć się wszystko i on na wszystko był przygotowany. Na wszystko z wyjątkiem tego, co faktycznie się zdarzyło.

BRAZYLIJSKA NAMIĘTNOŚĆ

W niedzielę 20 sierpnia o wpół do pierwszej w nocy Antonio Marcos Pimenta Neves (63) postrzelił śmiertelnie Sandrę Gomide (32). Oboje pracowali w redakcji tego samego dziennika i przez trzy lata byli kochankami. Od kilku miesięcy Sandra zamierzała przerwać ten romans, ale ogarnięty obsesją Pimenta, chory z rozpaczy i żalu, nie pozwalał jej na to. Sądził, że zakochała się w młodszym mężczyźnie i chcąc ją przyłapać, otwierał jej prywatne e-maile, oślepiiony zazdrością śledził ją po ulicach, rozbijając się samochodem, a nocą czaił się w zacienionych miejscach pod jej domem, niczym James Stewart w *Oknie na podwórze*.

Ujęta w ten sposób, zbrodnia ta nie wydaje się szczególnie oryginalna. W rzeczywistości jest inaczej. Pimenta Neves był jednym z najpotężniejszych dziennikarzy w Brazylii. Człowiekiem spokojnym, poważnym i stonowanym, o którym nikt nie powiedziałby, że jest zdolny do gwałtownej namiętności. Pod koniec lat pięćdziesiątych pracował jako krytyk filmowy w dzienniku "Ultima Hora"; potem, w latach dyktatury wojskowej, jako szef redakcji "Folha de Sao Paulo" i naczelny "Folha da Tarde". Jego żona urodziła się w Stanach Zjednoczonych i w 1974 roku przeprowadził się z nią do Waszyngtonu jako korespondent kilku gazet. Stał się tam znany za sprawą swojej wyniosłości i niepohamowanej dumy. Pewnego razu, podczas lunchu wydanego dla zagranicznej prasy przez Partię Republikańską, jeden z jej członków skomentował mimochodem, że dziennikarze południowoamerykańscy zawsze podróżują i jedzą na cudzy koszt. Pimenta Neves w milczeniu wstał od stołu i zapłacił za wszystkich rachunek, który wynosił siedemset osiemdziesiąt dolarów. Potem wrócił i cisnął nim w twarz człowiekowi, który tak go obraził. Jednym gestem wydał połowę swojej miesięcznej pensji.

W połowie lat osiemdziesiątych został mianowany pełnomocnikiem od *public relations* Banku Światowego, a w 1995 roku, po rozstaniu z żoną i dwiema córkami bliźniaczkami, wrócił do Sao Paulo, żeby objąć stanowisko redaktora naczelnego "Gazeta Mercantil", najbardziej prestiżowego periodyku ekonomicznego w Brazylii. W październiku roku 1997 został mianowany na takie samo stanowisko w "O Estado de Sao Paulo".

Jego charakter stał się wówczas dużo trudniejszy. Samotność lub władza - lub może połączenie tych dwóch elementów - uczyniły z niego człowieka despotycznego i zarozumiałego. Uważał, że wszystko jest możliwe i że jemu niczego nie można odmówić.

Gdzieś w 1997 roku zakochał się w Sandrze Gomide, redaktorze z działu "Firma i Biznes" w "Gazeta Mercantil"; kiedy przeszedł do "O Estado" zabrał ją ze sobą. W ciągu kilku miesięcy Sandra awansowała w zawrotnym tempie. Jej pensja dziennikarki od spraw specjalnych, tysiąc dolarów, wzrosła niemal pięciokrotnie. Była kobietą zwracającą na siebie uwagę, zmysłową oraz najwyraźniej nie mniej wyniosłą niż Pimenta. Od dzieciństwa nazywano ją Bambi ze względu na ostrożne i wdzięczne ruchy przypominające ruchy łani. Skończyła studia podyplomowe w Instytucie Badawczym w Sao Paulo, a jej artykuły na temat fuzji brazylijskich firm lotniczych cytowano na początku roku w całej krajowej prasie.

Relacje między nią i jej protektorem musiały zacząć się psuć, bo już kilka miesięcy temu na zebraniu redakcyjnym w "O Estado" Pimenta narzekał, że Sandra zaniedbuje pracę, i oznajmił, że poprosił ją o złożenie rezygnacji. W redakcji widziano go, jak szpera w prywatnej poczcie w komputerze Sandry i czyta listy od pewnego biznesmena z Ekwadoru, w którym - jak prawdopodobnie błędnie sądził Pimenta - dziewczyna była zakochana. Wówczas zaczął ją prześladować: obdzwonił wszystkich szefów środków masowego przekazu w Sao Paulo i w Rio de Janeiro, prosząc ich, żeby nie zatrudniali Sandry, gdyby szukała u nich pracy. Oskarżył ją o przyjmowanie łapówek od jednej z firm lotniczych i okłamywanie przełożonych.

Historia ta nie różni się wiele od innych, znanych z fikcji, jak opowieść o Carmen z powieści pod takim samym tytułem autorstwa Prospera Merimeego czy Loli-Loli albo Róży z *Błękitnego anioła* Heinricha Manna. Jednak zbrodnie popełniane w Brazylii rodzą się z bardziej złożonych namiętności. Czasami prowokuje je miłość własna albo urażona duma, chociaż najczęstszym powodem bywa chęć posiadania.

Przykładów nie brakuje, a niektóre z nich pozostają żywe w ludzkiej pamięci, na przykład niezapomniana zbrodnia pisarza Euclidesa da Cunha, autora klasycznego dzieła Os Sertdos, który praco-

wał jako korespondent w tym samym dzienniku, "O Estado", relacjonując przebieg rewolty w Canudos, opisaną w jego książce*.

W styczniu 1906 roku, da Cunha był członkiem Brazylijskiej Akademii, Generalnym Nadzorcą Robót Publicznych i jedną z najznakomitszych osób w kraju. Po powrocie z czternastomiesięcznej podróży po Amazonii zastał swoją żonę Annę, którą nazywał Saninha, w ciąży. Zamiast ją wypędzić, postanowił adoptować dziecko. Po roku urodziło się kolejne, które nie było jego, ale on również zaakceptował je bez problemu. Zareagował dopiero, gdy w sierpniu 1909 roku Saninha wyprowadziła się z ich domu i zamieszkała z wojskowym, Dilermando Candido de Assis (21), który prawdopodobnie był ojcem dwojga dzieci.

Da Cunha, który przymknął oczy na zdradę, nie mógł się pogodzić z porzuceniem. Stawił się w domu rywala i wystrzeliwszy z pistoletu w powietrze, wymierzył w serce Saninhy. Dilermando, mistrz kraju wstrzelaniu do celu, uprzedził go i powalił celnym strzałem w pierś. Śmierć da Cunha stała się narodową tragedią i cała Brazylia na trzy dni pogrążyła się w publicznej żałobie.

Pimenta także nie chciał pogodzić się z porzuceniem. Pojawiał się w mieszkaniu Sary o różnych porach dnia i nocy, pod różnymi pretekstami i kilkakrotnie uderzył ją w twarz. Sandra doniosła na niego policji, oskarżając o "nachodzenie w domu i agresywne zachowanie", ale nic z tego nie wyniknęło. Policja uznała, że chodzi o zwykłe sprzeczki między wpływowym mężczyzną i jego ukochaną.

20 sierpnia o świcie Pimenta przyjechał do stadniny Setti, jakieś siedemdziesiąt kilometrów na zachód od Sao Paulo, gdzie często odreagowywał stres, jeżdżąc konno. Tam też trzymała swoje konie rodzina Sandry. Wiedział, że ona może pojawić się w każdej chwili, jak zawsze w niedzielę. Czekał do wpół do trzeciej po południu. Kiedy zobaczył, że ona nadjeżdża, wyciągnął z futerału rewolwer taurus, kaliber 38, który miał przy sobie, i oznajmił, że jeśli ona go opuści, zabije ją, a potem siebie. Sandra krzyknęła: "Nie rób tego, Pimenta! Nie!" Rozległy się dwa strzały: jeden trafił ofiarę w płuco; drugi przeszył głowę Sandry trochę ponad lewym uchem, z odległości czterdziestu centymetrów.

Pimenta wsadził rewolwer do schowka w samochodzie i uciekł. Przez dwie godziny krążył po wiejskich okolicach Ibiuny, w pobliżu stadniny, aż w końcu postanowił zatrzymać się w domu przyjaciela. Według tego, co potem zeznał, niejednokrotnie przykładał sobie pistolet do ust i był bliski samobójstwa. Nie zdecydował się na nie, bo miejsca, w których się zatrzymywał, były opustoszałe, i przypuszczał, że policja znajdzie jego ciało dopiero po kilku dniach. Obawiał się, że kiedy w końcu zostanie znaleziony, jego twarz będzie zniekształcona i odrażająca. Nie chciał, żeby córki widziały jego upadek. Łamał się, ale ostatecznie nie stracił ducha.

We wtorek rano zadzwonił ze swojej kryjówki do redaktora prowadzącego "O Estado", skarżąc się, że informacja o jego zbrodni w zbyt korzystnym świetle przedstawia ofiarę. "Stajecie nie po mojej stronie i zapominacie, że wciąż jestem naczelnym tej gazety - powiedział. - "Folha" zrobiła dużo lepszy materiał niż my. Ciekawe, czy zdobędziecie się na większą celność". Ostatnie zdanie nie miało sarkastycznego wydźwięku, bo nie zostało w nim już ani trochę humoru. Tego wieczoru napisał list pożegnalny do swoich córek. Powiedział im, że stracił wolę życia i że nie wyobraża sobie swojej obrony w długim i bolesnym procesie. Następnie zażył dużą dawkę lektotanu, ponad sto dwadzieścia miligramów, i położył się na łóżku, czekając na śmierć. Znalaziono go dwie godziny później i odatowano.

Obecnie Pimenta przyjął postawę oskarżyciela zamordowanej. Utrzymuje, że oszukiwała go "osobiście i zawodowo", że zakpiła sobie z jego honoru i zaraziła chorobą weneryczną. Była więc ta zbrodnia aktem ślepej namiętności, zaplanowaną zemstą czy chęcią zniszczenia przedmiotu pożądania przez chorego człowieka, który nie mógł mieć tego, czego pragnął? Dwie najmądrzejsze kobiety w Brazylii, powieściopisarka Nelida Piñón i socjolog Rosiska Darcy de Oliveira, twierdzą, że przemoc to wciąż jedyna forma zachowania macho, który uważa, że jego duma ucierpiała. "Społeczeństwo jest współnikiem tego typu zachowań - powiedziała Rosiska. - Kodeks karny nie przewiduje kar dla mężczyzny, który bije kobietę. A od tego do zbrodni już tylko krok".

* Mowa o tak zwanej wojnie w Canudos. W stanie Bahia, w latach 1893-1897 wybuchł ludowy bunt, inspirowany myślą konserwatywną z elementami mesjańskimi. Rewolta, na której czele stanął Antonio Mendes Maciel (zwany Antonio Conselheiro) wymierzona była przeciwko republikańskim władzom Brazylii i została krwawo stłumiona przez wojsko. Więcej można wyczytać w powieści Maria Vargasa Llosy *Wojna końca świata* (przyp. tłum.).

Zamknięty w szpitalu, Pimenta nie wykazuje żadnej skruchy i przyjmuje pozę ofiary. Od jakiegoś czasu zdaje sobie sprawę, że jego życie stało się telenowelą. Natomiast nie wie, że ludzie skazani na takie piekło, nigdy nie zdołają z niego wyjść.

Dodatek niedzielny do "El Diario de Buenos Aires"

3 września 2000

Być może powinieneś wstrzymać publikację tej historii, udawać, że nic takiego się nie zdarzyło. Ale zanim zdążyłeś o tym pomyśleć, wymknęło ci się to z rąk. Wszystkie dzienniki szczegółowo opisały ją nazajutrz po wydarzeniach - twój powtórzył tylko suchą informację podaną przez agencje - a użyty przez nie język zdradzał zupełny brak szacunku, obrażał Pimentę, tak że miałaś ochotę napisać komentarz i stanąć w jego obronie. Nawet najrozsądniejsi ludzie mogą ugiąć się pod naporem chwilowego szaleństwa, pomyślałeś. W niedzielę 16 listopada 1980 roku francuski filozof Louis Althusser masował kark swojej żony Helenę, z którą przeżył ponad trzydzieści lat, gdy nagle zdał sobie sprawę, że jej twarz zastygła, a bezwładny język wystaje spomiędzy zębów. Nie zdając sobie sprawy, udusił ją. Nie skazano go za to. Uznano, że był nieświadomy swych czynów. Podobnie Dilermando de Assis został ponownie uwolniony z zarzutów, kiedy w 1916 roku śmiertelnie zranił syna Euclidesa da Cunha, który chciał pomścić zhańbioną cześć ojca. Namiętności nigdy nie są rozsądne i opanowują człowieka z równym fatalizmem i nieuchronnością jak choroby. Nikogo nie można za to winić. A jednak kiedy dziennikarz z "O Estado" zadzwonił do ciebie, żeby zapytać, co sądzisz o tej zbrodni, tego samego dnia, kiedy Pimenta przyznał się do przestępstwa, powiedziałaś: "Własnoręczne wymierzanie sprawiedliwości jest akceptowane tylko w społecznościach prymitywnych". Im dłużej o tym myślisz, tym bardziej podoba ci się ta refleksja: sugerujesz, że czyn twojego przyjaciela był sprawiedliwy, ale jednocześnie pokazujesz, że w chwili popełniania zbrodni jego intelekt cofnął się do stanu niemal zwierzęcego, prehistorycznego. Jak można karać ludzką istotę, która przestaje być sobą i pozwala, żeby przez mgnienie oka jej instynkty wyparły myśli?

Pozostałe dzienniki pastwiły się nad Pimenta przez cały tydzień. Nie mogłeś już ignorować zainteresowania swoich czytelników albo udawać, że ta zbrodnia była nieistotnym wypadkiem. Jeden z największych dziennikarzy Brazylii, człowiek o twojej pozycji intelektualnej i moralnej, zamordował kobietę, którą kochał, oślepiony rządem posiadania albo zazdrością. Kazałeś korespondentowi w Rio zbadać te wydarzenia, a kiedy wysłał ci relację, przez pięć dni zastanawiałeś się nad nią. Nie ma nic trudniejszego, niż zrozumieć pobudki zbrodniarza, pomyślałeś. Nic trudniejszego, niż kochać i jednocześnie zaakceptować, że ciebie nie kochają.

Rozmawiałeś przez telefon z Pimenta w piątek przez morderstwem. Będę w São Paulo we wtorek dwudziestego drugiego, powiedziałaś. Może następnego dnia zjemy razem kolację?

- Nie, raczej nie dam rady - odpowiedział. - Mam problem z byłą szefową redakcji. Zdradziła mnie, sprzedała informacje, wyrzuciłem ją, ale wciąż nas nęka. Jeśli potrzebujesz czegoś, Camargo, pogadaj z Evoaldo, z Moacyrem. Jestem w rozsypce, mam dość. Nic tak nie rani jak nielojalność.

- Rozumiem - powiedziałaś. - Życie bywa przesrane.

- Przesrane - powtórzył.

W niedzielę nocą Otavio Frias z "Folha" przekazał ci wiadomość. Dwa strzały, Otavio? - zapytałeś. Czy to nie był w takim razie wypadek? To niewiarygodne. Taki poważny dziennikarz, taki rozsądny.

To, co najbardziej wytrąciło cię z równowagi, to fakt, że przypadkowo zadzwoniłeś do Pimenty tuż przed tą zbrodnią, kiedy był już w trakcie stawania się kimś innym, na krawędzi tego czegoś, co przyciągało go z magnetyczną siłą otchłani. *J'ai décidé d'être ce que le crime a fait de moi*, pomyślał pewnie Pimenta, siedząc na owej granicy. Postanowiłem stać się tym, co robi ze mnie zbrodnia. Nie widywałeś się z nim często, ale zawsze były to spotkania bardzo intensywne: może raz na rok, trzy razy na dwa lata, w restauracji na Rua Bandeira w Sao Paulo albo w La Brigada w Buenos Aires. Nie rozmawialiście o sobie ani, wbrew obyczajom zawodowym, nie komentowaliście zmian zachodzących w waszych dziennikach. Twoja przyjaźń z Pimentą opierała się na sprawach pobocznych, które dotyczyły tylko was: oglądane ostatnio filmy i przeczytane książki. Na nim zrobiły wrażenie *Pulp Fiction*, *Tajemnice Los Angeles* i *Underworld*, ostatnia obszerna powieść Dona De Lilio; ty wolałeś *Die Ringe des Saturn* W. G. Sebald, pośmiertny pojedynek między ocenianymi dziennikami Sylvii Plath i *Listami urodzinowymi* jej byłego męża Teda Hughesa, oraz subtelny film Michaela Polisha pod tytułem *Twins Fali Idaho*, gdzie występował reżyser i jego własny brat bliź-

niak mający ciągłą świadomość, że są jednością. Tylko zakończenie jest rozczarowujące, Pimenta, powiedziałeś. Musisz wyjść z kina dziesięć minut przed końcem filmu.

Nieczęsto rozmawialiście też przez telefon. Po wielu miesiącach przerwy usłyszałeś jego głos bez żadnych oznak tego, co miało nastąpić, a potem, w poniedziałek dowiedziałeś się, że kiedy słu-chałeś tego głosu, jego właściciel był już pogrążony w szaleństwie.

Odwołałeś podróż do Brazylii. Zawsze, kiedy pojawia się jakiś zły znak, wolisz zmienić wszystkie swoje plany i zacząć od nowa. Poza tym teraz nie masz ochoty nigdzie jechać, bo tej samej niedzieli kobieta z okna naprzeciwko na ulicy Reconquista wróciła po tygodniu nieobecności. Jej nowy rozkład dnia cię niepokoi. W rogu pokoju, prawie poza zasięgiem twojego teleskopu, ćwiczy jogę i pije szklankę soku pomarańczowego, kiedy wraca nocą. Potem, w samej koszuli na nagim ciele, siada przed komputerem i pisze e-mail za e-mailem, czasami aż do drugiej, trzeciej nad ranem. Starannie drukuje listy, zarówno te otrzymane, jak i te wysyłane, i chowa je w skrzynce, którą zawsze nosi ze sobą. Skoro ukrywa je tak starannie, to znaczy, że chodzi o jakieś sprawy, które próbuje utrzymać w tajemnicy: robi interesy albo są to listy miłosne. Im dłużej o tym myślisz, tym pewniejszy jesteś, że podróżuje, żeby spotykać się z jakimś kochankiem. Nie może być inaczej. Tylko świeża miłość potrafi natchnąć takim ulotnym, bezwstydnym szczęściem, jakim ona ostatnio promieniuje. Ledwie nabierasz przekonania, że tak to musi wyglądać, a już chcesz wiedzieć to na pewno. Postanowiłeś wejść do jej mieszkania, kiedy ona wyjdzie. Jeśli dobrze sprawdzisz wszystkie możliwe skrytki - między ubraniami, podwójne dno szuflad, książki i podejrzaną naczynia w kuchni - bez wątpienia trafisz na ślady tego, czego szukasz: wiadomości przesłane do Tamtego (a może Tamtej?), zdjęcie, głos na automatycznej sekretarce.

Kobieta znowu wybiera się w podróż. Postanawiasz wejść tam w południe, kiedy sprzątaczką już sobie pójdzie. Chociaż nie ma najmniejszego ryzyka, że ktoś cię przyłapie, ledwie tylko przekraczasz próg i zostawiasz za sobą krótki i ciemny korytarz, w którym kobieta wiesza płaszcz, szybko zasuwasz wszystkie żaluzje. Czujesz, jakby jakaś część ciebie obserwowała mieszkanie przez teleskop z okna naprzeciwko, i ta myśl, choć absurdalna, powoduje dyskomfort. Sypialnia jest dużo większa, niż można by sądzić z odległości, nawet przy patrzeniu przez tak potężną soczewkę jak twoja. Przed łóżkiem stoi telewizor, a z boku pojemna szafa z dwoma szeregami ubrań, podzielony według pór roku. Kiedyś mógłbyś się tu schować i przyglądać się kobiecie z bliska, jak śpi, obojętna na wszystko. Pomysł przychodzi ci do głowy i już nie da spokoju, nigdy nie da spokoju. Przywiązałeś się do tej myśli ze zwierzęcą ślepotą. Starannie sprawdzasz szuflady i szczeliny w drzwiach, bo chcesz się przekonać, czy kobieta, w obawie, że jej tajemnice zostaną odkryte przez obcy wzrok, ukryła je gdzieś, przyczepiając taśmą przyklepną albo pinezkami. Potem grzebiesz w ubraniach w poszukiwaniu ukrytych papierów i przyglądasz się po kolei wszystkim dokumentom i wycinkom leżącym na biurku. Wbrew oczekiwaniom, nie znajdujesz kopii żadnego e-maila, niewinnego czy jakiegokolwiek innego. Są tylko notatki, być może z jakiejś encyklopedii, do eseju przygotowywanego najwyraźniej przez kobietę, a pod nimi pocztówki z miejsc, przez które przejechała w ciągu ostatnich miesięcy: Quito. Wenecja, Paryż, Madryt. Rio de Janeiro, Meksyk. Na drugiej stronie każdej z kartek można przeczytać zdania brzmiące jak fragmenty jakiegoś wiersza i adresowane do jakiejś nie-osoby, retorycznej figury, może do kogoś, kto jest samą nią.

Na przykład po drugiej stronie zdjęcia L'Etoile napisała kilka zagadkowych linijek poprzedzonych tytułem Dziennik podróży. Brzmiały tak:

Nie powinnam zabierać cię do paryża / to było tylko moje miasto /ja w paryżu jestem wszystkim, co mam / następnym razem / paryż zabierze ciebie, a ja / zostanę tu sama / bez siebie. Refleksje te wydają ci się zbyt wyszukane jak na tę kobietę, dlatego podejrzewasz, że spisała to z jakiejś książki. Linijki napisane na drugiej stronie pocztówki z Bramą de Alcalá w Madrycie bardziej pasują do jej cielesnego, niedbałego języka: *W muzeum Reina Sofia /przed obrazem Da/ego / otworzyłeś Ust od swojej chorej córki / Ona umrze, powiedziałeś. Muszę wracać. / Ja też źle się czułam. / Cały smutek świata /spadł na nas /i spadał tak bez przerwy.*

Od czasu do czasu do sypialni dobiegają odgłosy z ulicy Reconquista. O tej porze pracownicy banku i kasjerzy idą na lunch. Na górnym piętrze mruczy całe stado kserokopiarek. Przeciwnie niż burdele, które zdaniem Williama Faulknera stanowią idealne miejsce do pracy artysty, budynek ten robił się cichy nocą, a pełen gwaru za dnia. Kobieta nie jest żadną artystką. Wypisuje tylko dane statystyczne i kartki pocztowe, kolekcjonuje wspomnienia. Notatki do eseju to dobry przykład. Chociaż twoje bystre oko wyłapuje w nich pewne niespójności, najwyraźniej chodzi o historię sied-

miu grzechów głównych. We wschodnich klasztorach, cztery wieki po śmierci Chrystusa obawiano się powszechnie pewnych złych skłonności, które mogły zniweczyć aspiracje mnichów do doskonałego życia. Pierwszym, który sporządził listę tych skłonności, był egipski anachoreta Evagrius Ponticus (346-399). Określił osiem zasadniczych cech, z których pozostałe się wywodzą. Nieco później inny pustelnik, Johannes Cassian z Rumunii, ogłosił, że absolutne unikanie owych ośmiu skłonności jest jedną z naczelných zasad życia zakonnego. Papież Grzegorz Wielki rozciągnął ten obowiązek na wszystkich chrześcijan i także mówił o ośmiu grzechach głównych: zazdrości, gniewie, nieumiarkowaniu, nieczystości, chciwości, lenistwie, pysze i próżności. Dopiero Tomasz z Akwinu około 1250 roku połączył w jeden dwa ostatnie. Upraszczając je do pychy, uczynił ów grzech mniej groźnym i jednocześnie poniekąd uprawomocnił. Akty pewności siebie zaczęto postrzegać jako inspirowane przez Boga: mistrz Eckhart, Guillaume d'Occam, hiszpańscy inkwizytorzy i papież Aleksander Borgia to owoce niewinnego drzewa zasadzonego przez Tomasza. Prośmy Boga, żeby nas uwolnił od Boga (Eckhart); każdy przestępca jest wierszem napisanym przez przestępstwo (Sartre komentujący Geneta), prace Bouvarda i Pécucheta, drabina wyśniona przez Jakuba wstępującego do nieba, wieża Babel, Mesjasze, bliźniaki, Matko Boża, twoje bliźniaki: historia to duma i dalej nie ma po co iść, bo nic tam nie ma, nic nie ma. Podsumowanie: pycha jest najbardziej płodnym z grzechów głównych, jest jak delta rzeki, wylęgarnia grzechów. W Drodze na Górę Karmel święty Jan od Krzyża, który pisał po hiszpańsku, wymienia siedem wad, które najbardziej gnębią ludzkiego ducha. Wszystkie to warianty pychy: próżność, chępliwość, zarozumiałość, pyszałkowatość, pogarda, wyniosłość, żądza sławy. Podejrzewam, że nie we wszystkich językach jest tyle słów mówiących to samo. Notatki napisano zielonym atramentem. Kobieta dopisała na końcu ołówkiem: Największym objawem pychy jest uważanie siebie za syna Boga.

Zatrzymujesz się na chwilę, żeby powąchać jej bieliznę, skropioną jakimiś delikatnymi perfumami o cytrynowym albo lawendowym aromacie. Przysuwasz nos do środka jej butów. Kobieta osacza wszystkie twoje myśli jak bezkresna chmura. Siadasz na łóżku i natychmiast się zrywasz, bo delikatna woń kawy wydzielana przez twoje ubranie albo twoja waga dojrzałego mężczyzny mogą zdradzić, że tu byłeś. Już wystarczająco dużo czasu spędziłeś sam na sam z jej rzeczami. Sprawdzasz, czy wszystko jest tak, jak ona to zostawiła. Nie wiedząc dlaczego, nagle czujesz, że coś jeszcze zostało do sprawdzenia. Wracasz do szuflad w biurku. W drugiej, w ryzie papieru, która wyglądała na nieużywaną, dlatego ją pominąłeś, znajdujesz wycinek z pisma "Veja" z zeszłego tygodnia. Sześć stron. Na pierwszej widzisz swojego przyjaciela Antonia Pimentę Nevesa na zdjęciu uwieczniającym go w jego typowej pozie: głowa lekko pochylona, palec wskazujący prawej ręki opiera się na brwi, oczy podkrążone, zamyślane, jak u wielkiego, poczciwego gada. Tytuł bezlitosny: *Władza nad życiem i śmiercią*. A pod spodem: Naczelný "O Estado de Sao Paulo" zatrudnia swoją kochankę i pomaga jej w karierze. Potem ona go opuszcza, a on ją zabija kilkoma wystrzałami. Dlaczego kobieta interesuje się tą sprawą? Irytuje cię, że zadała sobie tyle trudu, żeby kupić to pismo w jednym z nielicznych kiosków w Buenos Aires sprzedających brazylijską prasę, żeby wyciąć ten artykuł. Bo niczego innego nie ma, już sprawdziłeś. Wzdychasz, zaintrygowany. I znowu nachodzi cię myśl, żeby się schować w sypialni i podglądać ją, gdy będzie spać. I zrobisz to, będziesz wysysał jej wilgoć, łamał jej myśli, niweczył cię, niszczył powietrze, którym oddycha. Wedrzesz się do jej snu i zawładniesz wszystkim, co tam znajdziesz.

4

Przez ponad pięćdziesiąt lat życia Camargo, nie było nawet jednego dnia, żeby nie myślał o utraczonej matce. Nie wiedział, jak wygląda ani jak się teraz nazywa, ale miał nadzieję, że żyje jeszcze gdzieś na świecie. Z czasem wyobrażenie matki przenosiło się z jednego ciała w drugie, z jednej twarzy w inną. Matka stała się wieloma istnieniami, których Camargo nie potrafił ograniczyć do jednego: ta jej niepewność była też niepewnością jego własnego istnienia, on też codziennie, wbrew swojej woli, stawał się różnymi osobami: niemal co chwilę nową osobą, kimś obcym, z kim trudno było mu się zidentyfikować. A mimo to rozpoznaby ją od razu, bo - chociaż nie pamiętał jej twarzy ani ciała - poznałby swoją matkę po jakimś jej geście zauważalnym także u niego, być może zwy-

czaju dotykania brwi palcem wskazującym i przechylenia głowy w prawo, jak gdyby po tej stronie myśli były cięższe; albo może rozpoznałby ją po mimowolnym chłodnym tonie głosu, zawsze z dystansem do innych, jak zdarza się wszystkim tym, których pierwsza miłość spotkała się z odrzuceniem. Nigdy mnie nie kochałaś, mamó, nigdy? Nigdy nie miałaś ochoty mnie przytulić? Gdyby ojciec nie zniszczył wszystkich pamiątek, które zostały po niej w domu, być może teraz Camargo umiałby ją sobie wyobrazić. To właśnie kompletna pustka w pamięci najbardziej go załamywała.

W pewną Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy Camargo miał dziesięć czy jedenaście lat i wciąż mieszkał w Tucuman, zastał ojca w trakcie palenia zdjęć, ubrań i listów pozostawionych przez matkę. Już kilka miesięcy wcześniej ojciec zakazał mu o niej mówić, rysować ją czy pisać na jej temat szkolne wypracowania. W ten sposób matka zniknęła z ogromną prędkością z jego pamięci i stawała się tylko cieniem, z którym Camargo milcząco rozmawiał, nie oczekując odpowiedzi. Widywał ją tak rzadko, że kiedy zaczął dorastać, nie potrafił rozstrzygnąć, czy wspomnienie jest prawdziwe, czy wymyślone. Czasami, kiedy patrzył w lustro, starał się dostrzec w swoim odbiciu pielęgniarski czepek, biały, plisowany fartuch i gumowe rękawiczki, które ona zawsze miała na dłoniach. Jestem moją matką, mówił. Dopiero kiedy cię zobaczę, dowiem się, kim jestem.

Matka pracowała w szpitalu dla gruźlików, a ponieważ przydzielono jej nocną zmianę, spała aż do późnego popołudnia. Resztę dnia spędzała, robiąc notatki w zeszycie, i nie zajmowała się ani gotowaniem, ani sprzątaniami. Dzieckiem też nie, choć jemu wystarczyło siedzieć obok niej i patrzeć na nią. Od czasu do czasu zauważała jego i odwzajemniała spojrzenie. "Mój kotku, mój koteczku", mówiła wtedy, poruszając lekko głową, z czułością, za którą wciąż jeszcze tęsknił. Nie pamiętał jej głosu, ale utracona czułość była jak noga albo ucho, które mu usunięto, przez co stał się kimś gorszym od innych.

Matka wracała ze szpitala przed świtem i od razu wchodziła do pokoju Camargo, żeby pogłaskać go po głowie. Niejeden raz przez całą noc czekał na tę chwilę, bojąc się, że zaśnie i nie poczuje pieśczości. Słyszał, jak otwiera drzwi, przechodzi przez werandę i mały przedpokój i na palcach podchodzi do jego łóżka. Camargo udawał, że śpi. Nauczył się udawać tak zręcznie, że podczas pieśczości jego oczy zamierały i nie poruszały się, a oddech stawał się spokojniejszy niż podczas prawdziwego snu. Przechodziły go dreszcze, gdy słyszał szelest jej fartucha, coraz bliższy, i czuł zapach środków dezynfekujących otaczający jej ciało nawet po kąpieli. Następnie przygotowywał się na jej nadzwyczaj delikatny dotyk: jej muśnięcie było tak nieuchwytnie, tak eteryczne, jakby to było tylko tchnienie palców.

Pewnego ranka, ulegając ciekawości, postanowił spojrzeć na te delikatne dłonie. Z rozpaczą, z przerażeniem zdał sobie sprawę, że miała na sobie szpitalne rękawiczki. I zrozumiał, że rękawiczki zawsze znajdowały się na jej dłoniach, wciskały się między jego głowę i rękę matki. Czy jej łożysko też istniało po to, żeby go odizolować, jeszcze zanim przyszedł na świat? Żeby odróżnić go od jej ciała, zamiast otulić i chronić? A potem, czy kiedy pierwszy raz przysunęła swoje sutki do jego ust, też miała na sobie rękawiczki? Tamtego dnia zapragnął z całego serca, żeby matka umarła i wzięła te swoje nie-pieśczości na tamten świat. Ale potem doszedł do wniosku, że liczy się sam gest pieśczości, i skupił swoją nienawiść na rękawiczkach. Matka nigdy się z nimi nie rozstawiała. Przed położeniem się do łóżka zmywała ręce alkoholem i zostawiała rękawiczki w suszarce podobnej do tych, jaki używają starzy fryzjerzy do sterylizowania nożyczek i grzebieni.

Kilka dni później Camargo pobił się z dwoma kolegami ze szkoły i skaleczył w głowę tuż pod linią włosów tak, że twarz zalała mu krew. Z poszarpanym ubraniem i zapłakany pobiegł do domu. Matka siedziała na fotelu w salonie i przeglądała czasopisma, przewracając strony dłońmi w rękawiczkach. "Mogę się przytulić, mamó? - zapytał Camargo. - Mogę cię pocałować?" I podszedł do niej z otwartymi ramionami. Matka zmierzyła go wzrokiem z góry na dół i ze zniesmaczoną miną odsunęła stanowczo na bok. "Wybij sobie z głowy dotykanie mnie, kotku - powiedziała. - Przecież wiesz, że ilekolwiek bym się myła, zawsze mam na sobie zarazki wydychane przez chorych! Mnie się nic nie stanie, ale ty, dotykając mnie, możesz się zarazić".

Camargo doszedł wtedy do wniosku, że w takim razie matka nie dotyka też pewnie ojca, chociaż dzielą sypialnię i łóżko. Zawsze, kiedy ich widział, jak śpią, leżeli na boku, przy przeciwległych krawędziach łóżka, rozdzieleni zwiniętym materacem. Przez pierwsze lata życia Camargo niespecjalnie interesował się ojcem, bo jego też prawie nie widywał w domu. Ojciec był operatorem dźwięku i miał warsztat w radiu, w którym produkował efekty specjalne potrzebne do słuchowisk. Połówki kokosów używał do imitowania galopu koni, potrząsane butelki z gruboziarnistą solą wy-

dawały dźwięk kroków kochanków po jesiennych liściach. Popisywał się przed matką, twierdząc, że nie ma takiego dźwięku, którego nie umiałby odtworzyć: szelest materiału, tchnienie wiatru w gałęziach drzew, wojskowa parada, mecz tenisa.

Czasami Camargo miał wrażenie, że żyje z duchami. Kiedy poszedł do piątej klasy, dom zawsze był pusty, gdy wracał ze szkoły, więc nie mając nic innego do roboty, powtarzał lekcje raz za razem. Nauczyciele pisali mu gratulacje w dzienniczku, ale on nie miał ich komu pokazać. Jadał tylko gotowaną soczewicę, którą sąsiadka przygotowywała mu i dawała w menażce z rozżarzonymi węgielkami pod spodem. Chłopiec pozwalał, żeby jedzenie wystygło i podjadał po trochu od czasu do czasu.

To beznamienne życie skończyło się na zawsze pewnego styczniowego poranka. Camargo do późna czytał powieści Julesa Verne'a i wciąż w głowie krążyły mu sny o tajemniczych wyspach i o śpiewacze przywróconej do życia w karpackim zamku, gdy nagle usłyszał zdławiony szloch dobiegający z sypialni rodziców. Wstał na bosaka prawie goły, miał na sobie tylko postrzępione slipki, i zobaczył ojca siedzącego na łóżku i uderzającego się w czoło kartką papieru. Powstrzymana przez lata czułość zalała go nagle jak wezbrana fala; z trudem przeczekał ten przyływ i powstrzymał się przed pocałowaniem albo objęciem ojca, bo on też, tak jak matka, twierdził, że uczucia są jak brudne paznokcie i trzeba je schować w rękawiczkach.

- Za kogo twoja matka się uważa? - zapytał. - Przez tyle lat znoszę to, że sypia z tym kinezjologiem ze szpitala, a teraz, jakby jej było mało, wyprowadziła się do niego.

- Czy to znaczy, że nie wróci?

- Nie słyszysz, co mówię? Porzuciła nas.

Na podstawie tego, co widział w kinie i wyczytał w powieściach, Camargo wyrobił sobie przekonanie, że tylko kobiety znosiły niewierność i okrucieństwa swoich mężów, którzy w końcu je opuszczali. Nie przyszło mu do głowy, że w życiu może być na odwrót. Jemu, tak samo jak ojcu, też nie przeszkadzało, że matka zadawała się z innymi mężczyznami. Ale dlaczego odeszła bez niego, bez swojego syna? Co on, Camargo, jej zrobił? Nigdy się nie skarżył, był posłuszny i dobrze się uczył, sam prasował sobie ubrania i starał się, żeby nikt go nie widział, kiedy płacze. No to dlaczego go zostawiła? Cholerne kobiety!

Najbardziej bolało go to, że odchodząc, matka zostawiła swoje szpitalne rękawiczki w suszarce. Te rękawiczki pozbawione rąk przypominały mu pieczytka, których nigdy już nie zazna. I jednocześnie myślał o tym, że teraz te ręce uwolnione z rękawiczek będą mogły pieścić głowę kogoś innego.

Kilka miesięcy później, kiedy kolejny raz czytał *Dzieci kapitana Granta* Julesa Verne'a, znalazł w drugim tomie list zostawiony przez matkę. Po charakterze pisma widać było, że bardzo się spieszyła: *Kotku, nie wytrzymam dłużej w tym domu. Wybacz. Wiem, że sobie poradzisz. Żegnaj.* Już chciał pokazać to ojcu, ale przestraszył się, że ojciec odbierze mu list. Zaszył go w spodniach, ale któregoś dnia wyprali wszystkie ubrania w gorącej wodzie i list przepadł.

Jednym miejscem, w którym mogła ukryć się matka, było Buenos Aires, bo miasto to jest jak niekończące się zwierciadło, w którym ludzkie losy mieszają się i powtarzają. Kiedy Camargo miał piętnaście lat, Radio del Pueblo zatrudniło jego ojca, żeby robił efekty dźwiękowe do Lwa z Francji, kopii przygód Zorro. Pewnej zimowej niedzieli, sprzedawszy ostatnie meble, wsiedli do pociągu nazywanego El Tucumano i przejechali przez pustynie Santiago del Estero i kopalnie soli w Cordobie, i dojechali o północy do Buenos Aires. Rozgłośnia wysłała po nich na stację Retiro kierowcę z poleceniem przewiezienia przyjezdnych po ulicach centrum, zanim odstawi ich do pensjonatu. Budynki były oświetlone, a pod ziemią słyszało się huk pociągów. Ludzie szli ulicami, śmiejąc się i jedząc pizzę. Była noc, ale światło sączyło się ze wszystkich okien z taką intensywnością, że Camargo myślał, że słońce może wzejść w każdej chwili.

Mieszkanie, które wynajęło im radio, nieopodal Retiro, było kiedyś izolatką dla chorych pracowników starego burdelu. W pomieszczeniu mierzącym sześć metrów na osiem mieściło się piętrowe łóżko, wanna służąca do kąpieli i do mycia naczyń oraz prymus rozsiewający piekielną woń kerosenu. Po korytarzach na piętrze pod nimi snuły się tam i z powrotem kobiety ubrane w prześwitujące szlafroki i ciągnące za sobą won kwaśnych perfum wabiących szczury. Prawie codziennie organizowały imprezy z muzyką na cały regulator i jedyny raz, kiedy Camargo odważył się zaprotestować, wyśmiały go bezlitośnie. Jedna z nich zapukała tamtej nocy do ich drzwi, żeby Camargo popilnował jej dziecka, i podała mu je bosc i w piżamie. Nazajutrz rano zabrała śpiące dziecko i wróciła wie-

czorem w rozchylonym szlafroku, żeby mu się zrewanżować, ale Camargo stracił wszelką ochotę na widok białawych plamek na owłosieniu łonowym.

W tamtym czasie interesowało go tylko to, żeby rosnąć i robić szybkie postępy w szkole, by uniezależnić się od ojca. Uczył się w bibliotekach i na placach, i tak w cztery lata zrobił pięć klas liceum, a w następane cztery zaliczył wszystkie egzaminy i napisał pracę magisterską na wydziale filologii.

Nie przepuszczał żadnego pokazu w klubie filmowym i nauczył się francuskiego, żeby czytać arbitralne eseje André Bazina w "Cahiers du Cinema". Podczas jednej z debat organizowanych o północy w klubie Ludzie Kina tak błyskotliwie bronił surowego języka Podróży do Włoch, filmu, w którym Roberto Rossellini zaczął odkochiwać się w Ingrid Bergmann, że pozwolono mu pisać dla klubowego miesięcznika. Opublikował kilka tekstów o zabójczym wpływie, jaki mają Stany Zjednoczone na dzieła takich reżyserów, jak René Clair, Jean Renoir czy Fritz Lang. Artykułem, który zmienił jego życie, okazał się dytyramb na cześć *Zmysłów* Luchina Viscontiego. Tak bardzo spodobał się dziennikarzom z "El Diario", że zaoferowali mu biurko w redakcji, ubezpieczenie zdrowotne i pensję wynoszącą tysiąc sześćset pesos, prawie tyle samo, ile zarabiał jego ojciec w teatrze radiowym Nené Cascallara. Dzisiaj te historie o wielkim szczęściu wydają się nieprawdopodobne, ale w tamtych czasach stare dziennikarstwo zostało zniszczone przez lata cenzury i dziennikarze polowali na młode talenty, które zapewniłyby napływ świeżej krwi do redakcji.

Od kiedy pojawił się w "El Diario", sprzyjało mu szczęście. Krytyk teatralny zachorował na wirusowe zapalenie wątroby dokładnie tego dnia, kiedy zmarł Sacha Guitry. Ponieważ wiadomość dotarła w ostatnim momencie, kiedy redakcja była już pusta, zapytano Camargo, czy nie podjąłby się napisania wspomnienia o zmarłym. Takie okazje nie zdarzają się dwa razy. Uważny i skupiony, spędził godzinę w archiwum i wyszedł z niego z elegią na pięćset słów opisującą Guitry'ego jako dramaturga tak niemodnego, że wszyscy myśleli, że od dawna nie żyje. Camargo sugerował, że być może zmarły to sobowtór albo symulant i sztuczka ta stanie się jedynym nieśmiertelnym dziełem prawdziwego Guitry'ego. Artykuł tak bardzo spodobał się naczelnemu dziennika, że w następnym tygodniu pozwolił mu napisać recenzję przedstawienia Marivaux, które Théâtre National Populaire zaprezentował w Buenos Aires. Camargo ubarwił tekst celnymi uwagami na temat miłosnych intryg knutych na dworze Ludwika XV i stwierdził, że historia rewolucji francuskiej powinna zostać napisana od nowa na podstawie tych sztuk.

Nigdy zawodowy krytyk nie zajmował się niczym innym niż aktualną premierą, ale Camargo nie brakowało czasu i energii na inne rzeczy. Postać matki mocno tkwiła w jego głowie. Dziennikarska legitymacja otwierała przed nim drzwi szpitali, hospicjów i przytułków dla starszych osób, i przez długie tygodnie odwiedzał jeden za drugim, szukając pięćdziesięcioletniej kobiety w fartuchu i w gumowych rękawiczkach. Nieraz myślał, że ją odnalazł. Wtedy godzinami próbował się dowiedzieć, czy dana kobieta pracowała jako pielęgniarka w szpitalu dla gruźlików i miała syna, na którego wołała "kotku". Wiele z nich zapomniało już o wszystkim, nawet o tym, że można pamiętać. Mimo to Camargo nie tracił nadziei, że któraś z tych kobiet obróci ku niemu przestraszoną twarz i w końcu rzuci mu się na szyję, pytając: "Kotku, dlaczego nie odnalazłeś' mnie wcześniej?"

(G. M. Camargo napisał w "El Diario de Buenos Aires" serię reportaży na temat hospicjów dla staruszek. Ukazały się w ciągu kilku dni, od poniedziałku do piątku, w październiku, i po raz pierwszy ujawniły przerażającą skalę korupcji administratorów tych instytucji. Dzielne wyżywienie staruszek nie przekraczało ośmiuset kalorii, sypiały na materacach bez prześcieradeł i kołder, dysponowały jedną łazienką na sześćdziesiąt osób, w apteczkach nie było waty, bandaży, środków dezynfekujących i znieczulających, a jeśli któraś z kobiet zachorowała, zostawiano ją w łóżku samą sobie i musiała wstawać i troszczyć się o swoje jedzenie. Nie mówiąc o widocznych wszędzie śladach moczu i kału. Trzeci i piąty z reportaży ukazały się na pierwszej stronie dziennika i zostały później wydane w formie książkowej, pod tytułem *Opuszczeni*, która stała się klasykiem i używana jest do nauki dziennikarstwa razem z *Operación Masacre* i *Manual de español urgente* agencji EFE*).

Nawet kiedy sprawdził już wszystkie azyle i szpitale, w kostnicach i na cmentarzach przejrzał tysiące list niezidentyfikowanych zmarłych, przeanalizował spisy mieszkańców biednych przedmieści

* Klasyczne książki argentyńskiego dziennikarstwa. *Operación Masacre* Rodolfa Welsha opisuje bunt wymierzony przeciw rządowi Aramburu (1956), na którego czele stanął Juan José Valle. Od początku kontrolowana przez władzę rewolta została krwawo stłumiona, a jej przywódcy rozstrzelani. *Manual de español urgente* to podręcznik stylistyki hiszpańskiej dla dziennikarzy, wydany po raz pierwszy w 1959 roku w trosce o poziom języka ulegającego nadmiernej kolokwializacji i obcym wpływom (przyp. tłum.).

oraz dane starszych kobiet, które wstąpiły do klasztorów, Camargo nie chciał się poddać. Dzienniki wciąż drukowano ołowianymi czcionkami i dopiero za dwie dekady miały się upowszechnić komputery. Trzeba więc było mieć cierpliwość średniowiecznego kopisty, żeby dokopywać się do biografii kryjących się za każdym nazwiskiem i żeby porównywać zdjęcia z archiwów z niewyraźnymi zapisami w pamięci. Albo zamykać się, jak Camargo, w ciasnych ścianach jednej idée fixe. Nie przestraszy! go ogrom porażek. Od dłuższego czasu ponosił jedną za drugą, kiedy nagle wyobraził sobie, że przecież matka mogła pozostać wierna swoim mieszczańskim obyczajom i że pewnie mieszka, z mężem albo owdowiała, w jakimś skromnym domu w dzielnicy Palermo. Przemierzył od końca do końca wszystkie ulice: Gorriti, Guatemala, Fitz Roy, Armenia, Sona. Sprawdzał place, gdzie handlowano mięsem i warzywami w pobliżu trójkąta zieleni zwanego wówczas rogiem Serrano albo Racedo, który potem stał się placykiem Julio Cortáзара, zbadał zakłady fotograficzne na ulicy Gurruchaga i kluby masońskie na ulicy Urriarte. Myślał, że może ją zobaczyć w każdej chwili, jak pije jakiś napój na chodniku i rozmawia z sąsiadkami. Nieraz, kiedy zbliżała się już noc, szukał schronienia w jakiejś knajpie udającej styl francuski, do której, kiedy mijała pora kolacji, schodzili się śpiewacy tanga, co to potracili już głosy, i zabawiali ostatnich klientów za talerz zupy z soczewicy i szklanek whisky Criadores. Siadał obok okna i czekał na matkę. Któregoś dnia oświeci go błyskawica rękawiczek i będzie wiedział, że to ona.

To właśnie ten lokal jako pierwszy przyszedł mu do głowy, kiedy zaprosił na kolację Reinę Remis, żeby przedyskutować wspomnienie o Robercie Mitchumie. Był wtorek i nie należało się spodziewać tłumu, ale i tak kazał sekretarkom zarezerwować stolik pod krętymi schodami znajdujący się pośrodku lokalu i polecił telefonicznie przekazać adres Reinie.

Czuł się przy niej lekko zakłopotany, takie odległe zawstydzenie, przypominające czasy młodości, a jednocześnie tej nocy przepelniało go poczucie wolności, być może dlatego, że Brenda i bliźniaczki odfrunęły z jego życia i leciały teraz gdzieś nad Asunción albo pustkowiami Mato Grosso, a może dlatego, że miał przeczucie, że matka jest blisko, kotku, już niedługo się spotkamy. Diabli wiedzą, dlaczego Reina go niepokoiła. Jej typ urody stanowił zaprzeczenie wszystkiego, co mu się podobało: żadnej obfitości, wąskie usta, wydatna broda, grube kostki i piersi wyglądające na małe.

Camargo, który zawsze chodził pochylony i z wysuniętą dolną wargą, pogardliwy, jak Dante Alighieri na portretach, wyprostował się natychmiast, kiedy tylko dostrzegł Reinę siedzącą już pod schodami, ubraną w kwiecisty kostium, z szeroką spódnicą, nadającą jej wiejski i bezpieczny wygląd. Na stole paliły się dwie małe świece. Panowały tu spójność i cisza. Na środku lokalu była pusta przestrzeń, zajmowana czasami przez duet bandoneonu i skrzypiec, albo jakąś naśladowczynię Edith Piaf. Nie pytając Remis o zdanie, Camargo zamówił butelkę cabernet.

- Wezmę zupę cebulową - odezwał się do kelnera. - Nie wiem, co pani zamawia.

Ona zawahała się chwilę, jak gdyby nie rozumiała subtelnych sugestii menu, i w końcu powiedziała:

- To samo. Proszę to samo.

Remis wyglądała na skąpowaną, ale jednocześnie schlebiała jej to wszystko i nie wiedziała, jak to skąpowanie ukryć. Napiła się wody szybkimi łykami, bezmyślnie, jak ptak. Jej dłonie były szerokie, a palce za krótkie. Cały jej urok polegał na aurze wolności, którą, chociaż zestresowana, ciągle promieniowała, i na galaktyce piegów na dekolcie. Krył się przede wszystkim w zapachu ciała unoszącym się wokół niej jak światło albo niewidzialna słodycz. Wstała i nieśmiało zapytała, gdzie jest łazienka. Kiedy wchodziła po krętych schodach, Camargo przyjrzał się jej nogom i dostrzegł jasną plamkę nad trochę zbyt grubą kostką, kolejny ekscytujący pieprzyk przysłonięty jedwabnymi rajstopami. Remis nie jest ładna, powtarzał sobie, tylko pewna siebie. A jednak rozsiewała wokół siebie jakąś prymitywną seksualność, pociągającą zwierzęcą woń.

- Niezłe zamieszanie było tej nocy w redakcji politycznej - powiedziała, kiedy już wróciła. - Ciągle gdzieś telefonowali. Redaktorzy zrywali się, dyskutowali w korytarzach. Nikt nie chciał niczego powiedzieć. Wydawali się bardzo dumni ze swojej tajemnicy.

Mówiła pogodnym, ale jednocześnie ostrożnym tonem. Jak lisica badająca gęstwinę leśną.

- To już nie tajemnica. Dowiedzieliśmy się, że syn prezydenta zdeponował kilka milionów w banku w Sao Paulo. Ma dwadzieścia jeden lat, nie pracuje, wszystko, co daje mu ojciec, wydaje na samochody wyścigowe. Jak sądzisz, skąd wziął te pieniądze?

- Z przemytu broni? - zgadła Reina.

- Tak właśnie podejrzewamy. Są dowody na to, że chłopak ma fortunę w akcjach i depozytach, ale jeszcze nie wiadomo, skąd to wziął. Kiedy jutro rano ludzie przeczytają nasz główny artykuł, będą umieli dodać dwa do dwóch.

- Napisze pan o tym wszystkim? Prezydent dostanie zawału.

- Prezydent już o tym wie. Sami go uprzedziliśmy. Na dobry początek zagroził nam procesem. Powiedziałem mu, że proszę bardzo. Gorzej na tym wyjdzie. Mamy dowody.

- Może jutro rano zbudzimy się i nie będzie już Argentyny. Przy takich wiadomościach nikt nie przeczyta tego, co napisałam o Robercie Mitchumie.

- Na wszystko znajdują się czytelnicy, Remis. Nie wyobrażasz sobie, jak wiele ludzi kupuje gazetę tylko po to, żeby poczytać nekrologi.

- Nekrologi? Rzeczywiście, nie przyszło mi to do głowy. Ale to logiczne. Żyjemy tak z dnia na dzień, umierając, bo nie umieramy, jak mówiła święta Teresa.

Kelner pojawiał się i znikał, i dolewał im do kieliszków. Było tu więcej osób niż zwykle, musieli więc rozmawiać przyciszonym głosem. Camargo zaatakował frontalnie:

- Po co wsadziłaś do tego twojego tekstu tych bliźniaczych Mesjaszów, Remis? Co to ma wspólnego z Robertem Mitchumem? Nie wiesz, że taki wygląd może cię kosztować pracę?

- To nieporozumienie, mówiłam panu. Żałuję. Przeprosiłam już.

- W dziennikarstwie nie ma miejsca na nieporozumienia. Są tylko złe i dobre intencje. Dlaczego to zrobiłaś? Musi być jakiś głębszy powód takiego zaniedbania.

- Nie jestem pewna. Dwa lata temu pojechałam do Meksyku. Podróżowałam samotnie, autobusem, z plecakiem. Któregoś dnia rano wylądowałam w Tonantzintla, dziesięć minut drogi od Puebli. Chciałam zobaczyć piramidę Cholula, ale autobus zatrzymał się na jakimś zupełnym odludziu. Nie było tam żywej duszy: żadnej apteki, knajpy czy sklepu z pamiątkami. Pustkowie. Weszłam do kościoła, którego ściany pokryte były ornamentami, gęsto co do milimetra. Na zewnątrz nie było żadnych oznak życia, za to w środku, na płaskorzeźbach pokrywających ściany, wręcz kipiało. Były tam retabula, archanioły przypominające maskarony z dziobów okrętów i Matki Boskie. Każda z nich trzymała na rękach niejedno Dzieciątko, lecz dwoje. Niektóre miały cztery piersi. Kiedy wychodziłam, jeden z przewodników w atrium sprzedał mi ewangelię Walentynian. Przyszła mi ochota, żeby napisać coś o bliźniaczych Mesjaszach. Słyszałam, że podczas kręcenia *Nocy myśliwego* jeden z aktorów czytał teksty Walentynian i naprawdę sądziłam, że to Mitchum. Nie przyszło mi do głowy, że to mógł być reżyser. *Wishful thinking*. Czasami historia nie jest taka, jaka powinna być, tylko taka, jaka jest.

- Pewnie masz rację, ale dzienniki piszą o tym, co się dzieje teraz. To wszystko, co się z tym wiąże?

- Jeśli jest coś jeszcze, to ja o tym nie wiem. Może chodziło o to, że myślałam, że pan przeczyta ten artykuł, i chciałam zwrócić pana uwagę.

Kelner podał jedzenie i Camargo, milcząc, utkwiał spojrzenie w Remis. Pod grubym kozuchem sera i chleba kipiała zupa.

- Przez ciebie traciłem czas, Remis. Niech to będzie ostatni raz.

Przyglądał jej się, jak delikatnie podnosi łyżkę, nie roniąc ani kropli zupy.

- Mam nauczkę. To będzie ostatni raz.

- A twoi rodzice? - zapytał Camargo. - Czym się zajmują twoi rodzice?

- Moja matka pierze, gotuje i sprząta. Jest ofiarą. A mój ojciec, sama nie wiem. Co robi ze swoim życiem? Ma warsztat mechaniczny dwadzieścia kilometrów stąd. Rzadko bywa w Buenos Aires. Nie interesują go książki, nie interesuje go kino, nie interesuję go ja. Jego jedyną namiętnością są konie.

- Ma konie? To kosztowne.

- Nie. Miał konia w dzieciństwie. Zwierzę złamało nogę i musieli je zastrzelić. Od tamtego czasu został mu sentyment. Teraz co niedzielę jeździ do stadniny w Longchamps, gdzie może wynająć konia i jeździć. Może tak kłusować godzinami. Czasami jadę z nim. Ale nie rozmawiamy. Za każdym razem, kiedy rozmawiamy, dochodzi do kłótni.

- Pewnie nie jesteś łatwą córką.

- Ja? To mój stary nie jest łatwy. Cokolwiek bym robiła, zawsze twierdzi, że to za mało. Ciągłe oczekuje czegoś więcej. Chciał mieć różę, a wyszła mu margerytka.

Kilku kelnerów przeciągnęło drewniany podest na środek restauracji i postawiło na nim dwa wysokie taborety. Camargo dostrzegł dwóch mężczyzn z włosami postawionymi na żel stojących przy barze. Twarze mieli białe od pudru.

- Wiesz co - powiedział Camargo. - Trzeba stąd iść. To będzie duet tango: bandoneón i śpiewak. Złuszczą się, kiedy publiczność rozmawia.

Na podest i taborety padło światło. Ten z bandoneonem zakołysał instrumentem i zagrał kilka próbnych akordów. Była to melancholijna muzyka, niepodobna do niczego innego. Nie wyrażała prawie żadnej myśli, jak świat niestworzony, i może właśnie taki był jej sens, żeby śpiewak zapełnił tę pustkę.

- Wszystko jest takie dziwne - powiedziała Reina. - Tak jakbym odgadywała, co ma nastąpić.

- A co ma nastąpić?

- Chodzi mi o muzykę. Słyszę ją, zanim się rozlegnie. Nic nie znaczy, a jednak chce mi się płakać.

Śpiewak przesunął swój taboret na granicę światła i cienia, maskując w ten sposób swoje sztywne ramię i brakujące zęby. Okrągły kształt jego głowy rzucał cień na ścianę. Camargo strzelił palcami, żeby przyniesiono mu rachunek, ale było już za późno: człowiek z bandoneonem zdążył wydobyć już z instrumentu strumień muzyki. Była to neutralna, zdławiona melodia, łącząca fragmenty znanych tang z dodekafonicznym pobekiwaniem.

- Pamiętam - powiedział śpiewak. - Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, marzyłem o dalekich krajach. Cudownie.

Camargo wstał.

- Chodźmy stąd, Remis - odezwał się. - Te sentymentalne striptizy przyprowadzają mnie o ból głowy.

Reina też wstała. Oczarowało ją światło, szaleństwa bandoneonu, żywiołowość, z jaką śpiewak opowiadał o swoim życiu.

- Paryż - mówił śpiewak. - Gdy tylko dotykałem tego słowa, serce biło mi mocniej. Pierwsze przykazanie: nie będziesz miał innego miasta nad Paryż. Drugie przykazanie: nie będziesz przyzywał imienia Paryża nadaremno. Cudownie. Paryż to dla mnie nędznicy Victora Hugo, Mimi Pinson, Toulouse-Lautrec, absynt Paula Verlaine'a, kokoty z Moulin Rouge. Byłem dzieckiem i już marzyłem o tangu w Paryżu.

Z bandoneonu wysączyła się melodia *Grisety*. Reiny lzy płynęły po twarzy.

- Chodźmy wreszcie - odezwał się Camargo. Podszedł w stronę baru, przeciskając się między zatłoczonymi stolikami.

Noc stała się czarniejsza, a wraz z nią zintensyfikowała się ulica; teraz w mroku poruszały się szczęśliwe ciała transwestytów wyruszających na obchód, starszych ludzi, którzy prowadzili swoje samochody, wychylając głowy przez okna, wyczuwając w ciepłym powietrzu seks, zarzucając erotyczne sieci na nocne ławice, i pary desperacko pragnące się kochać choćby tu i teraz, zasupłani ze sobą ludzie, którzy wcale nie chcą się rozdzielić, podczas gdy spóźnieni uliczni sprzedawcy z determinacją oferowali szerniałe resztki kasztanów i migdałów. Zima dopiero się kończyła, a wydawało się, że to lato. Wciąż było wczoraj, a wydawało się, że to już pojutrze. W tę kruchą noc wszystko się rozsypywało. Matka także? Teraz, skoro on ma sześćdziesiąt lat, ona będzie miała z dziewięćdziesiąt dwa. Przeszłość rozpadała się na kawałki. Tylko posmak Reiny wciąż trwał, niezniszczalny niczym słońce.

- Napijemy się kawy? - zapytał Camargo. - Nie chce mi się spać. A tobie?

Kiedy przechodzili przez ulicę, objął Reinę w pasie. Poczul, że zadrżała, a potem zeszywniała. Jej ciało wydawało się trudne, jakby falujące w trudny do przewidzenia sposób.

- Jestem skonana. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, wróć już do domu.

- Podwiozę cię.

- Nie trzeba. Mogę wziąć taksówkę. Mieszkam daleko, w San Telmo.

- Wiem. Mówiłaś już. Podrzucę cię.

O auto Camargo oparło się stadko kocic. Ostrzyły sobie pazury, doświadczone w odczytywaniu mowy skóry, drapieżne pazurki, których nie zaspokoją żadne miłosne zmagania. Kurewki tatusia, tak Camargo nazywał te nocne istoty, kiedy widział, jak włóczą się po nocy. Zawsze spowite w akşamity i szale z fałszywego futra, w majteczkach z satynowego nylonu zakrywających rozpalone łona. Polizać, obciągnąć, może numerek we troję? - oferowały. Odeszły od samochodu powoli, być

może z pogardą. Camargo zamknął okna i pohamował pokusy. Pszczoły, motyle, pożyją kilka nocy, powiedział sobie. Jutro stanie się dla nich kolejnym dniem, a ból okaże się jedyną zdrową częścią ich ciała. Wystarczy, że przekroczy kocią granicę i wejdzie w noc przyzwoitości i pewności, do której należy. Reina też, a może nie? Widział, że płacze w milczeniu.

- Coś ci jest? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała. - Smutek. Przychodzi i odchodzi.

- Kobiety zawsze są smutne - stwierdził. - Czasami mają powody, a czasami nie. Za to my, mężczyźni, nigdy nie mamy czasu na smucenie się.

- Nie wiecie, co tracicie.

Samochód pomknął aleją 9 de Julio. Ludzie wychodzili z kin, z opery, dzień zdawał się zbliżać do początku, a nie do końca. Camargo okrążył obelisk i zatrzymał się przed wejściem do McDonalda. Tamta część miasta była tak odmienna, że wydawała się pozostawać poza jakimkolwiek czasem: wyglądała, jakby czas zgubił sam siebie, raz na zawsze. Pod światłami reklam otwierały się wielkie lustra odbijające tylko własną pustkę. Camargo, gestem wprawnego myśliwego, klepnął Reinę w kolano i powiedział:

- Lepiej wysiądź tutaj, Remis. Widzisz? Wszędzie jest pełno taksówek.

- Tak - powiedziała. - O tej porze jest ich sporo.

I to wszystko. Jadące za nimi trzy samochody musiały gwałtownie zahamować, trąbiąc. Reina wysiadła, nie odwracając się. Ani jednego słowa więcej, ani jednej skargi. Natychmiast zaczęły zbliżać się do niej sępy krążące przy wejściu McDonalda. Wyminęła je, wsiadła do pierwszej przejeżdżającej taksówki i odjechała aleją Corrientes na wschód. Camargo śledził ją aż do momentu, kiedy zatrzymały go światła.

"Prezydent ma mistyczne wizje", głosił następnego dnia tytuł w "El Heraldo". Camargo był pewny, że rywalizujący dziennik nie wydrukuje ani słowa o skandalicznych depozytach w banku w Sao Paulo. Nawet jeśli się o tym dowiedzą, przemilczą. Przez ostatnich kilka lat prezydent zasypywał ich łaskami, były koncesje na częstotliwości radiowe oraz tereny myśliwskie i wędkarskie dla luksusowych turystów w Patagonii. Przewidział milczenie, ale nie to, że postawią na teatralny efekt bardziej sensacyjnego tytułu. Mistyczne wizje. W kraju, którym rządzili magowie i wróżbici, takie zdanie działało jak magnes. Powinien był kazać reporterom czuwającym przy prezydencie w Olivos, żeby bardziej uważali na otoczenie głowy państwa. Nikt teraz nie zwróci uwagi na siedem

milionów dolarów, które jakiś lekkomyślny chłopaczek liczący sobie dwadzieścia jeden lat wpakował na fikcyjne konto. Powiedzą, że to błąd, że forsa należy do kogoś innego. Mistyczne wizje wybiją się na pierwszy plan.

Według "El Heraldo" prezydent odwołał kolację z niemieckimi biznesmenami i o dziesiątej wieczorem udał się do swojej sypialni, żeby pooglądać telewizję. Włączył film dokumentalny o Carlosie Salinasie de Gortarim* nagrany w marcu 1995 roku i zamyślił się ponuro. "Oto dowód, co zła wola i zawiść mogą zrobić z wielkim człowiekiem", powiedział do swojego majordomusa, który przyniósł mu kolację. Widać było zarośniętego Salinasa, z podbitymi oczami, leżącego na nędznej pryczy w Monterrey, z meksykańską flagą w tle. Kilka miesięcy po odejściu z rządu jego brat został oskarżony o nienazwane zbrodnie i nadużycia. By ratować honor rodziny i swoich rządów, Salinas de Gortari musiał uciec się do głodówki. Zapukał do drzwi pewnej lojalnej kobiety, Rosy Coronado, i poprosił ją o schronienie. Po chwili dom zappełnił się dziennikarzami. "Postanowiłem zagłodzić się na śmierć - powiedział wysłannikom Televisa. - To, co mi zrobiono, to podłość. Popelnię samobójstwo". Protest głodowy trwał niecałe dwadzieścia cztery godziny, bo natychmiast przyjechali do Monterrey wysłannicy następującego prezydenta, żeby oczyścić Salinasa ze wszystkich oskarżeń o cierpienia, przez które przechodził Meksyk podczas jego rządów. Patrząc, jak Salinas opuszcza Monterrey, ze zwieszoną głową, jeszcze drobniejszy i bardziej samotny niż zwykle, w tej samej kurtce z czarnej skóry, jaką miał na sobie, kiedy przyjeżdżał, argentyński prezydent zapłakał w swojej rezydencji. "Zdał sobie sprawę, że wszystkim szlachetnym ludziom prędzej czy później spada na plecy krzyż niesprawiedliwości - pisał patetyczny dziennikarz z "El Heraldo. - Poczul, że na tym podłym świecie zawsze można znaleźć jakąś bratnią duszę. Wyszedł na balkon i wydało mu

* Carlos Salinas de Gortari - prezydent Meksyku w latach 1988-1994, związany z rządzącą niepodzielnie od dziesięcioleci partią PRI (Partido Revolucionario Institucional). Prezydencką kadencję ukończył w atmosferze skandalu (bezpardonowa walka polityczna, afera z udziałem brata Raula itd.) (przyp. tłum.).

się, że między drzewami w parku dostrzega białe światło. Było około jedenastej. Ujrzał unoszącą się między gałęziami drzewa cytrynowego oślepiającą postać Jezusa Chrystusa. Och, Boże mój, Boże mój, zdołał powiedzieć prezydent. Nasz Zbawiciel unosił się odziany tylko w przepaskę, jak na obrazach ukazujących ukrzyżowanie, i pochylał głowę na znak cierpienia. Kiedy nagle rozchylił ramiona i uniósł się w przejrzystym nocnym powietrzu, prezydent wyraźnie dostrzegł znamiona męki: ranę od włóczni w boku, krwawiące okaleczenia od korony cierniowej, dłonie i stopy przebite gwoździami. Niebiańska siła cisnęła go na kolana, tymczasem światło nikło wśród chmur. Zmówił Ojczy nasz i Zdrowaś Mario. Potem, wciąż wstrząśnięty po widzeniu, wezwał kapelana Olivosa i poprosił, aby ten podszedł z nim do drzewa. U stóp pnia znaleźli krzyż z cieniutką strużką krwi. Chociaż mamy lipiec, drzewo pokryte było kwiatami, które znikają jak robaczki świętojańskie".

To musi być robota Enza Maestro, pomyślał Camargo. Ten sam świętoszkowaty język, jakim pisał felietony w "El Diano". Zamiast odpowiadać na doniesienie o bankowym depozycie w Sao Paulo, wolał zaatakować od tyłu. Kto się teraz ośmieli wykić nadprzyrodzoną wizję potwierdzoną przez kapelana z Olivosa? Jeśli Chrystus pokazał się prezydentowi we własnej osobie, to dlatego, że albo zbliża się koniec świata, albo on uznawał jego niewinność. Strategiczne posunięcie Maestro unieruchomiło Camargo.

Okolo ósmej rano rozgłoszenie radiowe obwieściło, że prezydent udaje się do jednego z klasztorów na pampie, żeby medytować. Zabierał ze sobą cudowny krzyż i zostawiał przyziemne troski na głowie swojego młodszego brata, który przewodził senatowi. Dzienniki telewizyjne chciały pokazać cudowne drzewo, ale straż rezydencji w Olivos nikomu nie pozwalała wejść. Nawet najostrożniejsi dziennikarze powtarzali, że po takim nadprzyrodzonym wydarzeniu, to, co robi prezydent, rzeczywiście wydaje się jedynym rozsądnym wyjściem: modlitwa i osamotnienie.

Do dziewiątej rano wiadomość powtórzono tyle razy, że wszystkie inne nowości pogasły. Popadły w niepamięć ołtarze, na których opłakiwano Lady Di i Matkę Teresę z Kalkuty, listy Unabombera wymierzone przeciw konsumpcyjnemu społeczeństwu, sąd czerwonych Kmerów nad umierającym Pol Potem, rasowy kocioł w Kosowie, a także depozyt Juana Manuela Facundo w singapurskim banku. Pokutujący prezydent zajął wszystkie ekrany. Telewizja towarzyszyła mu aż do bramy benedyktyńskiej kaplicy, gdzie czekali na niego opat i dziesięciu zakonników. Równina ukazywała się skąpana w bladym świetle, starszym od wszystkich światel na świecie. Opat wyszedł naprzód z otwartymi ramionami, ale prezydent, zamiast odpowiedzieć na braterskie powitanie, padł na kolana i pocałował go w rękę. Następnie wrota kaplicy zamknęły się, a kamery wycelowały w krzyż na dzwonnicy i bezchmurne niebo. Wszystkie kanały wierne rządowi pokazywały tę scenę raz po raz.

Przed dziesiątą Camargo miał już zaplanowany kontratak, w którym jednak, z czego zdawał sobie sprawę, było sporo słabych punktów. Wiedział, czego nie powinien robić, ale mniej klarownie jawiło się to, co powinien. Nie na miejscu byłoby teraz publikować zdjęcia z orgietki Juana Manuela Facundo w Sao Paulo, bo wyglądałoby to na niepoważną zemstę na nastrojach czytelników, ogarniętych mistyczną gorączką. I chociaż "El Diario" zlokalizował trzech biskupów nieufnie odnoszących się do objawienia Chrystusa i piętnujących kapelana Olivosa za nazbyt pośpieszne uznanie cudu, nie mógł oprzeć się na tej informacji: ludzie ogarnięci byli teraz nadprzyrodzoną pewnością, a nie wątpliwościami. Upieranie się przy doniesieniu o siedmiomilionowym depozycie w singapurskim banku też nie miało sensu: zanim skandal zdążył wybuchnąć, rozwiął się jak dym.

Kiedy tylko dotarł do gazety, zwołał pilną radę redakcji. Szef działu politycznego zaczął już działać i wysłał fotografa z dwoma dziennikarzami do klasztoru benedyktyńskiego, który nazywał się Santa Maria de Los Toldos. Od duchownych nie dało się wyciągnąć ani słowa, bo oprócz czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, ślubowali też milczenie; Można było co najwyżej czaić się na jakichś ludzi z otoczenia prezydenta. Redaktor informacji ogólnych zbadał już historię zakonu i obyczaje mnichów. Pokazał zdjęcia refektarza, wewnętrznego dziedzińca, cel i czarnej Matki Boskiej z koroną, która stanowiła tu obiekt kultu. Jeśli będziemy o tym wszystkim pisać, przyłożymy się do tej prezydenckiej farsy, stwierdził Camargo. Przypiszemy mu wszystkie te cnoty, których nie ma: pobożność, ascetyzm, pokorę, niewinność. Ale nie możemy też zignorować tej wiadomości. Wczoraj mieliśmy inicjatywę, dziś próbujemy się bronić.

Odsunął się na fotelu do tyłu i wyłożył nogi na biurko. Mówił teraz spokojniej. Kiedy się skupiał, opadała mu lekko szczeka i powoli wypowiadał każde słowo. Potrzebuję świeżej głowy, powiedział, tknięty nagłym impulsem. Przyprowadźcie mi tu Reinę Remis. Ta dziewczyna ma smykałkę do pokręconej teologii.

Reina z rana wyglądała tak nieefektownie, że aż się robiło żal. Nosiła okrągłe okulary w czarnych oprawkach, przez co jej usta wydawały się jeszcze mniejsze, luźne, sztruksowe spodnie i jakąś bluzę kupioną na wyprzedazy. Czasami wydawała się uwodzicielska, a czasami niemal znikąca, jak gdyby wycierała swoje ciało gumką. Trzeba było wyteżać wzrok, żeby się przekonać, że tam jest. Usiadła na krześle przy biurku Camargo, z pochyloną głową i rękami na kolanach. Ale wrażenie nieobecności zniknęło, ledwie tylko zabrała głos.

- Co myślisz o tej mistycznej wizji? - zapytał Camargo. - Dyskutujemy, co zrobić z tym tematem.

- Nie mogło być żadnej wizji - odpowiedziała swobodnie. - To nonsens. Gdyby prezydent powiedział, że zobaczył Matkę Boską, jakiegoś świętego albo archanioła, objawienie byłoby wątpliwe, ale prawdopodobne. Z Jezusem przedobrzył, z ambicji albo ignorancji. Chrystus może się objawić tylko w chwale i to tylko tuż przed końcem świata. Jeśli jest inaczej, mamy do czynienia z oszustem, demonem albo bratem bliźniakiem Mesjasza. Czy ktoś ma tutaj Biblię, Nowy Testament?

Camargo, sceptyczny, zdjął nogi z biurka i wziął egzemplarz Biblii z biblioteki znajdującej się za jego plecami. Reina uniosła głowę i czas stanął w miejscu. Koniuszkiem języka zwilżyła grafit ołówka i zaznaczyła trzy wersety w Liście do Tesaloniczan oraz jeden rozdział w Ewangelii świętego Mateusza.

- Proszę zwrócić uwagę na Mateusza - powiedziała. - Drugie przyjście Chrystusa, nazywane z greki Paruzją, powinno zostać poprzedzone wojnami, głodem i trzęsieniami ziemi. Tu jeszcze w miarę się zgadza, wszystko to w jakimś stopniu mieliśmy. Ale Mateusz ostrzega też, cytując Jezusa, że pojawią się fałszywi prorocy i fałszywi Mesjasze, którzy będą udawać, że nastąpiło drugie przyjście. W tym punkcie Mateusz jest bardzo skrupulatny. Proszę przeczytać uważnie rozdział dwudziesty czwarty. Nie należy wierzyć tym, mówi, którzy głoszą, że Jezus powrócił i naucza na pustyniach albo chodzi po domach. Ponieważ kiedy przyjdzie naprawdę, otworzą się niebiosy, stanie się światłość i wszyscy go zobaczymy. List świętego Pawła jest jeszcze bardziej jednoznaczny. Dowiedźmy się, że Chrystus wrócił, bo archanioł zagra na trąbie Bożej, a Pan zstąpi na ziemię w towarzystwie zmartwychwstałych zbawionych. W Olivos zdarzyło się coś innego, prawda? To, co prezydent zobaczył na drzewie, o ile w ogóle coś zobaczył, to było złudzenie. Albo prezydent kłamie. Albo pokazał mu się demon. Każdy student teologii mógłby to wytłumaczyć lepiej ode mnie. Dziwię się, że biskupi nie protestowali ostrzej. I że Jan Paweł II nie zaprotestował z Rzymu.

- Nie sądzę, żeby zareagowali dziś czy jutro - stwierdził szef działu zagranicznego. - Ta historia dotyczy szefa katolickiego państwa. To grubsza rzecz. Potraktują to jako sprawę dyplomatyczną. Najpierw będą chcieli sprawdzić, o co tu chodzi.

- Nie mamy tyle czasu - odezwał się Camargo. - Zanim papież się odezwie, o ile w ogóle się odezwie, prezydent zdąży pozyskać sobie dwa czy trzy miliony łatwowernego elektoratu. Wygra następne wybory. A my dalej będziemy się topić w korupcji.

- Może ja pojedę i spróbuję skłonić opata Los Toldos do rozmowy - zaproponowała Reina. - Kobięcie odpowie na pytania, nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

- Opat nikogo nie przyjmuje - wtrącił się redaktor od polityki. - Dostał już siedemdziesiąt próśb o udzielenie wywiadu.

- Mogę go zaskoczyć jutro na porannej mszy - powiedziała Reina.

- Nawet jeśli z tobą pogada, będzie za późno - uznał Camargo. - Potrzebuję czegoś na dzisiaj.

- W takim razie jedyna szansa to nieszpory: psalmy, odczytanie listu, śpiewanie *Magnificat* i *Salve Regina*. O której to będzie według planu?

- O siódmej wieczorem - poinformował ten od polityki.

- Czasu wystarczająco dużo - uznała Reina. - Jeśli wyjadę w ciągu godziny, dotrę na czwartą.

- Najpierw musisz mnie przekonać, że jesteś najlepszą osobą do tej misji - powiedział Camargo. - A potem trzeba się zastanowić, jak dostaniesz się do środka. Wszystkich wejść pilnuje wojsko.

- Mamy jakiś plan klasztoru, powiększone zdjęcie kaplicy? - zapytała Reina.

- Mamy plan - odezwał się redaktor od polityki.

Rozłożył go na biurku. Po dwóch stronach głównego ołtarza ciągnęły się ławy dla zakonników. Z przodu ustawiono cztery kłęczniki, a za nimi ławki dla wiernych. Widać było trzy mniejsze ołtarze i kapliczki niedaleko atrium, wszystkie opatrzone numerami.

- Wiemy coś o tych kłęcznikach? - zapytała Reina.

- "Zarezerwowane dla fundatorki i jej rodziny": tyle piszą.

- Widzicie? - kontynuowała Reina. - Trzeba sprawdzić, kto to jest ta fundatorka i wejść z nią na nieszpory. Jakkolwiek by pilnowali, opat nie zamknie przed nią drzwi.

- Brzmi nieźle, o ile ta fundatorka jeszcze żyje i mieszka w okolicy klasztoru - powiedział Camargo. - Logistykę bierzemy na siebie. Reszta zależy od twojej wyobraźni.

- Raczej od improwizacji. Tyle że ja jestem osobą uporządkowaną i kiepsko improwizuję.

Camargo włączył telewizory i kazał redaktorom wyjść.

- Ty zostań - zwrócił się do Reiny. - Improwizowania można się nauczyć. Dam ci lekcję. Będziemy się trzymać razem w tej historii.

Poleciał redaktorom z newsroomu, żeby zidentyfikowali fundatorkę i zdobyli jej numer telefonu. Wydawał się mało prawdopodobne, żeby jeszcze żyła. Tereny klasztorne zostały przekazane zakonowi benedyktynów w 1948 roku, prawie pół wieku temu. Reina odwróciła się do niego plecami, wpatrując się w ekrany. Miała długą szyję, ciemne i świeżo umyte włosy opadały jej na ramiona, a delikatny zarys włosków na skórze wyglądał jak cień innych kobiet, którymi była w przeszłości.

Kamery państwowej telewizji pokazywały widok pustyni Los Toldos z helikoptera, domki Indian i od czasu do czasu fotografów biegnących tam i z powrotem w promieniach bezlitosnego słońca. Spiker mówił przyciszonym głosem, a w tle rozbrzmiewała łagodnie suita Bacha nr 3.

- Prezydent schronił się w najbardziej symbolicznej miejscowości argentyńskiej pampy - mówił spiker. - W jego celi znajduje się tylko skromna prycza, nocny stolik, krzyż i miska do mycia. O dziesiątej rano, po odmówieniu różańca, prezydent poprosił opata o pozwolenie na uczestnictwo w przygotowywaniu ciasta na chleb. Wpuszczono jedynie kilku fotografów, żeby uwiecznili tę scenę. Proszę spojrzeć na ten dokument, to już jest historia. Przywódca państwa argentyńskiego, w podkaszanej koszuli, zagłębia dłonie w skromnej masie z mąki i osolonej wody. Następnie pomaga przy wypiekaniu bochnów chleba i rozdawaniu ich najbiedniejszym mieszkańcom tej słodkiej ziemi.

- Wszystko mają przygotowane - stwierdziła Reina, nie odwracając się. - Nawet to ckiwe libretto czytane przez spikera.

- I co ty na to: nasz kraj zdycha, a my tracimy czas na takie komedie.

Helikopter przelatywał nad polami lucerny i kurzowymi zadymkami, przemknął nad dachami niskich i rozsypujących się domów i zatrzymał najpierw na opustoszałej stacji kolejowej, a potem na kwadratowym, nijakim placu, przy którym stały stare wozy i zdemolowane samochody.

- To błogosławiona ziemia - mówił spiker. - Ziemia przeznaczona do chwały. Mieszka tu ponad trzy tysiące Indian, którzy uprawiają żyzne gospodarstwa nadane im przez generała Bartolome Mitrego sto czterdzieści lat temu. Trzy kilometry od tego placu, w posiadłości zwanej La Unión, w 1919 roku urodziła się jedna z najwspanialszych postaci w argentyńskiej historii: Eva Peron, Evita, obrończyni biednych. Tutaj Evita nauczyła się chodzić, czytać i pisać, tu zaznała niesprawiedliwości świata. W tej szkole, którą widzą państwo po prawej, mającej tylko trzy sale, Evita ukończyła dwie pierwsze klasy, zanim jej rodzina przeniosła się do Junin. Czyż cała ta historia nie jest symboliczna? Nasz prezydent, oświecony nadprzyrodzonym objawieniem Jezusa Chrystusa, przyjechał się modlić za dobrobyt ludu argentyńskiego do tego właśnie miejsca, w którym Eva Peron rozpoczęła swoje życie pełne chwały i cierpienia...

- Może pan wyłączyć dźwięk? - odezwała się Reina. - Żołądek mi się przewraca. Słyszał pan to o żyznych gospodarstwach? Był pan tam kiedyś? Piętnaście kilometrów kwadratowych piaszczystych terenów poprzecinanych mokradłami. Prawie nie ma bydła. W wieku trzydziestu lat Indianie wyglądają na sześćdziesiąt.

Helikopter leciał dalej w stronę klasztoru, tworzącego idealny kwadrat wokół przestrzeni porośniętej kwiatami. Górne skrzydło, gdzie mieścił się kościół, ciągnęło się jakieś dwadzieścia metrów w lewo, pokryte wysokimi oknami należącymi być może do refektarza. Prawe skrzydło biegło w dół następne dwadzieścia metrów i mieściły się w nim cele najmłodszych zakonników. Reina z uwagą przyjrzała się budynkom. Podejrzewała, że po zakończeniu nieszpory odbędzie się procesja i figurka Matki Boskiej przedefiluje pod baldachimem.

Camargo z optymizmem przestudiował informacje przyniesione z archiwum. Tak, to jest do zrobienia. Fundatorka, owszem, zmarła, to prawda, ale jedna z jej córek zachowała wszystkie przywileje i co roku przekazuje zakonnikom hojne datki. Telefonując do niej, Camargo nie miał właściwie pojęcia, o jaką pomoc poprosi. Teraz zaczniemy naszą lekcję improwizowania, powiedział do Reiny powolnym i niepewnym głosem, który klócił się z wyrazem entuzjazmu na jego twarzy.

Miał szczęście, bo kobieta znajdowała się w Buenos Aires i również uważała to polityczne wykorzystywanie Jezusa za skandal. Znam opata, powiedziała. To święty człowiek i właśnie przez to niewinny. Nie rozumiem, jak mógł dać się złapać w coś takiego. Oczywiście, nie ma sprawy, zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc, ale absolutnie nie dam rady pojechać do Los Toldos. Sam pan wie, panie Camargo. To pięć godzin jazdy przez pustkowia. Nie wiem, czy pan zna moją posiadłość w Azotea de Carranza, sześć kilometrów od klasztoru. Teraz mam tam tylko dwóch służących i nigdy nie wietrzmy pokoi aż do połowy listopada. Jeśli pańskich wysłańców nie odstraszą niewygody, mogą tam zamieszkać, to żaden kłopot. Być może nawet nie będzie ciepłej wody do kąpieli. Aha, jeśli to kobieta pojedzie, to bardzo uprości sprawę. Mogę zadzwonić do opata i powiedzieć, że chodzi o pobożną kuzynkę żywiącą szczególne przywiązanie do czarnej Madonny, która właśnie przyjechała z Europy. I żeby dopuścił ją do rodzinnych kłęczników, rzecz jasna. Żebyśmy mieli pewność, napiszę list co pan na to? Tak, za godzinę, wszystko załatwimy w mniej niż godzinę.

- Tak to wygląda, Reina - powiedział Camargo. - Czasami wysiłki intelektu mniej są warte niż uśmiech losu.

- W takim razie pójde się stosownie ubrać.

- Czarne ubranie, spódnica poniżej kolan, czarna mantylka. Masz tę zaletę, że prezydent cię nie zna. I nie spuści z ciebie oka. Musi tam konać z nudów, a ty będziesz pierwszą od dwóch dni kobietą, jaką zobaczy. To lubieżny typ, przekonasz się.

- Jeśli zacznie się ślinić, nie będę go płoszyć. Może da się podpuścić.

Ekran pokazywał dwa szeregi pielgrzymów kroczących dookoła wielkiego placu przed bazyliką w Lujan z zapalonymi świecami. Na jednym z rogów, obok autobusów turystycznych Camargo wypatrzył ciężarówkę robót publicznych, która ich tam przywiozła. Co chwilę rząd podrzucał jakiś nowy trop do tego mistycznego cyrku, jakiś niespodziewany manewr. Niektórzy pielgrzymi szli na kolanach, inni przechylali świece, żeby gorący wosk parzył im ręce. Plac zapelniał się wędrownymi sprzedawcami oferującymi fałszywe gałązki z drzewa w Olivos umoczone w wodzie święconej.

- Reina - powiedział Camargo ze słodyczą, która wydała mu się obca. - Musisz się zbierać. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, zadzwoń na moją komórkę. Zadzwoń tak czy inaczej.

Zapisał numer na żółtej karteczce. Ona wstała i blask ekranów podkreślił delikatny zarys jej ciała. Ciekawe, co kryje się pod tymi tanimi ciuchami, pomyślał Camargo. Ciekawe, co kryje się w tej kobiecie.

5

Przez tyle czasu kontemplował nagie ciało kobiety, że zmieniło się światło dnia i przejrzysta miodowość wieczoru ustąpiła pełnej ciemności. Zamarły wszystkie odgłosy i pozostał już tylko rytm jej ciała, elektryczne drżenie oddechu. Czasami, gdy ona przewraca się na bok, z jej gardła wydobywa się zwierzęce chrapnięcie, klójące się ze szlachetnością jej wyglądu. Być może to taka atawistyczna skarga, jeden z odruchów, który kobiety utraciły w przeszłości, a który wraca w najmniej spodziewanym momencie. Teraz, kiedy może patrzeć na jej ciało do woli, kiedy ona leży naga wydana na pastwę jego spojrzenia, może spokojnie przyglądać się jej kościom miednicy i kostkom, ciepłym wklęsnięciom otwierającym się u spodu tych wniesień, i schodzić do zahartowanego brzucha, wyćwiczonego na siłowniach, i dotrzeć aż do ud, szczuplejszych niżby się wydawało, kiedy widzi się ją siedzącą, na których znajdują się wilgotne, podatne na dotyk ścieżki.

Kobieta śpi z otwartymi ustami i kiedy przybliży do niej lampę, może zauważyć jej różowy język. Nie potrafi wówczas oprzeć się pokusie i sięga dłońmi do innego języka, drobnutkiemu i delikatnemu języczka albo dzwoneczka, który spoczywa między innymi wargami, sięga w meduzie głębiny, rozsuwając wilgotne zasłony, poruszając się na oślep po owym polu, gdzie chciałby zasiać swoje ziarno, swoje pragnienie tak wielu dni. Niezręcznie rozsuwa jej nogi, widać to na ekranie, i pieści ją, zanurza nos i język w tym gorącym, nienasyconym zagłębieniu, pieści sterczące i zdeorientowane sutki, na których zarysowują się brodawki, malutkie kratery, plamki stworzone jego dotykiem, i chociaż ekran obnaża niedoskonałości jego własnego sflaczałego ciała, nie może się powstrzymać i wzdycha triumfalnie. Wreszcie kobieta należy do niego całkowicie, potulność uspiętego ciała to kolejna oznaka jego władzy, mógłby z nią zrobić, co zechce, i niejedną raz nachodziła go pokusa, żeby jej coś wytatuować, zranić ją, odcisnąć na ciele jakiś nieusuwalny znak informujący,

ile razy był w niej w przeszłości, i ile razy mógłby tu wrócić, gdyby zachciało mu się ją oglądać jak jakiś przedmiot, którym przecież jest.

Obraz na ekranie wydaje się tak realistyczny, że ma wrażenie, iż jego zmysły przeniosły się znów do pokoju na ulicy Reconquista, zamiast pozostać z nim w sali wideo w domu w San Isidro, obok korytarza z geranium. Coraz mniej chce mu się tu wracać. Pokoje ciągną się w nieskończoność, po-grzebowa samotność sypialni odbiera mu sen, i gdyby nie to, że ma kobietę schwytaną przez kamerę, gdyby za każdym razem, kiedy przyjdzie mu ochota, nie mógł odtworzyć jej na czterdziestodwucalowym ekranie, mieć jej dla siebie albo zbliżyć się do zmarszczek tego ciała, które coraz bardziej do niego należy, do pach, łagodnych wzgórz i zagłębień krocza, słuchając jednocześnie jej wiecznego oddechu, wiecznego, bo udało mu się tak to ustawić, że sześć kanałów audio ciągle emituje dźwięk oddechu kobiety, nawet kiedy on zatrzymuje obraz albo go powiększa, gdyby nie mógł zanurzyć się w labirynty jej włosów jak leśniczy bez kompasu, gdyby jej obraz, powiększony tysiąc razy, nie był zawsze w jego zasięgu, wtedy już dawno wyniosłby się z tego domu.

Kilka razy poleciał do Chicago i Traverse City, żeby zobaczyć Angele słabnącą na ołtarzu transfuzji; obok niej piętują się, jak ofiarne świece, pojemniki z lekarstwami i kapsułki na zastrzyki o groźnie brzmiących nazwach, których nie chciałby pamiętać, ale jednak pamięta w każdej chwili: cytarabina, vinicristine, cyklofosfamid, prednisone, merkaptopuryna. Tylko kilka godzin wysiedział przy łóżku, czując, że kiedy jest daleko, kobieta mu się wymyka: musi od razu wiedzieć, czym ona się zajmuje w danej chwili, albo sięgnąć przed telewizorem i przynajmniej posiąść obraz. Ale w Chicago i Traverse City nie ma nawet minuty spokoju. Redaktorzy z dziennika dzwonią do niego po dziesięć, dwanaście razy dziennie, a Brenda, ekszona, ściga go tym swoim owczym spojrzeniem, udając, że niczego nie widzi i nic ją nie obchodzi. "Bołą mnie kości, tato", mówi Ángela, ale jego też bołą kości i drżą od niecierpliwości, z jaką chciałby objąć śpiącą kobietę, okazać swoje ślepe pożądanie, wachać subtelne wonie wydzielane przez pory jej ciała, ach, wzdycha kobieta, ach, gnie się pod nawet najłżejszym jego dotykem, a on spragnionym językiem zbiera jej niewyraźne nawoływania, piętnaście tysięcy kilometrów na południe od tego jeziora, gdzie zapada noc, a jego córka umiera.

Teraz położył ją na plecy. Przełącza obrazy wedle woli, powoli, jeden za drugim, starając się odgadnąć, co może się w niej kryć poza ciałem, jakie obszary duszy otwierają się poza granicami jej fizyczności, których nie może przekroczyć, jakie wspomnienia, troski czy radości chowają się przed dociekliwością kamery. Zatrzymuje się przy pieprzyku na nodze i przy niemal niezauważalnej różowej plamie rozciągającej się na jej plecach, obok kręgosłupa, a potem włącza przyspieszony podgląd, przedziera się ku pośladkom, porusza się tak żwawo, że uda kobiety wyglądają, jakby drżały, gdy ona się przeciąga. Przez to przyspieszenie obraz robi się niedoskonały, robi się nierzeczywisty jak trzepot skrzydeł zagubionego ptaka, i chociaż on wyciąga ręce w stronę kobiety, wie, że jej tam nie ma, że jej ciało jest tylko obrazem ze światła, bez zapachu i smaku, i że kiedyś będzie musiał jej opowiedzieć o wszystkim, co zrobił z tymi obrazami, i o wszystkim, co te obrazy zrobiły z nim.

Przez ponad tydzień rozmyślał nad pomysłem sfilmowania jej podczas snu i puszczenia potem tych filmów na ekranie naturalnych rozmiarów, u siebie w domu. Kamera, której zamierzał użyć, była nie większa od pięści i prawie nie robiła żadnego hałasu, ale on chce, żeby to trwało kilka godzin, tak jak *Sleep* Andy'ego Warhola, kompletny zapis całej nocy snu, tyle że w odróżnieniu od Warhola nie ma to być pasywna kamera, tylko siła natury zdolna uchwycić każdy ruch ciała spowodowany oddechem, każdą reakcją porów skóry, żywa kamera, która ogarnie i powoli pochłonie kobietę. Do tego konieczne jest, żeby ona się nie obudziła. Wejście do jej mieszkania to już nie problem: on ma przecież dorobiony klucz. To, na czym mu zależy, to żeby ona zasnęła głęboko i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Powiedział jednemu ze swoich lekarzy, że ma kłopoty z zasypianiem i, żeby dojść do siebie, chciałby przespać jeden cały dzień, od północy w sobotę do czwartej popołudniu w niedzielę, na przykład. Lekarz polecił mu najpierw środek uspokajający, lek rozluźniający mięśnie i usuwający napięcie, ale on chce czegoś innego. Wcześniej już próbował, mówi, i było jeszcze gorzej: napięcie, zamiast opaść, doprowadzało go do szaleństwa. Środek nasenny, tego mu trzeba. W takim razie fenobarbital, odpowiada lekarz po chwili namysłu. Jeśli nie utrafimy z odpowiednią dla ciebie dawką, możesz obudzić się z bólem i zawrotami głowy. Nie chciałbym, żebyś potem miał pretensje. Chcę czegoś na sen, upiera się on. W końcu to ma być tylko jeden raz. Nie obawiam się jakiejś złej reakcji twojej wątroby i nerek, mówi lekarz. Boję się, żeby nie uszkodziło ci to mięśnia sercowego. W

każdym razie nie bierz więcej niż dwie kapsułki przed snem, dwieście miligramów. I niech ci do głowy nie przyjdzie pić alkohol: ani kropelki. Efekt będzie pewniejszy w oczyszczonym organizmie. A gdybym wziął trzy razy tyle? - pyta on. Gdybym chciał zemdleć, zapomnieć o wszystkim i przyjąć na przykład sześćset miligramów, co by mi się stało? Nie umarłbyś, mówi lekarz, ale trudno by ci było wstać. Miałbyś zawroty głowy, twój sen przypominałby stan po narkozie, na pewno byś wymiotował. Efekt nie różniłby się bardzo, ale konsekwencje okazałyby się niepotrzebnie dużo poważniejsze. Ale nie próbuj tego, co? Nie, po co, odpowiada on.

Wie, że kobieta nigdy nie wychodzi z pracy przed jedenastą, a jeśli wraca, bo musi się przebrać na jakąś kolację, pojawia się między ósmą a dziewiątą. Będzie zatem miał wystarczającą ilość czasu, żeby wejść do mieszkania i przygotować sprzęt. Para bezdomnych od kilku miesięcy śpi w wejściu do przylegającego budynku, pod okapem balkonu, tam gdzie mieści się pralnia, którą się wcześniej zamyka. Z taką swobodą rozkładają swoje kartony i zniszczone przykrycia, zaznaczają swoją przestrzeń z tak silnym instynktem terytorialnym, że żeby dostać się do drzwi, trzeba nad nimi przeskakiwać. Zimą jeździ tu miejska ciężarówka i zabiera ich do schroniska, ale bezdomni zawsze wracają. Być może ten ich ciemny i brudny kąt w mieście służący im za legowisko to jedyna rzecz, która pozwala im być sobą, czuć, że żyją.

W nocy, którą wybrał na filmowanie, para także utrudnia mu przejście. Mężczyzna ma mniej niż czterdzieści lat i jego wygląd nie pasuje do nędzy, w jakiej żyje. Ma silne ramiona, buntownicze i wyniosłe spojrzenie, a jego zawsze podbite oczy obserwują otoczenie z tak głęboką niechęcią, że jest ona może starsza niż ten świat. Zarówno jemu, jak i jego towarzysze powypadały zęby. Jej zostały tylko trzy siekacze na dole; jemu absurdalny kieł zniekształcający wargę. Kłoszardka od miesięcy choruje, a mężczyzna przez większą część nocy nie śpi, troszczy się o nią i pieści. Ona jest od niego wyraźnie starsza, ale nie tyle, żeby być jego matką. Zresztą w ogóle nie są do siebie podobni. Jej ciało pokrywają rany: zwłaszcza jedna, na łopatce, otwiera się jak drugie usta. Pewnej nocy bezdomny pobiegł w poszukiwaniu karetki pogotowia, a ponieważ nie pozwolono mu pójść z kobietą do szpitala, stał i czekał aż do świtu, jak gdyby świt mógł przywrócić to, co się stało, do wcześniejszego stanu. Kto wie, skąd owe dwie biedne istoty wzięły siłę, żeby wrócić kilka tygodni później i znowu rozłożyć się na swoich nędznych barłogach, tej samej nocy, kiedy on niesie gram fenobarbitalu porozdzielany na cztery porcje w papierkach i wchodzi, jak zawsze niezauważony, do mieszkania kobiety.

Zgodnie z jego wyliczeniami, żeby spowodować głęboki sen, taki jak po narkozie - jak powiedział lekarz - musi rozpuścić po sześćset miligramów leku na szklankę. Nawet jeśli ona wypije tylko łyk, dawka nie okaże się niższa niż dwieście miligramów. Już wie, w czym to rozpuścić: w soku pomarańczowym, który ona zawsze pije przed pójściem do łóżka. Starannie przestudiował jej obyczaje. Kobieta ma karton z sokiem 0,75 litra i zawsze przed użyciem potrząsa nim kilkakrotnie. Według jego szacunków w kartonie zostało soku mniej więcej na szklankę. Wydaje mu się nieprawdopodobne, żeby kobieta otworzyła nowy karton. W swoim pokoju z naprzeciwka kilka razy sprawdził, używając nieszkodliwego proszku, konsystencję i smak soku, kiedy doda się do niego lekarstwo. Nie czuć różnicy. Czasami na dnie zostają resztki osadu, ale nawet gdyby ona zobaczyła te pozostałości, nie domyśli się, że to jakiś narkotyk.

Nie potrzebuje teraz zapalać świateł. Zna to mieszkanie na wylot. Wystarczy mu blask wydobywający się przez uchylone drzwiczki lodówki. Wsypuje fenobarbital do soku i energicznie potrząsa kartonem. Chociaż zmieł pigułki tak drobno, że wręcz nie da się ich wyczuć dotykiem, kilka białych płamek uporczywie unosi się na powierzchni soku.

Na to też się przygotował: przyniósł bardzo gęste sitko i przesącza przez nie sok do wysokiego naczynia, z którego z powrotem przelewa go do kartonu. Ponownie potrząsa. Przez chwilę kusi go myślenie, żeby schować się w szafie, gdzie miejsca jest pod dostatkim, i obserwować działanie leku. Ostatecznie ma wszystko, czego mu trzeba: naładowaną kamerę i dwie zapasowe kasety. Chociaż już wiele razy kusiło go, żeby się schować, odrzuca tę myśl: kobieta mogłaby zacząć szukać w szafie czegoś nieprzewidzianego i znaleźć go. Albo mogła zareagować na narkotyk w nieplanowany sposób, zemdleć, albo zacząć krzyczeć, a on wolałby nie być w jej domu, jeśliby coś takiego miało się zdarzyć. W końcu zmieszał zawartość trzech torebek fenobarbitalu z sokiem, dwieście pięćdziesiąt miligramów więcej niż trzeba. To, co zostało na sitku i osiadzie na dnie kartonu, wyrówna dawkę.

Ostrożnie zmywa użyte naczynia, wyciera je ścierką, którą przyniósł ze sobą, i ostatni raz zerka na karton. Piana osiada, a lek rozpuścił się lepiej, niż można się było spodziewać. Przed wyjściem nie zdołał się powstrzymać i zapalił latarkę, żeby przeszukać szuflady. Znajduje nowe zapiski do eseju, nad którym kobieta pracuje od kilku tygodni, tym razem zapisane są pośpiesznej i zwięzłej: Przed Jezusem i po nim nie brakowało w Palestynie proroków i magów ogłaszających się Mesjasza - mi albo synami Bożymi. W większości byli to niepiśmienni wieśniacy. Podsycali ludowy opór przeciw Rzymowi i uważano ich za ludzi świętych i pobożnych, którzy wchodząc w kontakt z boskością, pozwalającą im leczyć chorych i sprowadzać deszcz, narażali swoje zdrowie. Jezus był jednym z tysiąca, a jego doktryna ma wspólne elementy z naukami Esseńczyków, Baptystów i Zelotów. Nawet nie jest zbyt oryginalna. Zastanawiam się, jaka istotna przyczyna zaważyła na tym, że to jego imię weszło do historii przed wszystkimi innymi. Znajduję tylko jedno wytłumaczenie: Jezus zawdzięcza swą nieśmiertelność piśmu. Ewangelściści szczegółowo opisali to, co zrobił i powiedział, i opracowali trzon doktryny, która pozwoliła jej wyznawcom poczuć się częścią czegoś wyższego. Esseńczycy również próbowali zaistnieć w pismach, ale kiedy w Oumran odkryto ich zwoje, nie było już dla nich miejsca w historii, bo Jezus zajął wszystkie.

Nie przeszkadza mu, że kobieta ma śmiałe poglądy, albo przynajmniej czyta śmiałe rzeczy. Natomiast owszem złości go, że traci czas.

Nikt nie opublikuje jej eseju z tak nieprawomyślnymi ideami. Jednocześnie dziwi go, że chociaż wszystkie inne kartki na biurku zadrukowane są jednakowo czcionką Times New Roman wielkości dwunastu punktów, notatki o Jezusie sporządziła zielonym długopisem, takim jakiego używał Pablo Neruda do pisania wierszy, oraz to, że na końcu strony kobieta napisała ponownie, i to ołówkiem, zdanie, które zaniepokoiło go już za pierwszym razem, gdy grzebał jej w szufladach: **Największym objawem pychy jest uważanie siebie za syna Boga.**

Gdzieś w mieszkaniu musi kryć się coś jeszcze, stwierdza nagle, bo przez kilka ostatnich dni ona zachowywała się w dziwny sposób. Jej ruchy przed lustrem stały się powolniejsze, bardziej zmysłowe, a czasami chodzi po pokojach zamyślona, jak gdyby zgubiła się w sobie. Jeśli coś tu jest, to musi być schowane gdzieś w biurku: zdjęcia, kopie listów, wycinki z gazet, tutaj przechowuje wszystko, co mogłoby ją zdradzić. Poza tym przecież do głowy jej nie przyjdzie, że jest obserwowana. Czuje się bezpieczna. Oprócz sprzątaczkii nikt nie bywa w jej mieszkaniu. Kobieta zachowała tę przestrzeń tylko dla siebie i nie przyjmuje gości. Trzeba by sprawdzić, czy ta samotność jest zamierzona, czy ona naprawdę jest zadowolona, czy tylko udaje.

Artykuł z "Veja" zniknął z drugiej szuflady, ale w rzybie papieru, teraz już mniejszej, znajduje dwa wydrukowane e-maile, które wydają mu się podejrzane. Kobieta skopiowała je z Internetu, pewnie po to, żeby móc do nich wracać. Pierwszy pochodzi od jakiegoś dziennikarza z Bogoty. I jest adresowany do niej, nie ma innej możliwości: Kochana, w takim razie Rio, skoro tak wolisz. Rezerwować Copacabana Pałace czy Cesar Ipanema? Całuję, całuję! I jej odpowiedź, wysłana pół godziny później: Kochany, już za tobą tęsknię. Wolę Pałace. Bez Ciebie moje dni nie mają sensu. Tak jakbym nie do końca wiedziała, kim jestem, gdzie jestem, która jest godzina. Czy ja chcę odzyskać spokój? Czy jeszcze potrafię, czy jest za późno, czy stałam się inna, od kiedy jesteśmy razem? Jestem przy Tobie taka szczęśliwa! Szkoda, że przez tę odległość nie możesz zobaczyć, jaką mam głupią minę, ewidentny dowód, że jestem szczęśliwa i zakochana. Zobaczymy się zatem na lotnisku Galeão. Dławi mnie ból miłości. Całuję.

Chociaż przeczuwał coś takiego, ogarnia go oburzenie i wstyd. Ona pisze dużo bardziej bezwstydnie niż ten kolumbijski dziennikarz, to się rzuca w oczy: to, co dla dziennikarza jest zwykłą przygodą, romansikiem na kilka nocy, ona traktuje jak sprawę życia i śmierci. "Czy stałam się inna, od kiedy jesteśmy razem?" Cóż za bezwstydnie zdanie. Wystarczy, że on gwizdnie, rzuci nazwą hotelu, a ona już pędzi do niego jak wygłodzona suka. Im dłużej czyta te wiadomości, tym bardziej jest oburzony, nie na kobietę, tylko ze względu na siebie. To tak odpłaca mu za bezsenne noce spędzone na oglądaniu jej ciała przez soczewki Bushnell, na czuwaniu nad nią z oddali, czekaniu na najdrobniejszy nawet oddech? Przeczuwał to: prędzej czy później musiała go zdradzić. Uważa to za skandaliczne. Gdyby chciał, mógłby jej uniemożliwić wyjazd do Rio. Ma władzę, środki. Jednak dobrze się nad tym zastanowił i pozwolił sprawom toczyć się swoim biegiem. Pozwoli jej wyjechać. Ale nie tak, jak ona by chciała. Nie tak, jak planuje sobie kolumbijski dziennikarz. On ją nazywa, zrani. Zniszczy ją i już nawet wie jak.

Teraz musi dokończyć to, po co tu przyszedł. Przed zamknięciem drzwi mieszkania, uważnie sprawdza, czy wszystko jest tak, jak ona to zostawiła. Kobieta jest bałaganiarą, ale każdy przedmiot nie na swoim miejscu może ją zaniepokoić. Naciska przycisk windy i kątem oka sprawdza, czy nikt nie nadchodzi. Rzadko kiedy spotyka tu innych ludzi. Budynek jest nowy i prawie niezamieszany. Zbliżając się do drzwi wyjściowych, natyka się na parę bezdomnych, która porozkładała swoje rzeczy: rozpruty gąbkowy materac, wilgotne ubrania, koce, gumowe maty. Próbuje ich wyminąć, ale ich ciała blokują przejście, a oni nie zwracając na niego uwagi, rozmawiają w jakimś odległym języku, z którego on nie rozumie ani słowa. Dajcie mi wino, wydaje mu się, że mówi kobieta, nowac, wino, dźwięki kojarzą mu się z jakimś filmem, ale nie może sobie przypomnieć z jakim.

Bezdomny nagle obraca ku niemu swoje kaprawe oczy i z trudem wydaje z siebie zniekształcone brakiem zębów dźwięki: "*Paperos, gospodine, paperos?*" Kobieta, tkwiąca głęboko w swoim gnieździe, wydaje się go besztać. Mówi szorstkim, schorowanym głosem, który rodzi się chyba nie w jej gardle, tylko w płucach: "*Dodite k meni*". Któż może wiedzieć, czego chce.

Przez chwilę waha się, ma ochotę przejść obojętnie. Chętnie powiedziałby: "Przykro mi. Nie palę". Jednak zamiast tego szuka pięciopesowego banknotu i podaje go mężczyźnie: "Proszę sobie kupić paczkę papierosów", mówi. I wychodzi na ulicę.

Po lekturze tego koszmarne go listu do kolumbijskiego dziennikarza nic by go tak nie ucieszyło, jak widok kobiety z naprzeciwka leżącej w barłogu bezdomnej, żeby wydawała z siebie te same astmatyczne odgłosy, drapała się po tych samych strupach. Ale teraz musi odczekać, aż ona wróci z pracy. To nie powinno potrwać długo. Siedząc w półmroku pokoju, który wynajmuje na ulicy Reconquista, ustawia soczewki teleskopu Bushnella i czuje, jak zalewa go gniew, poczucie bezsilności, za kogo ta idiotka się uważa, to nic, to szczurze gównu, jak ona mogła zrobić mi coś takiego, nie ma pojęcia, kogo obraziła.

Teraz nie ma już najmniejszych wyrzutów sumienia, że nasypał jej fenobarbitalu do soku. Gdyby zorientował się w porę, wysypałby jej cały gram, albo dwa, żeby już się nie zbudziła. Ale ona nawet nie zasłużyła na spokojną śmierć, kurwa jedna, nie daruję jej tego. To ja decyduję, jak ona umrze, nie puszcę jej na drugą stronę, zanim nie poczuje mojej kary i nie zacznie żałować tego, co mi zrobiła. W przeciwległym budynku na korytarzu zapaliło się światło. Czy to ona wraca? Szybko przesuwam teleskopem w stronę idącej postaci, ale ruch był zbyt szybki, postać ucieka z pola widzenia, nie łapię jej, skręca w stronę windy. Dziś w nocy może padać. Kiedy pada, powietrze robi się gęstsze, srebrzysta mgła spowija jej okno, nie będę jej widział, tak jak bym pragnął, nie będę jej pragnął tak, jak bym widział. W końcu kobieta zapaliła światło w pokoju. Zdjęła płaszcz: zgaduję. Teraz ściąga też buty. Sweter? Nie, najpierw podchodzi do lustra, żeby ściągnąć go przez głowę, poruszać głowę na boki, kołysać się. Szczęśliwa jest, nieszczęsna. I wstydliva? Zrobiła się wstydliva? Pierwszy raz narzuca szlafrok na ciało w samej bieliźnie. Potem usuwa makijaż, na ślepo sięga ręką w stronę lodówki, bierze karton soku pomarańczowego i potrząsa nim, ach, na to czekałem, otwiera szafkę, szukając szklanki, ale nagle, zniecierpliwiona, zaczyna pić prosto z pudełka. Wcześniej już tak kilka razy piła. Kiedy wydaje się jej, że jest sama, nie przejmuje się manierami. Odbija jej się, czy czuje mdławy posmak fenobarbitalu? Kto wie. Jeszcze nie wszystko wypięła. Odchyła głowę i znów pije z kartonu. Już. Wygląda, jakby jej było gorąco. Rozchyła szlafrok, wachluje się jego połą, podnosi się i szuka jakiejś płyty. Co noc jest tak samo. Woli falowanie muzyki od płomieni telewizora. Patrzy w lustro. Powoli się przeciąga.

I śpiewa, śpiewa? Unosi ręce w triumfalnym geście i jej język porusza się, tęsknota za czekającą w oddali miłością albo tylko ogarniająca ją senność, widać to w jej oczach, powieki ci opadają, co? To miłość cię ogarnia czy senność? Już idę, idę, czekaj na mnie, nie przejmuj się i czekaj.

Teraz, kiedy ona znowu wydana jest na pastwę jego spojrzenia, bezbronna po drugiej stronie teleskopu, chciałby poczuć jej zapach. Wystarczy mu wezwanie jej woni i już przechodzi przez ulicę, kolejny raz przeskakuje nad parą bezdomnych i drugi raz wchodzi do pokoju, tym razem po to, żeby ją rozebrać i sfilmować, i rozdzielić linie jej ciała na nieskończoną ilość fragmentów, które potem swobodnie poskłada na swoim ekranie. Rozbierze ją, a potem znów ubierze, umyje karton po soku i przed wyjściem wyrzuci do śmieci. Następnego dnia zanieśie nagrania do swojej sali wideo w domu na San Isidro, obok korytarza z geranium, i godzinami będzie wsłuchiwał się w rytm jej ciała, elektryczne drżenie oddechu, który kocha i którego nienawidzi.

To był kiepski dzień na wyjazd z Buenos Aires. I kiepski dzień na to, żeby Reina tam nocowała, naelektryzowana mistyczną atmosferą kreowaną bez przerwy przez radio: jesteście solą Boga, jesteście spojrzeniem Boga, avemaria łaski pełna, która poruszasz słońcem i innymi gwiazdami. To był również kiepski dzień na tkwienie w bezruchu, pełne napięcia i czekania na to, co się zdarzy trzysta kilometrów na zachód, w świętym klasztorze Los Toldos, i kiepski na poruszanie się po ulicach, które, jak wydawało się Reinie, zostały zablokowane przez niekończące się manifestacje źle opłacanych nauczycieli, żyjących w nędzy emerytów, studentów, którzy nie mieli zajęć. W jaką otchłań stoczył się ten kraj, jak się pozbiera z tego upadku. Czy to, co ja napiszę, może jakoś pomóc? - zastanawiała się Reina. Czy pokazywanie ran może coś zmienić? Chyba nic nie pomoże, nic się nie zmieni, wszyscy zginiemy, wołając w próżnię na tej pustyni głuchych.

A jednak, kiedy wsiadła do samochodu z wyznaczonym przez Camargo szoferem, który miał ją zawieźć do Los Toldos, tylko jedna rzecz utrudniła im podróż: szereg dziesięciu ciężarówek, które wlokły się leniwie od Obelisku do Plaža de Mayo, trąbiąc przenikliwie. Poza tym cisza: tępe milczenie bezkresnego miasta. Natomiast, owszem, pod bramami kościołów widziała skupiska pielgrzymów, którzy przemierzali się wzdłuż ścian, trzymając długie, zapalone świece. Słyszała jakieś przytłumione śpiewy jak zza grobu, *Przybądźcie chrześcijanie*, a potem szofer pokazał jej z osłupieniem długą kolumnę ludzi maszerujących aleją Maipu na północ, żeby zobaczyć, choćby z daleka, gałązkę świętego drzewa.

W mniej niż pół godziny dotarli do zachodniego wyjazdu z miasta, a w drugie tyle do szosy numer 7, z której zjechali na prowincjonalną drogę prowadzącą do Azotea de la Carranza. W południe mknęli przez pustkowia. Czerwcowe niebo było delikatne, niemal płynne i sączył się z niego afrykański upał: pory roku na pampie nigdy nie dopasowują się do naturalnego rytmu i zwykły robić to, na co mają ochotę. Mijali pola, na których zielona jeszcze pszenica dopiero zaczynała się wychylać, oraz inne, dopiero zaorane i spulchnione, ale od rzeki Salado oglądali już tylko suche pustkowia i kurzawy. Krowy ze świętą cierpliwością przechadzały się po tych żółtych ugorach, a zrujnowane domy widoczne z drogi wydawały się opuszczone, pozostawione na łaskę chaotycznego wiatru.

Zgubili się przy zjeździe na Los Toldos, o trzeciej po południu. W blasku słońca zawieszono na środku nieba wszystkie budynki wyglądały tak samo: magazyny i werandy ciągle się powtarzały, wszystkie identyczne; na żadnym rogu nie mogli dopatrzeć się nazw ulic, a w dwóch domach, przy których się zatrzymali, żeby zapytać o drogę, zastali martwą ciszę. Miasta zmieniają się szybciej niż ludzie, pomyślała Reina. Zdarzało mi się wejść w Buenos Aires do kina i wyjść po tym samym filmie w Meksyku, ale to miasto nie zmieniło się od dziesięcioleci. To płaski labirynt: najgorszy rodzaj. Jakieś dwadzieścia po trzeciej szofer zawrócił i pojechał tą samą ulicą, która już kilka razy zawiodła ich w ślepy zaułek, i ta zmiana kierunku sprawiła, że usłyszeli odległy głośnik, z którego sączyła się zagubiona w czasie melodia, *Dziewczyna ze sklepiku*, o której śpiewał Heleno. Z czymś na kształt wstydu Reina przypomniała sobie, jak kołysała się w takt tego koszmaru na jakiejś imprezie z wczesnych czasów szkolnych, ale teraz wydało jej się zabawne, że piosenka stała się punktem orientacyjnym i umożliwiła dotarcie do centralnego placu, na którym konna figura Wyzwolicielea wznosiła się nad koronami kilku usychających drzew. Drzwi kościoła otwarte były na oścież. Sześciu odzianych w purpurowe, wielkoczwartkowe habity mężczyzn szło w procesji, niosąc Chrystusa ukrzyżowanego. Za nimi, śladem księdza potrząsającego ostrożnie kadzidłem, tak żeby nie zabrudzić swoich liturgicznych koronek, ciągnął się tłum starych krzykliwych kobiet, które też śpiewały *Przybądźcie chrześcijanie*, rywalizując zawzięcie z głośnikiem emitującym *Dziewczynę ze sklepiku*. W barze na rogu obok kościoła powiedziano im, jak wrócić na lokalną szosę i skręcić na Azotea de Carranza. Już piętnaście po czwartej, powiedziała Reina. A o siódmej zaczynają się nieszpory.

Kiedy dostrzegli posiadłość fundatorki, mieli wrażenie, że niewiele to zmienia. Służący czekali na nich w otwartej bramie, siedząc na chuderławych koniach. Poprowadzili ich między dwoma rzędami wiązków na zakurzony dziedziniec. Odcięto nam wodę, poinformowali. Nalaliśmy do wanny wody ze studni, jeśli chciałaby się pani odświeżyć. W pokojach powietrze będzie świeższe, bo trzymamy je w ciemnościach - od światła robi się gorąco - tłumaczyli służący - światło za dnia i muchy nocą. Reina miała wrażenie, że dom nigdy nie był wietrzony, to samo powietrze było tu przed jej urodzeniem i pewnie będzie po jej śmierci. To powietrze pełne mądrości i wspomnień, tyle już razy widzianych i słyszanych, te krzesła pokryte zakurzonymi pokrowcami przypominającymi całuny

oraz kamienna podłoga, na której jej obcasy pozostawiały dźwięczne echo, łomot gorszy od *Dziewczyny ze sklepiku* - wszystko to wydało się jej złym znakiem.

W każdym razie za dziesięć szósta była już gotowa, nie wykąpała się, ale odświeżyła w wannie, wyperfumowała się Chloe de Lagerfeld, które zawsze miała w torebce na wszelki wypadek, ubrała się jak kobieta z innego wieku, mantylka i długa czarna spódnica, i czarna bluza z koronkami, przez którą prześwitywały jednak piegi na dekolcie. Na franciszkańskim stoliku w pokoju przygotowanym dla niej przez służbę - oczywiście niewietrzonym - obok łóżka szerokiego na trzy osoby, zakrytego gęstą moskitierą dającą klaustrofobiczny efekt, Reina zapisała kilka myśli, które później miała włączyć do podsumowującego artykułu. Zdała sobie sprawę, że pisze chaotycznie, że jej język zdradza oburzenie na bezczelność prezydenta i biskupa, którzy tak cynicznie oszukiwali ludzi, ale poczuła też, że kiedy bierze się do pisania, potrafi zapanować nad tym gniewem. Im bardziej neutralna będzie jej relacja, im większy dystans do wydarzeń zachowa, tym łatwiej jej uwierzą, powiedziała sobie. Nie jestem samą prawdą, ale też żadnej prawdy nie będzie, póki nie zacznę pisać. Czy nie tego chce Camargo?

Czekała na jego telefon. Zadzwoił równo o szóstej. Chciał omówić z Reina, punkt po punkcie, to, co trzeba zrobić. Jeśli nawalisz, powiedział jej, jutro wyjdziemy z pierwszą pustą stroną. Jego głos pełgał w telefonie, słyszało się jakieś zakłócenia.

- To przez brak powietrza - powiedziała Reina. - Tu nie ma atmosfery. Nie docierają sygnały z satelity. Jest tylko kurz i białe światło, w którym wszystko zanika.

- Co? - zdziwił się Camargo.

- Nie nawalę - powiedziała Reina, wychodząc na korytarz.

- Nie byłbym tego taki pewien. Ludzie, których wysłał, wciąż niczego nie mają. Nikt nie może się zbliżyć do bramy fortecy. Fundatorka zadzwoniła do opata i uprzedziła go, że będziesz na nieszporych. Kazała mi obiecać, że nikogo o nic nie będziesz pytać, że jeśli otworzysz usta, to tylko po to, żeby się modlić. Ma zaciągnięty jakiś kredyt na sprzęt rolniczy i nie chce zadzierać z rządem. Gdyby mi to powiedziała wcześniej, nie wysłałbym cię.

- Proszę się nie przejmować. Wiem, co robić. Dzwoniłam już do opata i uprzedziłam go, że przyjadę za piętnaście siódma. Jeden z zakonników ma na mnie czekać przy wejściu. Chcą zobaczyć moje dokumenty i list polecający. Kiedy już wszystko sprawdzą, zaprowadzą mnie na miejsce zarezerwowane dla rodziny fundatorów.

- Z tym nie będzie problemów. Wiem, że cię wpuszczą - powiedział Camargo. - Nie wiem natomiast, co możesz zrobić już w środku.

- Nie mówił pan, że prezydent będzie mi się gapił na nogi? Czas rozwiać złudzenia. Moja suknia wygląda jak jakiś habit zakonny. Nie zrobiłam sobie makijażu. Rzadko kiedy czułam się tak nieatrakcyjna. Jak sobie człowiek wyobraża przebieg wydarzeń, to wszystko układa się inaczej. Zadzwoń do pana o ósmej, kiedy będzie po wszystkim. Watykan jakoś zareagował?

- Tam jest już późno. Papież udał się na kolację. Rozmawialiśmy z rzecznikiem, ale nie komentował. Chcą się przyjrzeć tej sprawie.

- No to niech mi pan życzy szczęścia.

Kierowca przydzielony przez Camargo twierdził, że poradzi sobie na tych pylastych pustkowiach bez pomocy. Pewność siebie go zgubiła. Dwa razy wpuścił się w ślepe uliczki, a raz prawie wjechał w bagno. Reina dotarła do klasztoru z dziesięciominutowym opóźnieniem. Z odległości słyszała już, że zakonnicy zaczęli śpiewać Magnificat. Wystrój kaplicy był bardzo prosty, bez żadnych ornamentów, ale budynek wznosił się do góry na niemal niewidocznym pagórku: takie wypiętrzenie na równinie wyglądające jak westchnienie Boga. To właśnie powiedział czekający na nią zakonnik: "Tutaj słyhać oddech Boga", na co ona odpowiedziała jedynym zdaniem, jakie знаła po łacinie, Deus pro nobis. Weszła na nieszpory z pochyloną głową. Zajęła jeden z klęczników po lewej, bo prezydent zajmował samotnie ten po prawej. Na jej lekkie skinienie głową odpowiedział ukłonem udającym wstydlivość, ostrożność i cnotliwość, wszystko naraz. Później, za każdym razem, kiedy wstawiała albo klękała w rytm liturgii, korzystała z okazji, by mu się przyjrzeć. Miał na sobie jeden z tych błyszczących, jedwabnych garniturów, które wyrażały jego wyobrażenie o elegancji, oraz musztardową koszulę bez krawatu. Znużenie modlitwami uwydatniało cienie pod oczami. Byli w trakcie drugiego psalmu i zostało jeszcze jedno czytanie oraz Salve Regina. Prezydent pewnie błagał w duchu, żeby ta kościelna udręka już się skończyła i żeby mógł wrócić do swojej samotniczej celi i pograć sobie na game boyu, którego zawsze nosił ze sobą.

Reina wiedziała, co robić. Zaplanowała to na długo przed rozmową z Camargo, ale nie chciała mu mówić. Wiedziała, co zrobić, ale nie wiedziała jak. Zidentyfikowała opata, który siedział na najwyższej ławce w rzędzie po prawej, opierając głowę na wysokim zagłówku w kształcie drewnianego gołębia najeżonego promieniami. Kiedy skończy się Salve Regina, zamierzała przed nim uklęknąć i ucałować w dłoń. Wtedy poda mu kopertę z krótkim listem. Obiecała niczego nie mówić, ale jeśli będzie trzeba, powie: "Przysłała mnie fundatorka". To w końcu prawda. Liścik był krótki, zasadniczy. Każde słowo musiało utrzymać uwagę opata: "Prezydent nie mógł zobaczyć Jezusa Chrystusa. Przyjmując go w swoim domu, staje się Ojciec współnikiem oszustwa. Proszę sobie przypomnieć Pierwszy List do Tesaloniczan, rozdział 4, wersety 15-18. Zwrócić uwagę na 24 rozdział Ewangelii według świętego Mateusza, przejrzyć Księgę Objawienia. Proszę pamiętać, że Chrystus musi wrócić na Ziemię w chwale i zwiastowany przez archaniołów w dniu Sądu Ostatecznego. To nie jest Sąd Ostateczny. Prezydent nadużywa zaufania Ojca i ośmieszy zakon benedyktynów". Podpisano: "Reina Remis, wysłanniczka fundatorki".

Kilka razy wyobrażała sobie tę scenę, ale nigdy tak, jak faktycznie się rozegrała. Ostatnie tony Salve Regina przebrzmiewały w organach. Opat wstał z uśmiechem zadowolenia i podszedł do prezydenta z wyciągniętą ręką. Czterech zakonników zdjęło z jednej z kaplic figurę czarnej Matki Boskiej i ustawiło ją na noszach używanych w procesji. Z miejsca, z którego patrzyła Reina, Matka Boska wyglądała jak pięcioletnia dziewczynka z lalką na rękach, chociaż wygląd miała groźny, żeby nie powiedzieć złowrogi: jej ciało od stóp do głów chroniły kolce jeżozwierza.

Kiedy pozostali zebrani zaczęli się poruszać, Reina miała wrażenie, że bierze udział w jakimś nieprzećwiczonym balecie: wojskowi adiutanci i spocony Enzo Maestro, ubrany w czarny, żałobny strój, poprowadzili prezydenta do opata, dzierżąc w rękach benedyktyńskie proporce, podczas gdy zakonnicy ustawili się w szeregu obok klęczników fundatorki. Grupka ministrantów wyszła z zakrystii i zgasiła świece na ołtarzu. Rządowy fotograf wyłonił się z jakiejś kryjówki za ławkami i rozświetlił scenę szybkimi błyskami fleszy. Nikt nie zwracał na Reinę najmniejszej uwagi. Jeśli nie zadziałam, pomyślała, opat sobie pójdzie i nie dostanę się do niego.

W tej chwili oświecił ją duch święty improwizacji. Wstała z klęcznika i skrzyła nie w prawo, gdzie natknęłaby się na zakonników, ale w przeciwną stronę. Szybko przebiegła koło ławek, dotarła do ołtarza i skłoniwszy się szybko przed posągami świętego Benedykta, uklękła przed opatem. Wiedziała, że będzie trzeba powiedzieć: "Przynoszę wiadomość od fundatorki", żeby zasugerować, że w kopercie są pieniądze. Instynkt podyktował jej nawet coś lepszego: "Pobłogosław mnie, ojcze. Przynoszę tę wiadomość od tych, co nad nami". "To pani jest tą kuzynką z Europy? - zapytał opat. Reina nie miała czasu na odpowiedź. Widząc, że dzieje się coś poza jego kontrolą, Maestro ruszył w ich stronę, starając się przejąć kopertę: "Pozwólcie, ojcze, że pomogę". "W żadnym razie - bronił się opat, zatapiając kopertę w fałdach swego habitu: - W tej świątyni święte jest wszystko, co nam przysłała nasza opiekunka".

Reina podziękowała mu uśmiechem i ruszyła za procesją. Zakonnik, który czekał na nią przy drzwiach, dawał jej znaki, żeby wychodziła, bo nieszpory dobiegły końca, ale ona udawała, że go nie widzi. Był to bardzo niski mężczyzna, niemal karzeł, z głową jakby pozbawioną szyi. Kiedy kręcił głową przecząco, wydawało się, że potakuje, i na odwrót. Jego gesty można było interpretować wielorako. Opat cofnął się pod ołtarz i długim paznokciem małego palca otworzył kopertę. Sądzi, że to czek, pomyślała Reina: pieniądze, którymi opiekunka i jej głupia kuzynka z Europy przyczyniają się do większej chwały Pana. Widziała, że czyta list z zainteresowaniem, marszczy brwi i łapie się za głowę. "Boże przebacz! - odezwał się opat mocnym głosem, który wszyscy usłyszeli. - Herezja! Boże przebacz!"

Nie potrzebowała zostawać tam dłużej. Delikatnie położyła dłoń na ramieniu karłowatego zakonnika i wskazała mu samochód gazety, czekający przy wyjściu: "Pewnie powinnam się już zbierać, co?" Braciszek spojrział na nią wielkimi, okrągłymi oczami, odmienionymi przez życie pełne cierpliwości, i odpowiedział jej cicho: " *Agnus Dei, miserere nobis*".

"Nikt już nie mówi o mistycznych wizjach": Camargo zadzwonił do niej o ósmej wieczorem i przekazał wiadomość. "Teraz prezydent skupił się na pokucie". Reina kończyła pisanie relacji i miała już gotowy szkic końcowego akapitu, z tym że chciała jeszcze skonsultować to z redakcją: Widzenie w Olivos było złudzeniem albo fałszerstwem: nie da się tego stwierdzić. Natomiast na pewno nie było prawdziwe. Zdając sobie sprawę, że może popaść w ciężki

grzech poprzez nieświadomy współudział w tej pomyłce, opat klasztoru w Los Toldos poprosił prezydenta, aby ten opuścił zajmowaną celę w ciągu godziny. Wszystko rozegrało się o siódmej trzydzięci wieczorem w kaplicy. Naoczny świadek, który nie zgodził się ujawnić nazwiska, słyszał, że opat wykrzykuje słowo "herezja", padając przed głównym ołtarzem i prosząc o Boskie przebaczenie.

Ostatnia scena była wymyślona, ale prawdopodobna. Przeczytała to Camargo, a on zaaprobował entuzjastycznie. Trzaski w telefonie stawały się nieznośne.

- Jadę do ciebie - powiedział. - Minąłem już Lujan, dotrę za kilka godzin.

- Coś się stało? - zapytała Reina.

- Zawsze coś się dzieje. Powiem ci na miejscu.

Głos zniknął. Zastanawiała się, czy nie zanurzyć się w lodowej wodzie wypełniającej wannę, kiedy już postawi kropkę na końcu demaskatorskiej relacji, powtarzającej teologiczne argumenty zawarte w liście do opata. Miała ochotę wyjść z kąpieli, owinięta w kilka ręczników, i rzucić się bezmyślnie na olbrzymie łóżko pod moskitierą. Wystarczyło poczuć pod sobą to łóżko w dusznym pokoju, którego ani ciemność, ani kamienna podłoga nie były w stanie odświeżyć, żeby zdać sobie sprawę, że nikt tu nigdy nie śnił ani nie marzył, co najwyżej popadał w ciężki sen, jakiego teraz pragnęła dla siebie. Pojawienie się Camargo niweczyło jej plany na resztę nocy. Kilka godzin, powiedział? Kiedy wyszła z pokoju, służba Azotea de Carranza została już uprzedzona. Otrzymali polecenie przygotowania dużej sypialni i nakrycia stołu dla dwunastu gości. Camargo nie przyjedzie sam. Życie tak musiało mu ciążyć, że nie znosił własnego towarzystwa nawet przez sekundę. Pojawi się tu więc z całym orszakiem: redaktorzy, być może sekretarki, które mają notować rozsiewane przez niego w biegu słowa, telefony, kierowcy, faksy.

Jestem zmęczona, myślała Reina, nie przeczuwając, ile jeszcze razy tej nocy powtórzy ową litanię. Męczył ją kurz, rosnący upał, który zamiast ustępować po zachodzie słońca, zachowywał się, jakby czekał na nadejście ciemności, by rozpętać swoją furję, a ona sama nie wiedziała, czy w niej nie kłębią się kurz, ciekawość i niewiedza, jakie są prawdziwe granice jej życia. Pracowała w "El Diario" dopiero miesiąc i uważała tę pracę za błogosławieństwo, sądząc, że będzie przechodzić kolejne próby, przez wiele tygodni, aż w końcu któryś redaktor zwróci na nią uwagę i obwieści wszystkim jej talent, albo natknie się na jakiś wyjątkowy temat - taki jak ta historia z klasztorem, na przykład - i pozwoli jej dać z siebie wszystko, poczuć, że to, co napisała, wyszło z jej wnętrza. Chciała osiągnąć taki poziom, żeby czytając samą siebie, mogła powiedzieć: to jestem ja, dotąd sięgam, bo tak mnie stworzono, to są moje uczucia, uniesienia, płacz i sprawiedliwość. To, co właśnie napisałam, to jestem ja, mówiła, nieświadomie powtarzając słowa Camargo, ale kim ja jestem? Jestem zmęczona i skołowana, a teraz przyjedzie Camargo i jeszcze bardziej mnie skołuje. Pracuję w gazecie dopiero od miesiąca, a już rozmawiam z naczelnym, jakbym go znała całe życie.

Ciśnienie tak bardzo jej opadło, że krew ostygła jak lód. Jeśli nie napije się brandy, nogi odmówią jej posłuszeństwa. W mieście jest kilka barów, poinformowali ją służący, ale nigdy nie widzieliśmy tam samotnych kobiet. Lepiej będzie, jeśli mój mąż pani potowarzyszy i poczeka na panią na ulicy, postanowiła kobieta. W takich ciemnościach pani i ten kierowca możecie się pogubić. Do tych barów będzie jakieś dwadzieścia minut, tam i z powrotem. ,

W progu jednego z lokali zdała sobie sprawę, że żadna kobieta nigdy by tam nie weszła. Uzmysłowiła to sobie, widząc rząd stołów ustawionych pod ścianą z nieotynkowanych cegieł, obtłuczonych i brudnych, gęsty dym, który unosił się tu bez ruchu chyba od lat, i grupki graczy w karty siedzących w ciemnościach, o twarzach naznaczonych zmarszczkami głębszymi niż bruzdy w ziemi marnującej się na zewnątrz. Uzmysłowiła to sobie, bo nawet zapach kobiety wydawał się wrogi tym mężczyznom, którzy swoje żony zostawili w domach i od dwóch albo trzech godzin pili i udawali, że znajdują się poza miejscem i czasem. Nieliczne, dwudziestopięciowatowe lampy rozsiewały martwe światło przefiltrowane przez odchody much. W niszy usytuowanej po środku tej jaskini nie-toperzy kulawy barman ściągał i ustawiał butelki na półkach z taką niedbałością, że wszędzie widać było porozlewane resztki alkoholu.

Reina podeszła do lady i zamówiła brandy. Podano jej jednak gin. Przy stole w głębi lokalu, gdzie ledwie docierało światło, trzech dziennikarzy z Buenos Aires dyskutowali ze sobą, nie przejmując się zbytnio zaduchem wnętrza ani niespodziewanym pojawieniem się koleżanki. Na dwóch z nich, którzy pracowali dla "El Diario", natknęła się parę razy w windzie, ale żaden nie odpowiedział na jej pozdrowienie. Trzeciego mężczyzny nie umiała rozpoznać. Trzymał radio tuż przy uchu i ro-

biąc nerwowe gesty, powtarzał to, co słyszał. Czasami przerywał, manipulował pokrętem i mówił głosem, który z odległości brzmiał gorączkowo, z niedowierzaniem, podczas gdy redaktorzy "El Diario" zapisywali coś w notesach.

Podeszła w głąb baru, wyczuwając narastającą wrogość: co krok ubywało powietrza i zostawała sama niechęć. Chciała wiedzieć, co się dzieje, i nie miała na to za wiele czasu. Dwie godziny, powiedział jej Camargo. Zostało niecałe półtorej.

Wydawało się, że oprócz tych kilku nieznamych w barze nie ma żadnego życia. Istoty mieszkające w osadzie były najwyraźniej odporne na czas i być może także na pamięć. Czas upływał i zostawiał na nich swój ślad, ale oni go nie czuli. Czas był jak kurz miotający się w prawo i w lewo w gwałtownych, szarych wirach. Pył unosił się wszędzie, ale zdawało się, że nikt nie zwraca na to uwagi.

- Insiarte, Duran - odezwała się Reina, podchodząc do stolika w głębi.

Ten, który nazywał się Insiarte, pokazywał jej gestami, żeby się nie odzywała, ale Duran zareagował:

- Remis. Co ty tutaj robisz? Spóźniłaś się. Wszystko, co miało się stać, już się stało.

Obydwaj byli nieogoleni. Czuć od nich było smażonym olejem, papierosami i piwnymi wyziewami. Sprawiali wrażenie, jakby się dawno nie myli. Niewykluczone, że mieli na sobie wczorajsze ubrania. Trzeci z mężczyzn odezwał się:

- Nie rozumiem. Radio Diez widziało go w Jachal, w leśniczówce. Ci z rozgłośni Mitrę powtarzają, że schronił się tutaj, w La Unión.

- To, co mówią w radio Diez, to musi być zmyłka. Nie dałby rady zajechać tak szybko do Jachal. To prawie tysiąc kilometrów.

- Zaraz przeprowadzą z nim wywiad, przynajmniej tak twierdzą. To nie może być zmyłka.

- No to co ja tu robię - odezwał się Insiarte. - Jechać do Jachal czy do La Unión? Najlepiej zadzwonić do Camargo.

- Nie możesz zwracać głowy Camargo takimi głupotami - zaprotestował Duran. - Skoro ciebie zrobił odpowiedzialnym za ten artykuł, to właśnie po to, żebyś ty podejmował decyzje.

- Zrobił mnie odpowiedzialnym - dodał Insiarte - dlatego dał mi komórkę.

Mogłabym ich uprzedzić, że Camargo tu jedzie, pomyślała Reina. Pewnie już minął Carmen de Areco. Jedzie teraz przez pustkowia i ogarnia go ten dziwny spokój, bo na równinie wszystko wydaje się nieruchome, oprócz nieba: gwiazdy, chmury, ciemne półkole horyzontu przemieszczają się jak posłuszne owieczki, podczas gdy wszystko to, co na ziemi, w ogóle donikąd nie zmierza, przechodzi tylko z jednej ciemności w drugą. Ale jeśli powiem, co wiem, zaszczują mnie pytaniami, na które nie chcę odpowiadać. Jutro rano w dzienniku znajdą wszystkie odpowiedzi.

- Nie ma sygnału - powiedział Insiarte. - Dziwne. Jak mógł wyłączyć komórkę, kiedy mamy sytuację alarmową!

- Odbiera komórkę tylko wtedy, kiedy ma ochotę - stwierdził Duran. - Żeby nikt nie wiedział, skąd i dokąd jedzie.

- Też bym chciała posłuchać radia - powiedziała Reina. - Powiecie mi, co się dzieje?

Ten trzeci nawet na nią nie popatrzył ani nie podał ręki na powitanie. Nie poruszył się. Postawił aparat radiowy na blacie i powiedział:

- A słuchaj sobie czego chcesz. Ja mam już dość. Im dłużej słuchasz, tym mniej rozumiesz.

Wszystkie rozgłośnie zgadzały się co do początku historii, ale dalsze szczegóły kłębiły się jak gąszcz. Mówiono, że prezydent zakończył swój pobyt u benedyktynów około kwadransa przed ósmą wieczorem, a od ósmej rozpoczął głodówkę. Dziwne było zamieszanie wokół miejsca pobytu. Prezydent poprosił dwóch specjalnych wysłanników, aby towarzyszyli mu do zabudowań La Unión, znajdujących się trzy kilometry od Los Toldos, gdzie ukłękawszy w minach chałupy, w której prawie osiemdziesiąt lat temu urodziła się Evita Peron, rozłożył się na ściworze i wypił szklankę wody. Wysłannicy usłyszeli jego cieniutki głos: "Pokuta, pokuta". Wydawało im się, że płacze, ale nie mieli pewności: niespodziewanie wtargnęli do środka żołnierze z wojskowej eskorty mundurowej i obcesowo wyprowadzili dziennikarzy.

Inni nadawcy zapewniali, że prezydent opuścił klasztor benedyktyński po sekstynie, około pierwszej po południu, zachowując tak znaczne środki ostrożności, że nawet jego sobowtór - ten sam, który wyręczał go, objeżdżając dalekie prowincje i rozdając błogosławieństwa i obietnice - zastępował go podczas niesporów. Według tej wersji, podróżował samolotem przyjaciela, startując z pola

obok Los Toldos i kierując się do Jáchal, w prowincji San Juan. Już na miejscu prezydent zaczął dziwnie się zachowywać. Nakazał, by nikt za nim nie jechał. Pożyczył od jednego senatora samochód i nikt nie wie jak około czwartej po południu znalazł się w chatce strażnika w parku narodowym Valle de la Luna. Ubrany był w biały habit, jak Beduin, na głowie miał mnisi kaptur, na nogach franciszkańskie sandały. Strażnik opowiadał w radiu, głosem niezdradzającym kłamliwego lawirowania, że próbował zatrzymać prezydenta, kiedy ten chodził po nierównościach doliny, modląc się opętańczo w promieniach bezlitosnego słońca. Jeden z reporterów lokalnej telewizji z San Juan zdołał dotrzeć pod ogrodzenie ustawione przez wojsko i pokazywał z oddali prezydenta spacerującego po stromych zboczach. Z braku innej akcji, kamery skupiały się na pokazywaniu przywołujących silne religijne skojarzenia skał, w których kształtach zapisała się historia świata: grzyby, lampy, grotty z wystającymi z nich kamiennymi, czarnymi jezorami, ptaki, kopulujące pary, cylindryczne okręty porzucone po wyprawach przez Boga.

Inny wysłannik widział prezydenta w Guamini, siedzącego na skale obok pozostałości po fosie, którą Adolfo Alsina nakazał wykopać w 1875 roku, żeby bronić się przed najazdami wodza Namuncura, i która od tego czasu coraz bardziej otwierała się w głąb ziemi. Tysiące zwierząt wpadło już do tej szczeliny, długiej na trzysta kilometrów i tak głębokiej, że nie sposób było się przebić przez zerodowaną glebę i zbadać to. W półmroku zgniłe wyziewy świeciły fosforyzującym światłem, przyciągając mrówki i chrząszcze, ale żaden człowiek nie był w stanie tego znieść. A jednak prezydent przebywał tam, poszcząc i pokutując. "Liendo - odezwał się reporter z Guaniami. - Nagrywasz mnie, Liendo?", "Doskonale cię słyszę - opowiedział ów Liendo. - Za chwilę usłyszą państwo pierwszego obywatela naszego kraju. Jest tu obok mnie, wyłącznie u nas, z południa prowincji Buenos Aires". Do tej chwili transmisja była doskonała, ale ledwie Liendo powiedział: "Dzień dobry, panie prezydencie", trzaski wyładowań zaburzyły odbiór i zagłuszyły wszystko.

Ja też nie mam pojęcia, co się dzieje, stwierdziła Reina, odstawiając radio na stół. Albo rzeczywistość jest ułudą zmysłów, albo dziennikarstwo to tworzenie rzeczywistości. Ni stąd, ni zowąd przypomniały się jej trzy sonety Góngory: "Sen, majaków sprawca/w swym teatrze na wiatru powiewach / w cieniu się obleka o powabnych kształtach". Ale te historie nie były snami. Ludzie traktowali je zupełnie serio i nikt nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo są nieprawdopodobne. Teraz wiadomo, że pokutujący prezydent nie pojechał do żadnego z miejsc, w których rzekomo go widziano: o ósmej zniknął ze swojej celi i na polu w pobliżu Junin wsiadł do rządowego helikoptera i poleciał do Olivos. Następnego ranka przez dwie godziny grał w tenisa, jak gdyby nic się nie stało.

Reina nie myślała o zawilości tej sprawy, tylko o tym, jak późno się zrobiło. Już wpół do dziesiątej. Służący i szofer czekali na zewnątrz, wystawieni na wilgoć i chłód. A Camargo mógł już dojechać do Membrillar i poruszał się na ślepo w tym labiryncie stawów i kanałów. Kiedy kładła na stole pieniądze za gin, Duran przycisnął jej dłoń do blatu i powiedział pijanym głosem: "Za wcześniej, żeby iść spać, malutka. Nie idź, co? Za wcześniej, żeby spać, ale nie za późno na małe bara-bara". Odsunęła jego rękę z głęboką pogardą: "Nie jest za późno, żebyś się wykąpał, Duran. Jedzie od ciebie gównem. Ale nawet jakbyś się wykąpał, przez całe życie będzie od ciebie czuć gównem". Nie przejęła się łakomymi i niechętnymi spojrzeciami pozostałych mężczyzn ani gniewnym cmokaniem Durana za plecami. "Kurwa. Widzieliście, jaki ma ostry język, ta kurwa jedna?"

W aucie, przygnieciona ciężarem pustkowia i nocy, poczuła, że żadne z wydarzeń, przez które przeszła w ciągu tego długiego dnia, zupełnie jej nie obchodziło. Nie obchodził jej artykuł na temat zajść w klasztorze, który niedawno napisała, bo to już przeszłość i zapomnienie. Jedyne, co ją, być może, jeszcze obchodziło - jej życie to nieustanny ciąg takich "być może" - to podróż Camargo ciemnymi drogami. Śledziła go w myślach od Lujan do zakładu psychiatrycznego Open Door, a potem przez pola kukurydzy w Chacabuco, wyobrażała sobie, co mówi i co myśli, ale przede wszystkim czuła, jak jego ciało przemieszcza się wśród światła rozsianych po drodze.

Było po dziesiątej, kiedy Camargo zadzwonił do niej z Los Toldos. Jego kierowca nie wiedział, gdzie są. "Zatrzymaliśmy się przed jakąś apteką - powiedział. - Na szyldzie nad wejściem brakuje liter. Zaraz. Chyba nazywa się Santissimo Socorro. Zapytaj służącego, czy wie, jak się stąd wydość". "Santissimo Socorro, apteka" - powtórzyła. Służący jej przerwał: "Pojechali w drugą stronę. Pomyliły im się kierunki. Proszę im powiedzieć, żeby się nie ruszali. Niech na mnie czekają".

Na stół nakryty dla dwunastu osób bez przerwy opadał kurz. Służąca narzekała, że równina jest tak płaska, a na niebie widać tylko blade gwiazdy, że nie sposób się zorientować, a w miasteczku nikt nie udziela informacji ludziom, którzy zgubili drogę. "Widziałam, jak jedna ciężarówka jeździ-

ła kiedyś tam i z powrotem, bez celu - powiedziała. "To prawda, trudno tu gdziekolwiek dojechać" - zgodziła się Reina. "Niech pani na mnie popatrzy - dodała kobieta. - Trudno jest też stąd wyjechać".

Być może ten stół będzie stał tu tak zawsze i niedługo koronkowy obrus całkowicie zżółknie. Czas zatrzymał się, tak jak w domu Miss Havisham w *Wielkich nadziejach*. A czy ona, Reina, też będzie nosić suknię panny młodej, która rozsypie się od samotności? Na razie wciąż miała na sobie tę samą co na niesporach czarną spódnicę i bluzkę z żabotem. Boże, i ta twarz, jakby trupia. Duran uważał pewnie, że robi jej łaskę, proponując bara-bara. Musi się szybko przebrać. Gdzie w tym domu może być lustro?

Właśnie jedno znalazła, kiedy o dziesiątej trzydzięci Camargo przyjechał do Azotea de Carranza z takim impetem, jakby to była dziesiąta rano. Był człowiekiem małym i zdystansowanym, ale tej nocy olśniewał, jakby cofnął się do swojej młodości. Szedł za nim główny kierowca "El Diario", ceremonialny, z wielką tacą z jedzeniem i dwiema butelkami francuskiego cabernet.

- Remis! - zawołał energicznie jeszcze z progu. - Reina Remis! Trzeba to uczcić! Prezydent olał te wszystkie mistyczne wizje!

Ona wynurzyła się z półmroku sypialni i podeszła, ostrożna. Oczekiwała inwazji redaktorów i sekretarek. Obawiała się, że znowu spotka się z Duranem.

- Gdzie reszta? - zapytała.

Camargo zrobił zdziwioną minę. Kazał wystraszonej służącej zaprowadzić kierowcę do kuchni i podać w naczyniach gazpacho, indyka na zimno i sałatkę ziemniaczaną, które przywiózł z Buenos Aires.

- Jacy inni? - zapytał ze szczerym zdziwieniem.

I wtedy obrócił się w stronę Reiny. Ona właśnie umyła twarz i całe jej niewyszukane piękno uwi-doczniło się wyraźnie. Ubrała się w luźną sukienkę wyszywaną w kwiatki, jaką można kupić w Meksyku na ludowych jarmarkach, i wyglądała jak pobożna zjawka z innej epoki. Wciąż była zmęczona. Zmęczenie oblepiło jej duszę jak pajęczyna.

- Służąca nakryła stół dla dwunastu osób - wyjaśniła Reina.

- Pewnie jest głucha. Nie mówiłem nic o dwunastu. Mówiłem o dwóch.

Reina wciąż stała. Nie wiedziała dlaczego, ale zaczęła się bronić:

- Nie jadam sałatek. Ziemniaki i majonez źle na mnie działają.

- Poza tym nie lubisz gazpacho, a indyk ma gówniany posmak - dodał Camargo. - Wszystkie znane mi kobiety mają jakąś obsesję na punkcie jedzenia.

- Nie wiem, jakie są inne kobiety. Ja uważam na to, co trafia do mojego ciała.

Camargo wybuchnął śmiechem. Bardziej przypominało to miarowe porykiwanie, jak gdyby wstydział się śmiać. Potem przestał się tym przejmować. Stał obok stołu i głaszcząc teczkę z papierami, rozgadał się na temat skrzyżowań w Los Toldos, które go zmyliły. Około szóstej, opowiadał, w Buenos Aires wiedzano, że prezydent nie wytrzymuje już tych benedyktyńskich liturgii i chce się stamtąd zwinąć jeszcze tej nocy. Powstrzymywała go tylko ta zasłona dymna z widzeniem Jezusa na drzewie cytrynowym, zmontowana przez Enza Maestro. Potrzebował się stamtąd wyrwać, zagrać w golfa, odetchnąć laickim powietrzem. Maestro wymusił na nim obietnicę, że zostanie do niesporów. Potem miał się schronić w posiadłości La Unión i symulować protest głodowy. Miał się położyć na pryczy i pozwolić na kilka zdjęć, ale zaraz potem wyrwałby się spod opieki dziennikarzy, i mógłby swobodnie jeździć konno i oglądać telewizję. Wtedy zrozumiałem, że w Buenos Aires nie mam nic do roboty, stwierdził Camargo. Oko cyklonu przemieściło się tutaj. Zaplanowałem pierwszą stronę ze zdjęciami Juana Manuela Facundo przelewającego siedem milionów do singapurskiego banku i zostawiłem dwie puste kolumny na twoją relację. Wiedziałem, że opat zareaguje, ale nie podejrzewałem, że aż tak ostro. O ósmej dziesiątej przeczytali mi komunikat zakonu, w którym powoływano się na bezpośrednie instrukcje z Watykanu. Powtarza on mniej więcej to samo, co napisałaś opatowi w liście, tyle że dyplomatyczniej: że Chrystus nie może wrócić na Ziemię bez Sądu Ostatecznego i że widzenia prezydenta są być może realne dla niego, ale nie dla Kościoła katolickiego. Po czymś takim ten numer z głodówką robił się śmieszny. Byłem w połowie drogi między Carmen de Areco i Chacabuco. Nie miałem w gazecie nic do roboty. Więc pomyślałem sobie, że najlepiej będzie uczcić pokonanie bestii z autorką tego wyczynu i wrócić do redakcji jutro wcześnie rano. Pojedziemy tym samym samochodem, dobra? Powiedziałem już twojemu kierowcy, żeby sobie jechał.

Reina starała się słuchać z uwagą, ale gadanina Camargo, pośpieszna i potoczysta, nie pozwalała się skupić. Służąca podała gazpacho, a on nawet tego nie zauważył. Scena zrobiła się komiczna. Oboje stali przy zastawionym stole, ze świeżo otwartym winem za dziewięćdziesiąt dolarów. W końcu ona się odezwała:

- Wie pan co, jest już po jedenastej. Jeśli nie siądziemy do stołu, zemdleję ze zmęczenia.

Dopiero wtedy przestał się koncentrować na sobie. Przez dłuższą chwilę milczeli, nie patrząc na siebie, delektując się winem w ustach. Potem ona opowiedziała mu o wydarzeniach w kaplicy. Schlebiała jej, że taki człowiek jak Camargo, dla innych niedostępny, przejechał tyle kilometrów przez pustkowia tylko po to, żeby razem z nią przeżuwać kurz podczas tej późnej kolacji. Czasami miała wrażenie, że jego intelekt przenosi się gdzieś indziej, a w tym wielkim pomieszczeniu zostawały tylko jego niespokojne dłonie. Ale kiedy wracał na miejsce raptownymi przypływami, sprawiał, że czuła się centrum świata.

- Dlaczego tak cię interesują sprawy związane z Mesjaszem? - zapytał. - Kobiety nigdy nie myślą o takich rzeczach.

- Naprawdę ciekawi to pana? W takim razie proszę przestać mówić "kobiety" albo "takie rzeczy". Są mężczyźni, którzy interesują się tkactwem i wyszywaniem. Mnie interesuje teologia.

- Racja, tylko ciekaw jestem, jak do tego doszłaś. Intryguje mnie to.

Służąca przyniosła indyka na zimno i kilka pomidorów przekrojonych na połówki. Gazpacho pozostało nietknięte.

- Wszystkie klasy szkoły średniej zrobiłam w liceum prowadzonym przez zakonnice. Wszystkie, z wyjątkiem ostatniej. W ostatnim roku, gdzieś koło września albo października, kiedy końcowe oceny były już ustalone, potwornie się nudziłam. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce. W tym czasie przeczytałam prawie wszystkie opowiadania Cortazara, dwie koszarne powieści Barbary Cartland, wiersze zebrane Benedettiego, które dostałam na urodziny, antypamiętniki Malraux, a także cztery Ewangelie, od deski do deski. Niezły miszmasz, co? Ewangelie miałam ochotę poczytać, bo na niedzielnych mszach księża wyjaśniali je w jeden sposób, a ja je rozumiałam w inny. Widziałam nonsensy tam, gdzie nikt innych ich nie zauważał, chociaż wtedy nonsensy nazywałam tajemnicami. Lekcje religii prowadziła siostra przełożona i na jednej z nich popełniłam fatalny błąd. Poprzedniego dnia przyglądałam się genealogii Jezusa podanej na początku Ewangelii świętego Mateusza i kiedy zakonnica powiedziała, że zgodnie z Pismem Świętym Mesjasz miał pochodzić w prostej linii od króla Dawida, jeden z tych nonsensów nagle mi się objawił. Według świętego Mateusza, Abraham jest ojcem Izaaka, a ten jest ojcem Jakuba. Linia rodowa prowadzi prosto do króla Dawida. Potem następuje kolejnych dwudziestu dwóch mężczyzn, którzy kontynuują uświęconą linię męską, aż do momentu, który pamiętam do dziś: "a Mattan spłodził Jakuba, a Jakub spłodził Józefa, męża Marii, z której został zrodzony Jezus, zwany Chrystusem". Nie zastanawiając się nad tym, co powiem, podniosłam rękę: "Pani Profesor, Dawid jest przodkiem Józefa, prawda?" "Tak oczywiście, powinnaś to wiedzieć" - odpowiedziała niecierpliwie. "No to jak to jest możliwe - powiedziała - że Jezus pochodzi od Dawida, skoro jest synem Marii, a nie Józefa". Zakonnica wzniosła oczy ku niebu i westchnęła: "Wiara porusza się ścieżkami, które są nam nieznane, Reino. Nie ma co dyskutować czy badać. Trzeba to przyjmować". W tej chwili powinnam była usiąść z pokorną miną. Ale stałam dalej i powiedziałam: "W Ewangelii jest to bardzo jasno powiedziane, siostrze. Albo Jezus był synem Józefa, a Matka Boska nie była dziewicą, albo Jezus nie był Mesjaszem". Te bluźnierstwo wyprowadziło ją z równowagi. Trzymali mnie zamkniętą w gabinecie dyrektora, dopóki nie przyszedł mój ojciec. Przełożona uważała, że oszalałam. Jeśli chce pozostać w tej szkole, powiedziała, musi napisać w zeszycie tysiąc razy "Nasz Pan Jezus Chrystus jest Mesjaszem zrodzonym z niepokalanej dziewicy i bezpośrednim potomkiem króla Dawida". Spędziłam wieczór, płacząc i pisząc tę pokutę. Przepisałam to już ze czterdzieści, pięćdziesiąt razy, aż doszłam do wniosku, że to rażąca niesprawiedliwość, i nie chciałam kontynuować. Wolałam, żeby mnie wyłali. Ojciec mnie uderzył, matka poszła do kościoła pomodlić się za zbawienie mojej duszy, ale nie ustąpiłam. Piątą klasę musiałam zrobić zaocznie, w domu.

- Oślepiła cię ciemność, bo była zbyt widoczna - stwierdził Camargo. - Podoba mi się ta myśl, ale jej nie rozumiem.

- Siostra przełożona uznała, że widzisz piekło, jak w pierwszej księdze *Raju utraconego*: a te płomienie nie dawały światła, a raczej widzialną ciemność.

Zamknął oczy i powtórzył wers po angielsku, jakby wypowiedział go sam John Milton. Kurz wiorował nad równiną i wdzierał się do domu jak rozwścieczony pies.

- Okropne - powiedziała Reina. - Można tu wypić całą wodę świata, a gardło wciąż jest suche. Nie dziwiłabym się, gdyby ludzie mieli popękane podniebienia.

- I tylko tym się inspirowałaś, Remis? Idea Paruzji też przyszła ci do głowy w trakcie lektury Ewangelii, kiedy miałaś' piętnaście, szesnaście lat?

- Siedemnaście. Nie, pewnie, że nie. Poczułam się upokorzona tym, co zaszło w szkole. Postanowiłam, że któregoś dnia wrócę na tę lekcję religii i wytknę siostrze przełożonej całą jej ignorancję. Zaczęłam czytać jak szalona. Odkryłam ewangelie apokryficzne opublikowane w Hiszpanii w najgorszym okresie rządów Franco, z wszystkimi imprimatur i nihil obstat, jakie można sobie wyobrazić. Natknęłam się tam na Ewangelię dzieciństwa napisaną przez Tomasza w II wieku. Przeczytałam tę księgę z ciekawością, bo kanoniczne ewangelie pomijają wszystko, co dzieje się między narodzinami a dwunastym rokiem życia Jezusa. Opisywane tam dziecko jest gniewne i mściwe. Kiedyś na przykład, kiedy przechodził przez jakąś wioskę, ktoś przebiegł obok niego i niechcący go popchnął. Jezus zezłościł się i powiedział: "Teraz zastygniesz jak kamień na zawsze". I tak się stało. To samo zrobił synowi skryby, który zepsuł mu wiklinowy kosz. Sytuacja zrobiła się na tyle poważna, że w rozdziale czternastym Ewangelii święty Józef prosi Marię, żeby nie wypuszczała Jezusa z domu, bo wszyscy, z którymi zadziera, natychmiast umierają. Przeczytałam wiele podobnych opowieści, napisanych przez pobożnych ludzi oskarżanych o herezję. Dowiedziałam się, że w czasach Jezusa działało wielu takich magów i proroków jak on, którzy sprzeciwiali się władzy Rzymu i hipokryzji żydowskich kapłanów. Nie chcę pana tym zameczać, Camargo. Proszę zobaczyć, która godzina. Proszę dopić herbatę. Ja pójdę się położyć.

Służąca pobierała naczynia. Hałas pyłu przygaszał wypierany przez noc, zajmującą całą przestrzeń. Przez okna widać było odległe światła lamp, które oddalały się bądź zbliżały. Pewnie najemnicy, pomyślała Reina.

- To Indianie - odezwała się służąca. - Szukają resztek jedzenia. Lepiej, żeby mój mąż ich nie widział, bo strzela do nich jak do kaczek i czasem w jedną noc ubije dwóch czy trzech.

Camargo wpatrywał się w przestrzeń, zatopiony we własnych myślach. Jego entuzjazm gdzieś zniknął albo przepoczwarzał się jak gąsienica w jakiś inny entuzjazm.

- Chyba nie naprawdę? - odezwała się Reina. - To chyba tylko takie gadanie, co? To nie jest prawda z tym zabijaniem?

- Nie przejmuj się tym, co opowiada. Pani mówi to tak sobie, tak?

- No, niech pani powie. To takie tylko gadanie? - nalegała Reina.

Służąca nie odpowiedziała. Weszła do kuchni i oddzieliła indyjskie kości od mięsa pozostawionego przez stołowników. Potem rzuciła te kości psom.

- Reina - odezwał się Camargo.

- Słucham? - odpowiedziała bezmyślnie. Nigdy wcześniej tak się do niej nie zwracał, po imieniu.

- Ożeniłbym się z tobą, gdybym miał dwadzieścia lat mniej. Albo ty dziesięć więcej.

Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem. Śmiejąc się, tak wysoko podnosiła górną wargę, że odsłaniała dziąsła. To była noc nieporozumień, słów, które mówiły co innego, niż znaczyły.

- Co to za pomysł, doktorze Camargo? Jeśli to ma być komplement, to jest przedziwny.

- To nie komplement. Mówię serio. Ożeniłbym się z tobą, ale nie mogę. Jestem od ciebie dwa razy starszy.

- Dwa razy starszy czy dwa razy młodszy - na jedno wychodzi. Nie może pan i już. Jest pan sam i daleko od domu. Jak się jest samemu i daleko, opowiada się dziwne rzeczy.

- Nie mówię żadnych dziwnych rzeczy. Powiedziałem, że nie mogę. Jestem żonaty, jestem niešťęśliwy, ale nie to jest prawdziwym powodem. Coś takiego powiedziałby ci każdy mężczyzna na moim miejscu. Nie mogę, bo jesteśmy do siebie zbyt podobni. Krzywdzilibyśmy się.

Reina miała wrażenie, że te słowa padają swobodnie, układając się w pewien porządek, który pewnie był odwieczny, ale jej wydawał się czymś nowym. Czowała, że słowa pasują do siebie i że od dawna się szukały.

- Nie wiem, co powiedzieć. Jestem zmęczona. Wszystko mnie męczy.

Camargo wstał od stołu z filiżanką herbaty i zrobił kilka kroków w stronę kuchni. Potem odwrócił się, postawił filiżankę na stole i położył jedną rękę na ramieniu Reiny.

- Nie musisz niczego mówić. Nie musisz o niczym myśleć. Ja powiedziałem wszystko.

Ona zdjęła jego rękę i popatrzyła mu w oczy.

- Niektóre zdania trwają, nie można ich zostawić bez odpowiedzi. Ktoś coś mówi i to coś nas zmienia, nawet jeśli tego nie chcemy. - Może powiedziałem to bezmyślnie.

- Nikt nie mówi bezmyślnie. Wszystko, co mówimy, ma sens, i nie powinniśmy go lekceważyć.

- Jesteśmy do siebie podobni, Reina. Widzisz, co się dzieje? Myślmy tak samo, prawie tymi samymi słowami. Tak zaczynają się spięcia.

- Gdyby nie był pan moim szefem, mogłabym sobie pozwolić na luksus spięcia. A tak mam spętany język. Podoba mi się to, co robię, wie pan? Lubię pisać. Wiele pracy kosztowało mnie, żeby się dostać do gazety, i tego dnia, kiedy mi się udało, przez godzinę tańczyłam sama w amfiteatrze w Parku Lezama. Wdepnęłam w tyle psich kup, że musiałam wyrzucić buty do śmieci, ale byłam tak szczęśliwa jak nigdy w życiu. Nie mogę tego stracić, panie Camargo. Nie mogę mieć spięcia z szefem działu kultury ani z sekretarzem redakcji, ani tym bardziej z panem, człowiekiem z czubka piramidy.

- Masz rację. Ale ja nie proponuję ci jednej z tych historii, które zapomina się nawet wcześniej, niż się wydarzą. Powiedziałem, że ożeniłbym się z tobą. To co innego.

- Powiedział pan też, że nie może. I to jest coś jeszcze bardziej innego.

Nie mógł uwierzyć, że rozmawiają w ten sposób, na luzie, ze swobodą, jakiej nie odczuwał nigdy przy nikim, nawet przy swoich córkach. Dziwiło go, że ta panienska nie wiadomo skąd sprawia, że on drży jak uczeń. Z kolei ona nie rozumiała, co się właściwie dzieje tej nocy. Obawiała się wycofać i obawiała brnąć dalej. Nie chciała tak daleko oddalać się od własnego ja. Chwilami widziała Camargo takim, jakim był: starszy pan, który chodzi pochylony, z nazbyt zamyślonym głosem i piersią jak u jakiejś matrony, zaokrąglony upływającymi latami. Nikt taki nigdy nie pojawiał się w jej marzeniach. A jednak wszystko, co mówił, poruszało ją i paliło jak kwas. Wszystko, co mówił, zapierało jej dech i wkraczało w przeszłość.

- Idę spać - powiedziała Reina. - Mam wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy.

- Tak. Mogłby się nie kończyć.

Już w sypialni, kiedy uwalniała stopy z niewygodnych mnisich butów i rozkładała na krześle meksykańską sukienkę, usłyszała, jak Camargo kłóci się ze służącą o szorstkie prześcieradła, zaduch stęchlizny i zbyt gęstą moskitierę. "Jeśli ktoś zabrał powietrze z tego domu, powinien je oddać" - powiedział, kiedy Reina, w piżamie, szcztokowała na ślepo swoje ciemne włosy. Znajdowali się w przylegających pokojach, rozdzielonych murem grubym na pół metra, tyle że cienkie drewno drzwi zamiast tłumić odgłosy, nadawało im impet i polepszało akustykę.

Zgasła światło o pierwszej, ale nie udało się jej zasnąć. Dwa albo trzy razy przestraszył ją dzwonek komórki Camargo. Słyszała, jak wydaje polecenia dotyczące rozmiaru zdjęć, zmiany miejsca niektórych tytułów, jak dyskutuje na temat niezręcznych sformułowań w tekście. Mówił stanowczym głosem, ale tak cicho, że poszczególne sylaby zlewały się ze sobą. Czasami okna rozświetlały się blaskiem błyskawic, a wilgoć narastała, jak gdyby była żywą istotą i nie miała zamiaru ustępować.

Zaczynała się rozluźniać i zapadać w ten błogi stan, w którym zmysły przestają działać, gdy nagle Camargo zapukał do drzwi. Mogła być druga, ewentualnie wpół do trzeciej. Przez chwilę nie wiedziała, czy głos dobiega ją z jutra, czy z minionego tygodnia.

- Reina, musiałem wycofać twój artykuł z pierwszej strony. Śpisz, Reina? Twój artykuł nie idzie. Zdanie jak trzaśnięcie bicia wytrąciło ją ze snu.

- Ale dlaczego? Już idę. Muszę coś na siebie wrzucić.

W jej głowie nagle rozpanoszyło się poczucie porażki i zdała sobie sprawę, że właśnie tego najbardziej się bała: nie porażki w stosunkach z rodzicami, bo przed tym fatum nikomu nie udało się uciec, nie porażki z Camargo, którą być może dałoby się naprawić, tylko porażki jej samej, przekonania o własnej niezwykłości, które nagle legło w gruzach. Gdzie popełniła błąd? Namacała włącznik światła: nie działał. Na szczęście jakaś lampa naftowa wciąż się paliła i na jej konającym knocie migotał płomyk. Narzuciła meksykańską sukienkę na piżamę i idąc w stronę drzwi, poczuła lekki zawrót głowy, uczucie, jakby na widok Camargo miała się zapaść w pustkę.

On tchnął wilgocią i perfidią. Przed chwilą wyszedł spod prysznic i pachniał tą samą łagodną i dyskretną wodą kolońską, która zawsze unosiła się wokół niego. W ręku trzymał teczkę z papierami przywiezionymi z Buenos Aires.

- Jesteś bardzo ładna, Reina - powiedział. Słowa zderzyły się ze sobą, jakby nie to chciał powiedzieć.

- Co się stało z moim artykułem? Ma go pan?

Reina wskazała na teczkę.

- Nic. Nic się nie stało. Chciałem tylko z tobą chwilę porozmawiać i nie wiedziałem, jak cię zbudzić.

- Chce pan powiedzieć, że jednak pójdzie tak, jak go posłałam, na pierwszą stronę?

- Tak, wyjdzie bez zmian. Nic się nie stało. Mogę wejść na chwilę?

Usunęła się, a on, przechodząc, złapał ją za rękę. Nie wyrwała się.

- Jestem zmęczona - powiedziała.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Camargo zamknął drzwi i objął ją. Reina poczuła, że jego wielkie i groźne ciało, w które zaczynała się zapadać, wzbudza w niej niespodziewane pożądanie. Miała wrażenie, jakby wszystkie pewniki traciły grunt pod nogami, że Camargo nie jest już Camargo. Ona też nie jest sobą. Wystarczył jeden uścisk, żeby dwie osoby nagle stały się kimś innym. On chwycił jej twarz w obie dłonie i ucałował. Jego usta były ciepłe i oddalały ją od świata. Ich języki odszukały się i pieściły, a niewidzialna fala porwała ich w upragniony niebyt. Reina nie zastanawiała się, co w tej chwili zyskuje i co traci. Dała się ponieść emocjom, bo on przypominał jej bezbronne dziecko i miała ochotę się nim zaopiekować.

Camargo zdziwił się, nie znajdując jej rano w łóżku. Na podstawie brudnego światła wdzierającego się przez okno wywnioskował, że jest po siódmej. Horyzont wyglądał jak szara kreska i wbrew logice pół roku wciąż było gorąco. Zniknęły ubrania Reiny i jej torba podróżna,

i notebook, na którym napisała artykuł o herezji. Zdumiony, zaczął się ubierać. Przeszkadzał mu nie tyle fakt, że odeszła, nie zostawiając nawet krótkiej notki, ale to, że mogła go podglądać, kiedy spał. To pewnie typowe dla takich kobiet jak ona: szpiegować go, mieć go pod kontrolą. Widziała jego rozchylone usta, nagie nogi pokryte zylakami, miękki i żaloszny brzuch. Zaskoczyła go, kiedy był bezbronny, i zabrała ze sobą jego obraz, nie dając mu czasu na poprawienie go. Wyszedł na korytarz w poszukiwaniu służącej i znalazł ją, przykrytą tiulem moskitiery, kiedy niosła naczynie z miodem. Kobieta zdjęła tiul na znak szacunku. Miała zniszczone policzki, popękane z suchości.

- Pan też już wyjeżdża? - zapytała. - Jest kawa i bułeczki. Powinien pan spróbować bułeczek z miodem. Nie ma kwiatów, ale pszczoły dalej pracują. W następnym tygodniu będą nowe królowe. Powinien pan przyjechać je zobaczyć. Królowe pszczoł śpiewają, wiedział pan? Kiedy śpiewają, wszystko to, co tu widać, robi się żółte, nikt nie wie dlaczego.

Camargo nie odpowiedział. Irytowała go ta gadatliwość. Nie chciał zadawać się z ludźmi z niższych klas, nie chciał tych oznak poufałości. Czy ona coś widziała? Może słyszała?

- Gdzie jest kierowca? - zapytał. - Auto miało być już gotowe i czekać na mnie.

- Zawiózł panią na dworzec - powiedziała kobieta. - Może znowu się zgubił.

- Proszę mi podać kawę. Bez miodu, bez bułek. Rano piję tylko kawę.

A zatem pojechała autobusem. Dlaczego tak się zachowuje? Może dlatego, że wysadził ją na środku ulicy tego wieczoru, kiedy jedli razem kolację. Cholera, mściwa jest. A jednak ciągle o niej myślał. Wibrowała w jego głowie i nie chciała zniknąć. Kiedy wróci do Buenos Aires, wyrzuci kierowcę. A co z Reina? Kilka pszczoł przyleciało do naczynia z miodem zostawionego przez służącą na ławce na korytarzu. Może nie wróciła do redakcji. Może pojechała gdzieś indziej. Ale któregoś dnia musi się zatrzymać. Któregoś dnia dotrze do jakiegoś miejsca i zatrzyma się, żeby przemyśleć, co robić. I kiedy tam dotrze, ja już będę na nią czekał. Może się czuć tak wolna, jak zechce. Może cały czas czuć się wolna, bo gdziekolwiek pójdzie, zawsze będzie należeć do mnie.

Godzinę temu przenieśli biedną Angele na intensywną terapię, powiedziała ci przez telefon Brenda, po hiszpańsku, choć ten język zaczął już u niej ulegać atrofii. Nie potrafią opanować infekcji dróg oddechowych. Zdaniem doktora Clarke'a jej białe krwinki przestały działać. Zrobili jej tyle transfuzji, że nie ma już jednej zdrowej żyły. Wczoraj musieli kłuć ją w wierzchnią część dłoni. Ból nie daje jej spokoju. Gdybyś ją usłyszał, serce by ci pękło. A pierś? Biedne dziecko, pierś ma tak wątlą,

że strach. Powinni znowu zacząć chemioterapię, ale najpierw muszą powstrzymać infekcję. Masz pojęcie? Jak można tak cierpieć, kiedy się ma tylko piętnaście lat? Ja już nie mogę, Camargo. Nie mogę na to patrzeć. Jak podchodzę do jej łóżka, pyta, kiedy przyjedzie tata. Ledwie wydobywa z siebie głos. Nie widziała cię już od trzech miesięcy. Pojechałeś do Toronto, do Las Vegas, ale nie miałeś czasu wpaść choćby na dzień do Chicago. Przecież to twoja córka. Boję się, Camargo, boję się być sama, boję się tego, co może się stać.

Ten doktor Ciarkę to kto, pytasz. Hematolog, który się nią zajmuje od początku, dziwi się Brenda. Jak możesz go nie pamiętać. Ale tak właśnie jest, nie pamiętasz. Już od dawna myślisz o Angeli, jakby nie miała z tobą nic wspólnego. Wymawiasz jej imię i nie czujesz nic. Zdjęcia z koncertów, wycieczki rowerowe, nic z waszej przeszłości nie jest w stanie cię wzruszyć. Odwiedziłeś ją w tym roku kilka razy i nie starczyło ci nawet odwagi, żeby ją przytulić. Stała się zbyt krucha. Przestała do ciebie należeć, bo teraz należy do choroby, do nieszczęścia, do smutku, od którego wolisz być daleko. Starasz się coś jeszcze powiedzieć do telefonu, ale ci nie wychodzi. A jak Diana? - pytasz. Rzadko rozmawiasz ze swoją byłą żoną o drugiej z bliźniaczek. Ona też stała ci się obca. Ani na sekundę nie odchodziła od łóżka Angeli, odpowiada Brenda. Dopiero teraz, bo nie pozwalają jej zostać na intensywnej terapii. Jest tutaj, ze mną. Chcesz z nią porozmawiać? Nie, odpowiadasz, przestraszony. Teraz nie mogę. Mam dwóch redaktorów w poczekalni. Sytuacja w kraju jest poważna, sama wiesz. Czekamy, bo w każdej chwili minister gospodarki może złożyć dymisję. Ucałuj Dianę ode mnie. Powiedz jej, że tęsknię. Jeśli dałbym radę jutro przylecieć, dam ci znać, Brenda. Muszę kończyć. Jutro? - pyta ona. Uszom nie wierzę. Będziesz czekał do jutra? Ángela ma czterdzieści jeden stopni gorączki i nie potrafią jej obniżyć. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale jutro może stracić przytomność i tak jej się pogorszy, że nie pozwoli nam się z nią widzieć. To musi być dziś, Camargo. Jesteś jej ojcem. Irytuje cię, że Brenda powołuje się na odpowiedzialność, której nigdy nie zaniebależ. Wydajesz fortunę na szpitale i nieprzydatnych lekarzy, którzy nawet nie potrafią zbić czterdziestojednostopniowej gorączki, a ona ci tu opowiada o ojcowskich obowiązkach. Czegoś takiego nie można tolerować. Nie naciskaj na mnie, Brenda, mówisz. Ciągłe próbujesz sterować życiem innych. Zobaczą, co się da zrobić w sprawie podróży.

Uspokajasz ją obietnicami, żeby dała ci spokój. Próbowała tobą manipulować i kolejny raz udało ci się wymknąć. Nie masz najmniejszego zamiaru wyjeżdżać z Buenos Aires. Właśnie teraz, kiedy kobieta z naprzeciwka zdradziła cię i wystawiła na śmieszność te wszystkie miesiące uwagi, jakie jej poświęciłeś. Po tym, jak spojrzeniem stworzyłeś jej ciało, masz pozwolić, żeby twoje dzieło rozpadło się w rękach innych? Jesteś wściekły, rozpaczliwie pragniesz ją ukarać i z taką raną nie jesteś w stanie nigdzie wyjeżdżać. Jeszcze będzie czas na zajmowanie się Ángela. Teraz kobieta z naprzeciwka jest najważniejsza.

Nazajutrz po wypiciu dawki fenobarbitalu spała do południa. Przełożyłeś wszystkie spotkania w redakcji, czekając na moment, kiedy wstanie i zacznie się snuć bez energii po domu, rozczochrana i rozbita. Telefonowała dwa czy trzy razy, może do lekarza albo do matki, pewnie też do pracy, żeby powiedzieć, że ma zawroty głowy, nudności i że przyjdzie, jak poczuje się lepiej. Kiedy ją obserwowałeś, odsuwając się od okna, żeby się nie zdradzić, kazałeś jednemu z redaktorów z działu kultury, żeby sprawdził z absolutną dyskrecją - absolutną, podkreśliłeś, dając mu do zrozumienia, że fałszywy ruch może kosztować go pracę - czy jakieś wydawnictwo w Buenos Aires nie zamierza opublikować eseju o Jezusie, o pierwszych latach chrześcijaństwa czy na jakiś inny zbliżony temat. To może być zbiór różnych autorów, powiedziałeś mu, w takim wypadku proszę zanotować kto to. Proszę też sprawdzić wydawnictwa trzeciorzędne, nielegalne, takie, co dopiero powstają. Proszę niczego nie przepuścić. I raport ma trafić do mnie, bez żadnych pośredników, jak najszybciej. Zniszczysz każdego, kto odważy się wydać to gówno napisane po kryjomu przez tę dziwkę.

Kobieta jest młoda i ma świetną kondycję. O drugiej po południu działanie fenobarbitalu zupełnie ustało. Ciągłe piła wodę i chodziła do łazienki. Na chwilę zniknęła mu z pola widzenia, żeby wziąć prysznic, i wyszła spod niego ożywiona i pełna energii. Zrobiła sobie kawy, ale nic nie jadła. Widziałeś, jak kilka razy przygląda się podejrzliwie kartonowi z sokiem i w końcu chowa go do lodówki. Niczego nie podejrzewa, tego jesteś pewien, ale musisz obserwować jej zachowanie, bo a nuż zrezygnuje z picia soku. Wtedy poszukasz innej metody na podanie jej następnej dawki fenobarbitalu. To, co zatrze się jej w pamięci, ciało zachowa. Za każdym razem, kiedy podejdziesz do soku pomarańczowego, przeszłość wróci, jakby działa się teraz. Wszystko, o czym ona zapomni, ty musisz pamiętać.

Widzisz, że usiadła przed komputerem i sprawdza pocztę. Jest podekscytowana, nie ma czasu odpowiadać na listy. Za dnia trudniej ją obserwować, bo światło z ulicy nie dociera do wszystkich kątek mieszkania. Ale jej ruchy robią się doskonale widoczne, kiedy staje koło okna, patrzy w lustro albo otwiera lodówkę.

Pozwoliłeś, żeby upłynął tydzień, a ona wróciła do starych przyzwyczajzeń. Wiesz, że w tym czasie dwa razy dzwoniła do kolumbijskiego dziennikarza z telefonu w pracy, marnując cudze pieniądze na swoje miłostki. Udaje, że wyjazd do Rio de Janeiro jest związany z pilnym badaniem jakiejś sprawy, żeby firma opłaciła koszty. Nie dość, że dziwka, to jeszcze złodziejka. Nie zasługuje na żadną litość.

Teraz wcześniej przychodzisz do swojego mieszkania na ulicy Reconquista, zawsze przed dziesiątą wieczorem. Zamknięcie numeru powierzasz redaktorowi nocnej zmiany alboENZowi Maestro, którego zatrudniłeś niedługo przed zmianą rządu. Wybrałeś go ze względu na jego polityczne kontakty, awansowałeś go za bezwzględną lojalność i w końcu zrobiłeś z niego swoją prawą rękę.

Pierwszą rzeczą, jaką robisz, nie jest już nastawianie teleskopu; teraz najpierw przechodzisz przez ulicę i próbujesz rozmawiać z parą bezdomnych koczującą obok budynku, w którym mieszka kobieta. Kiedy pracowałeś w Chicago, nauczyłeś się, że ludzie zwracając się do kogoś, kto nie rozumie ich języka, mówią powoli, akcentując każdą sylabę, jak gdyby można było zrozumieć kompletnie nieznaną mowę tylko dlatego, że ktoś mówi wolniej albo głośniej. Ale nie ma skuteczniejszej techniki niż język gestów. Tak zacząłeś porozumiewać się z bezdomnym mężczyzną, bo ta kobieta jest ci niechętna: zaciska zaschłe wargi, kiedy tylko się zbliżasz, i zniszczonym kocem zasłania twarz. To uciekinierzy z ogarniętego wojną Kosowa i posługują się jakimś skomplikowanym wariantem serbskiego. Nawet nie są spokrewnieni: łączy ich nieszczęście wspólnej ucieczki z tej samej górskiej wioski, niedaleko miasta zwanego Pranjani, tak przynajmniej rozumiałeś. Wydali fortunę, żeby dotrzeć do Buenos Aires, przekupując urzędników imigracyjnych w Ciudad de Este i Posadas, tylko po to, żeby się przekonać, że w stolicy czeka ich dola żebraków. Mężczyzna zbiera czasami puszki i butelki w miejscach, przez które jeszcze nie przeszli inni mu podobni. Nachodząc zajęte przez kogoś terytorium, ryzykuje, że zatłuką go kijami albo wrzucą do rowu. Ale co innego może robić? Nie ma pracy dla nikogo, ludzie potracili rozum, wszyscy myślą tylko o jedzeniu. Jesteśmy żołądkami, tylko żołądkami, mówią gesty mężczyzny.

Czasami zanosisz im puszki z mięsem i zupą. Bezdomna umie podziękować, bo słyszałeś, jak niezręcznie wymawia to słowo, kiedy ktoś rzuca jej monetę, ale na ciebie patrzy nieufnie, a gdy się zatrzymujesz, żeby porozmawiać, ciągle powtarza do swojego towarzysza: *Bas smo zedni*. Z tego, co się domyślasz, zdanie oznacza "Chce nam się pić", albo coś w tym rodzaju. Jej niechęć może zakłócić kontakty, jakie nawiązałeś z mężczyzną: starasz się być dla niej grzeczny, przełamać jej nieufność, lekceważyć jej zaczepki. Nie jest ci łatwo, bo jej widok staje się coraz bardziej odpychający. Kiedy podnosi się na swoim barłogu, widać jej nastroszoną czuprynę, kosmyki sterczące jak parzydełka meduzy. Jej odór staje się nie do zniesienia. Na szczęście nie protestuje, kiedy oddalasz się jakieś dwie przecznice razem z jej towarzyszem, chociaż cały czas śledzi was wzrokiem, a jeśli byście zniknęli, sfingowałaby atak. Nie potrafisz zrozumieć, na czym polega łącząca ich więź. Na pewno nie chodzi o sprawy cielesne, bo mężczyzna jest wciąż silny i gdyby nie te zęby, prezentowałby się nawet dość atrakcyjnie, podczas gdy ona jest już kompletnie zdeformowana przez rany i koszmarnie choroby.

Nieraz oferowałeś, że opłacisz im pokój w pensjonacie, ale nie chcieli. Zachowują pewną dumę, jak gdyby ich nędza była wynikiem wyboru, a nie porażką. Teraz nie masz już wyjścia i musisz im jasno powiedzieć, czego potrzebujesz. Kobieta z naprzeciwka za trzy dni jedzie do Rio de Janeiro i za wszelką cenę musisz temu zapobiec.

Po rozmowie z Brendą wychodzisz, żeby poszukać bezdomnych: czas cię goni. Jest dziesiąta wieczór i mija już tydzień, od kiedy w mieszkaniu naprzeciwko zmieniła się codzienna rutyna, może dlatego, że kobieta jest zakochana i chce się skupić na sobie. Wcześniej wraca z biura, rzadko kiedy wychodzi wieczorem i od świtu spędza kilka godzin na pisaniu. Jedynie w niedziele jej zwyczajnie pozostały te same: jeździ konno i wraca dość późno. Słucha muzyki, rozbiera się przed lustrem. Teraz bardziej dba o swoje ciało: widzisz, że po wstaniu rozciąga się na drążku, robi skłony, przed snem smaruje sobie kremem nogi i piersi.

Momir - bo tak, jak się dowiedziałeś, nazywa się mężczyzna - chrapie już w najlepsze na swoim legowisku, kiedy do niego przychodzisz. Jego towarzyszka natomiast siedzi i pali. Pytasz, czy mo-

zesz porozmawiać z mężczyzną. Bez jej zgody nie ma go co budzić, bo ona nie da mu się ruszyć. Przykładasz dłoń do siebie w geście prośby. Ważne, ważne, powtarzasz po hiszpańsku, nie wiedząc, czy te słowa do niej trafiają. *Ćekaću ga*, powtarzasz. Wydaje ci się, że to znaczy coś w rodzaju "będę na niego czekał". Potem rzucasz słowo, które bezdomna w końcu pojmuje: *Pranjani*.

Wszystko, czego oni potrzebują - jak ci powiedział mężczyzna - to wrócić do *Pranjani*. Z miasteczka, w którym mieszkali, zniszczonego w wyniku bombardowań, nie zostały nawet ruiny, ale w *Pranjani* zaczęto odbudowę. On mógłby tam pracować jako murarz. Nie jesteś pewien, czy powiedział murarz, czy kierownik budowy, a może wymienił jakiś inny zawód związany z inżynierią, bo język gestów ma swoje ograniczenia, a hiszpański mężczyzny jest szczątkowy, czysto użyteczny. Przyszedłeś, żeby ofiarować im to, czego pragną.

Chowasz się w bramie twojego budynku, czekając, aż Momir się rozbudzi. Obawiasz się, że kobieta może w każdej chwili wrócić z biura. W końcu widzisz, że mężczyzna wstaje i rozgląda się za tobą. Dajesz mu znak, żeby przeszedł przez ulicę, ale on rusza dopiero, kiedy nakazuje mu to kobieta: *Pitaj ga*. Najwyższy czas, żebyś mu zaproponował wymianę, o której myślisz od chwili, w której przeczytałeś listy napisane przez kobietę z naprzeciwka do kolumbijskiego dziennikarza. Nakazesz mu absolutną dyskrecję - absolutną, powtarzasz - chociaż jak mógłby cię zdradzić ten chłop niemowa, zupełnie tu obcy? Z góry wiesz, że negocjacje nie będą łatwe: niekończące się konsultacje bezdomnego z towarzyszką. Twoja oferta jest prosta: kwota wystarczająca na pokrycie kosztów dwóch biletów do Belgradu i autobusu do *Pranjani* oraz dodatkowo, żeby przeżyć przez tydzień. Powiesz "Trzy tysiące pesos", spodziewając się, że Momir odpowie: "Pięć". A jednak prosi cię o dużo więcej. Chce nowe paszporty, dla siebie i dla kobiety. Z tego, co rozumiesz, w drodze z *Posadas* do *Buenos Aires* okradziono ich ze wszystkiego: dokumentów, pieniędzy, biżuterii, ubrań, zdjęć. Paszporty? - powtarzasz zdziwiony. To niemożliwe. Jak masz je zdobyć w tak krótkim czasie? On musi wywiązać się ze swojej części umowy jutro w nocy, a ty nie zdołasz przecież dostarczyć im papierów szybciej niż za siedemdziesiąt dwie godziny, i to przy dużym szczęściu. Dostarczę wam paszporty, daję słowo. Zaufajcie mi. On patrzy na ciebie niepewnie. Znowu przechodzi przez ulicę i naradza się z towarzyszką. Albo Momir nie zrozumiał twojego wywodu, albo kobieta nie chce się zgodzić. Wraca z opuszczoną głową. W takim razie ile mam czasu? - pytasz. Teraz, odpowiada Momir nieubłaganie, wykazując palcem na ziemię, żeby podkreślić swoją stanowczość.

Głupota tych bezdomnych doprowadza cię do szału. Jak te gnidy ośmielają się sprzeciwiać twojej woli? Nie darujesz im tej bezczelności. Zniszczysz ich w stosownym momencie. Teraz, niestety, są narzędziem potrzebnym ci, żeby dać nauczkę kobiecie z naprzeciwka. Póki to się nie stanie, musisz użyć całej swojej władzy, żeby dać im to, czego chcą. Być może trzeba będzie zwrócić się do *Sicardiego*, szefa kadr, albo *Enza Maestra*, który wciąż ma dobre kontakty w wywiadzie.

Załatwię to, Momir, mówisz. Zajmę się tym. O siódmej rano przyślę tu zaufanego człowieka, żeby wam zrobił zdjęcia. Postarajcie się doprowadzić do porządku, uczeszcie się. Spróbujcie wyglądać normalnie. Potem, nocą, przyniosę ci, o ile dam radę, papiery dla twojej towarzyszkii. Pieniądze i drugi paszport dostaniesz później, jak już zrobisz to, o co proszę. Momir znowu się oddała, żeby sprawdzić, czy kobieta się zgadza. Ze swojego legowiska daje znak, że tak. Boże, co za negocjacje.

Ale rzeczywistość nie sprzyja. Rozmawiając z Momirem, wyłączyłeś komórki i teraz okazuje się, że masz dwie pilne wiadomości. *Maestro* błaga, żebyś jak najszybciej zjawił się w biurze. Prezydent rozpedził połowę rządu, mówi, i wpłatał się w śmiertelną walkę z sojusznikami, którzy wynieśli go do władzy. Nie słucha nikogo oprócz swoich synów. Kryzys jest tak poważny, że wiceprezydent może złożyć dymisję. Gazeta jest unieruchomiona, *Camargo*, wszyscy na ciebie czekają, mówi *Maestro* do słuchawki. Przecież nie mogę puścić tytułów na pierwszą stronę bez twojej akceptacji! Mam gotowe teksty, leżą na twoim biurku. Kolejny raz myślisz o tym, jak słuszną decyzję podjąłeś, biorąc go sobie na asystenta. Połowa redaktorów oburzyła się na ten pomysł. Był najbardziej pozbawionym skrupułów rzecznikiem rządu, jakiego widział ten kraj, mówili. Nawet za dyktatury nie było kogoś takiego. Przesadzają. Wezwałeś go do siebie, bo on nie dyskutuje z rozkazami: wypełnia je co do joty albo i lepiej. Niezłomną lojalność, jaką darzył prezydenta, przeniósł teraz na ciebie. I jego niebezpieczna, agresywna wyobraźnia, którą mamił cały kraj, podczas gdy prezydent kradł ile wlezie, teraz, w gazecie, osiąga swoje szczyty. Nie może, tak jak wcześniej, stwarzać faktów, ale doskonale nimi manipuluje, poprawia, ustawia. Życie jest niesprawiedliwe dla ludzi takich jak *Maestro*, powtarzałeś nieraz. W kraju nie tak marginalnym jak *Argentyna* stałby się takim *Fouché*, *Kis-*

singerem, J. Edgarem Hooverem. Żaden z nich nie ma w swojej biografii tak genialnego manewru jak fałszywa pokuta poprzedniego prezydenta w Los Toldos, przy okopach Alsiny i w Valle de la Luna jednocześnie: trzy strzały, które trafiły w jeden cel.

Chętnie zwierzyłbyś mu się z kłopotów związanych z kobietą, bo Maestro umiałby ci trafnie doradzić, ale to tajemnica, której nikomu nie możesz zdradzić. Powiedziałbyś o tym swojej matce, to na pewno, wyrzuciłbyś z siebie wszystko, co masz w sobie, gdybyś tylko ją spotkał, bo, choć wciąż masz nadzieję, to zaprzestałeś już poszukiwań, Camargo: twoja matka odeszła już z królestwa tego świata.

W telefonie zarezerwowanym dla córek i najbliższych są nagrane dwie pełne żalu wiadomości. Z Angela jest coraz gorzej. Grobowym głosem Brenda oznajmia ci, że nie są w stanie zapanować nad infekcją. Trzech lekarzy zajmuje się nią na intensywnej terapii. Jeśli przypadkiem nie jesteś w drodze do Chicago, mówi Brenda, błagam, poszukaj jakiegoś połączenia przez São Paulo, Limę czy cokolwiek innego. Musisz tu przyjechać jak najszybciej, Camargo. Jesteśmy z Dianą zrozpaczone.

Twoja była żona chyba oszalała. Jak ona może myśleć, że będziesz wyjeżdżał na każdą wieść o pogorszeniu się stanu zdrowia Angeli? Nie pierwszy raz próbuje cię podejść fałszywym alarmem. Twoja córka ma trudną do wyleczenia białaczkę, tych mieloblastów czy jak im tam, ale wcześniej jakoś wracała do siebie, więc teraz też nie będzie inaczej. Gdyby Brenda choć na chwilę postawiła się w twojej sytuacji, zrozumiałaby, że przecież masz teraz kryzys polityczny i nie możesz lekko-myślnie zostawić gazety. I gdyby, tak jak na początku małżeństwa, nadawała na tych samych falach co ty, wyczułaby, że podróż tej kobiety do Rio de Janeiro to dla ciebie sprawa życia i śmierci.

Druga rozmowa cię irytuje: to Reina Remis musi się z tobą zobaczyć jak najszybciej. Tylko minutkę, błaga, jestem ofiarą nieporozumienia i chcę to wyjaśnić w cztery oczy. Nie przyjmiesz jej, tak postanowiłeś. Powierzysz sprawę sprawiedliwości Sicardiego i palcem nie kiwniesz w jej obronie.

A jutro? Ach, jutrzejsze plany musisz zapiąć na ostatni guzik. Ledwie wchodzisz do biura, wzywasz Sicardiego. Być może on jeden jest w stanie rozwiązać wszystkie dręczące cię problemy. Nie wiesz dlaczego, ale jego nos cię denerwuje: wielka papryka, która za chwilę eksploduje. Moralność Sicardiego to obszar niezbadany, dlatego ostrożnie dobierasz słowa, jak gdybyś kroczył po rozżarzonych węglach. Proszę się nie martwić, mówi, możemy załatwić paszporty na jutro po południu. Oczywiście fałszywe. Namierzę te, które skradziono z polskiego konsulatu. Te typy, które mamy wyekspediować z kraju, to Chorwaci, mówił pan, czy Serbowie albo Czarnogórcy? W takim razie nikt nie zauważy różnicy. Serbowie, Polacy, Bułgarzy: jeden czort. Decydujesz się powierzyć Sicardiemu wszystkie sprawy: zdjęcia, wymyślenie nazwisk, możliwe daty urodzenia między 1954 a 1960. Chciałbyś, żeby nie było błędów w tłumaczeniu przy przepisywaniu danych, ostrzegasz: takie szczegóły mogą zrujnować całą pracę, kiedy trafią pod lupę Urzędu Migracyjnego. Proszę zwrócić uwagę na dziwne litery tego języka, Sicardi: igreki z akcentem, f z dodatkowymi kreseczkami, daszki nad samogłoskami. Proszę się nie martwić, uspokaja cię. Czy kiedykolwiek pana zawiedliśmy?

Niepokoi cię temat Reiny Remis: to niewidzialne pole minowe, na które ani Sicardi, ani ty nie chcecie wkraczać. Czy coś jeszcze, panie Camargo? Zapominamy może o tej Remise? - pyta, usłużnie, przygotowując teren. Powinieneś się cieszyć, że jego nos wytrzymuje to napięcie. Remis, poprawiasz go, akcentując pierwszą sylabę. Nazywa się Reina Remis. Wie pan, że zdradziła gazetę. Te linie lotnicze, Fleet, dały jej łapówkę. Nie mamy innego wyjścia, musimy ją zwolnić, Sicardi. A może zadziałamy spokojniej, panie Camargo, niepokoi się on. Może ją najpierw ostrzeżemy? Zwolnić ją tak z dnia na dzień, to nas będzie dużo kosztować. Chyba że mamy dowody na tę łapówkę? Drożej nam wyjdzie utrzymanie jej, Sicardi. Proszę działać. I nie przejmować się kruczkami prawnymi.

Wścieka cię, że musisz się tłumaczyć. Kiedy chodzi o Remis, nie znosisz żadnego sprzeciwu. Zwolnić ją, ale bez pośpiechu, powtarzasz. Niech popełni jeszcze kilka błędów. Niech nam wytoczy proces. Potrzymany ją parę miesięcy bez pensji, niech sobie lazi po adwokatach.

W końcu - co za ulga. Zrzuciłeś już z barków ten dyskomfort, który nie dawał ci spokoju. Jak tylko złapiesz oddech, podzwonisz po szefach "El Heraldo", stacji telewizyjnych, agencji informacyjnych i rozgłośni radiowych, które ci tylko przyjdą do głowy, żeby ich uprzedzić, że Reina cię zdradziła i że zatrudnienie jej oznacza wojnę z tobą. Powinno ci to posłużyć za naukę, Camargo. Wyciągnąłeś ją zbyt wysoko, na poziom, na którym tylko tacy jak ty potrafią oddychać. Ofiarowałeś jej

swoją intymność, przynajmniej dwa razy podwoiłeś jej pensję. Zarabiała prawie tyle co Maestro. Dla niej, tylko dla niej, odseparowałeś się od Brendy i oddaliłeś od bliźniaczek, chociaż pewnie prędzej czy później i tak by do tego doszło. I proszę, jak ci się odwdzięczyła: skorumpowała się. Nie musisz sprawdzać, czy oprócz biletów przyjmowała od linii lotniczych jakieś czeki. Wystarczy przeczytać, co o nich napisała. Nie wybaczysz jej, Camargo, choćby błagała na kolanach. Nauczyłeś się tego od Boga, który jest litościwy, ale nigdy nie wybacza.

Teraz dzwonisz do Enza. Przy nim czujesz się swobodnie, jesteś w pełni sobą. Jego pomysły zawsze są kalkami twoich, a jeśli przypadkiem przychodzą mu do głowy jakieś własne, pozbywa się ich. Mógłbyś mu powiedzieć, że jutrzejszy główny tytuł będzie brzmiał, na przykład, *Krydowy rzqzys*, a on przytaknie ci entuzjastycznie. Ciekawie byłoby zaskoczyć kiedyś czytelników i zmusić ich, żeby sami zrekonstruowali poszatowany język: *Rezygnuje się z oczekiwania wiceprezydenta*. Albo: *Dystrów minimisja trzech*. Dzienniki stałyby się takimi łamigłówkami dla dorosłych, a nie przetrwoną papką dla infantylnych tępaków. Tak, zróbmy to, to świetny pomysł, powiedziałaby Maestro, i zaraz wzięłby się do roboty.

Odmłodził po wyjściu z piekła pałacowych korytarzy. Chociaż ciągle wbija się w błyszczące garnitury z kamizelką i upiera przy kwiecistych krawatach, do których przyzwyczał go zły gust byłego prezydenta pokutnika, Maestro pozbył się lękliwego i zawstydzonego spojrzenia z tamtych czasów. Kiedy przechadza się po redakcji, z palcami zatkniętymi za guziki kamizelki, wygląda jak Noe słuchający pełnego wdzięczności rżenia, ćwierkania i gwizdów. Wiesz, jaka jest wiadomość dnia, Camargo? - wita cię entuzjastycznie. Upadek Milosevicia. Mieliśmy wspaniałe relacje prosto z Belgradu, wywiad z Voljislavem Kosturicą, który przejął władzę i całą kolumnę napisaną przez samego Juana Goytisoslo. Tyle że nasz prezydent wstał lewą nogą i wywalił trzech niepokornych ministrów na zbity pysk. Wiem z dobrego źródła, że wiceprezydent lada moment trzaśnie drzwiami. Sugerujemy to, ale nie mówimy wprost. A może chcesz, żebyśmy zmienili tytuły i położyli na to nacisk?

Niczego nie ruszaj, Enzo, rozkazujesz. Niech wszystko zostanie tak, jak to zrobiłeś. Wyszukowałeś doskonałą pierwszą stronę. Tej nocy nic szczególnego się nie zdarzy. Wice, jeśli ustąpi, odczeka, aż prezydent się namyśli i go wezwie. Za to ja, Enzo, mam kłopoty. Będziesz mnie musiał zastąpić przez parę dni. Teraz, Camargo? Nie możesz teraz zrobić czegoś takiego! Zrobię, co zechcesz, ale nie jestem tobą i czytelnicy to poczują. Nie mam innego wyjścia, odpowiadasz. Z Angelą znowu gorzej. Chociaż Brenda nie chce tego przyznać, wiem, że moja córka może w każdej chwili umrzeć. Powinienem polecieć do Chicago, ale nie mam odwagi. I nie mam też siły, żeby z kimkolwiek się spotykać. Będę z tobą w kontakcie, pod telefonem, i przyjdę do redakcji w razie jakiejś sytuacji krytycznej. To, co będzie rano, łatwo przewidzieć, Enzo. Mogę ci nawet podyktować tytuł: Wiceprezydent złożył nieodwołalną dymisję. Nie ma co kombinować. Musisz tylko posłać reportera do Olivos, żeby zdawał relacje z tego, co gada prezydent, podczas gdy ktoś inny będzie szedł krok w krok za wicedezterterem. Dodasz do tego kilka analiz kryzysu i gotowe. To będzie rześki dzień, czysty tlen. Jeśli wydarzenia potoczą się tak, jak mówisz, Camargo, pewnie faktycznie wszystko jest bardzo proste. Ale ta historia może zboczyć, powikłać się. Popatrz, jak dziwnie ułożyły się dzisiaj wydarzenia: budzimy się z wieścią o upadku Milosevicia, a wieczorem nasz nudny prezydent robi porządki w swoim gabinecie.

Ale mniejsza o gazetę. Ważniejsze jest to, że jeśli zostaniesz, będziesz się czuł winny. Nie lepiej pojechać do Chicago? Maestro jest sprytny, ale źle zorganizowany. Nie zna ekipy, nie wie, który z reporterów jest w stanie dowiadywać się o wydarzeniach w Olivos przez telefon i zamiast być na miejscu, będzie siedział z rodziną na obiadku. Nie ufa też radom Sicardiego. Będziesz mu musiał pomóc podczas jutrzejszej batalii. Sugerujesz mu, żeby wyznaczył Remis do śledzenia wicedymisjonowanego. Rozpisujesz szczegółowy plan działania: żeby o ósmej rano namierzyła go w kawiarni na rogu przy jego domu, gdzie zawsze jada śniadanie; żeby była przy pisaniu rezygnacji, widziała płacz żony, bezskuteczne telefony z Olivos i próby przekonania go do zmiany decyzji, konferencję prasową, na której ogłosi rezygnację, pusty dom i przestraszonych ludzi. Remis? - dziwi się Maestro. Nie zamierzamy jej wyrzucić? Tak, i co z tego? - odpowiadasz. Od miesięcy zaniedbuje pracę i jeszcze nas okrada. Jutro damy jej szansę na oddanie długu. Przypilnuj jej. Niech Sicardi co jakiś czas sprawdza, czy jest na miejscu. I nie zwalnijaj jej do domu, dopóki tekst nie będzie dopięty na ostatni guzik. Ty ją kochałeś, Camargo, odważa się powiedzieć Maestro. Jeszcze do niedawna ją kochałeś. Właśnie dlatego, odpowiadasz. Nigdy nie pozwalałam sobie na mieszanie uczuć z pracą.

Jeszcze może być przydatna. Potrafi pisać ze zręcznością Victorii Ocampo i jest równie sprytna jak Patricia Highsmith. I bywa niebezpieczna.

Tej nocy po raz pierwszy położysz się spać na tej mnieszaj pryczy w mieszkaniu na ulicy Reconquista, chociaż nie wiadomo, czy w ogóle zdołasz zamknąć oczy. Odsuniesz fotel obserwacyjny, wielokrotnie będziesz podchodził do teleskopu Bushnell i przyjrzyysz się wszystkim jej porannym ruchom. Miałbyś ochotę wejść do mieszkania kobiety z naprzeciwka, ledwie tylko wyjdzie do pracy, ale sprzątaczką siedzi tam aż do pierwszej i będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość. Zauważyłeś drobną zmianę w przyzwyczajeniach kobiety związanych z piciem soku: chociaż wciąż preferuje pomarańczowy, czasami sięga po jabłkowy. W lodówce zawsze trzyma dwa albo trzy kartony. By uniknąć wszelkiego ryzyka, wsypiesz po dwa gramy fenobarbitalu do każdego opakowania. Tym razem musisz założyć rękawiczki, bo wymierzona przez ciebie kara będzie bardzo poważna i nie może być żadnych śladów. Zachowałeś też skrajne środki ostrożności przy rezerwacji biletów dla Momira i jego partnerki na samolot lecący do Santiago de Chile w sobotę w południe. Stamtąd z trzema przesiadkami dotrą do Belgradu. Chcesz, żeby byli daleko stąd i niczego nie mogli powiedzieć. Formalności powierzyłeś Sicardiemu, jesteś pewien, że kiedy jutro w południe zadzwonisz, zdąży zapiać już wszystko na ostatni guzik. Jedyne, o czym zapomniałeś, cholera, to sprawdzić, gdzie się podziewają bezdomni w ciągu dnia, po jakich zaułkach się kryją, z kim spotykają. Być może przemieszczają się w stronę dworca Retiro albo południowego deptaka, gdzie widziałeś żebraków mówiących podobnymi językami, a może czekają na noc w jakimś wagonie towarowym stojącym przy Constitución. Straciłbyś za wiele czasu na ich poszukiwania. Wątpliwe, żeby Momir rozmawiał o tobie z ludźmi swojego pokroju, bo nie powiedziałeś mu, jak się nazywasz, ani nawet nie wyjawiałeś mu swojego planu. Upewniłeś się tylko, że nie zawiedzie w tym, co najważniejsze.

Noc mija powoli i wstałeś już trzy albo cztery razy, obawiając się, że Momir sobie poszedł. Ale para nędzarzy ciągle leży w swoich śmieciach, przytulając się do metalowej zasłony kryjącej pralnię. Tak jak przypuszczałeś, kobieta z naprzeciwka przyszła przed jedenastą. Po codziennym, ale krótszym niż zwykle rytuale, zgasiła światło. Nie pominęła jednak czytania e-maili ani zmysłowego nacierania nóg i piersi kremami łagodzącymi. Jesteś pewien, że zarezerwowała w sobotę czas na depilację, kosmetykę paznokci u rąk i nóg, przygotowania na spotkanie z kochankiem. Szkoda, że nie możesz zobaczyć jej, jak śpi, wejść w nią i żeglować po rzekach jej krwi. Gdybyś widział jej sny tak wyraźnie, jak twoja kamera widziała wszystkie zakamarki jej ciała, dowiedziałbyś się, dlaczego cię zdradziła, i być może podczas wymierzenia kary pogłaskałbyś ją po czole, nie z litości, bo to obrażałoby twoje uczucia, ale z miłości do samego siebie, Camargo, ze względu na całe to życie, które spędziłeś na jej kontemplacji.

8

Camargo żył jeszcze trzy lata po tej tragedii, która odmieniła jego życie. Szkoda, że nie mógł przeczytać tych dwóch natchnionych kolumn, jakie poświęcił mu Enzo Maestro. Był to tekst bez jednego zbędnego słowa, na pierwszej stronie po lewej, opatrzony tytułem, który na pewno by mu się spodobał: *Żałoba: „El Diario” oplakuje stratę swojego eksnaczelnego GM. Camargo*. Nawet kiedy już nie było to potrzebne, tekst dostosowywał się do życzeń zmarłego. Tylko raz, jakby mimochodem, ujawniał pełne imiona - Gregorio Magno Pontífice, pominięto niemal wszystkie osobiste szczegóły z jego biografii, od odejścia matki w dzieciństwie po rozwód z Brendą i późne pojednanie. Maestro wspaniałomyślnie przedstawiał ojca zmarłego jako "pioniera naszego radia" i podsumowywał w kilku celnych liniijkach ostatnie lata ostracyzmu wielkiego dziennikarza: "Krótco przed chorobą Camargo ruszył w podróż po świecie z taką pasją, jak gdyby znów był młodym dziennikarzem. Artykuły wysyłane z europejskich stolic, z Katmandu, świątyn w Angkor Wat i ruin Chichén Itzá stały się argentyńską klasyką. Wdowa, Brenda, zamierza zebrać je w jednym tomie, razem z tekstem, napisanym dla "El Diario" już po wycofaniu się z aktywności zawodowej, który reprodujemy poniżej dla naszych czytelników".

Numer z tego dnia ozdobiony był żałobną opaską, a na rozkładówce prezentował dwanaście zdjęć Camargo starannie wybranych przez Maestro. Dwa z nich zrobiono zmarłemu wśród geranium na korytarzu w domu na San Isidro, razem z żoną i bliźniaczkami. Wyglądał na szczęśliwego, pewnego siebie, jak dyrygent, który przekonał się, że wszystkie instrumenty są mu posłuszne. Na sześciu innych towarzyszył politykom, biznesmenom, laureatom literackiej Nagrody Nobla, choć

tak naprawdę wyglądało to tak, jakby to oni mu towarzyszyli i wpatrywali się weń z namaszczaniem. Maestro z przyjemnością zaprezentował zdjęcie Camargo u boku Cariosa Salinasa de Gortari, już pod koniec jego kadencji, na którym dziennikarz obserwował drobnego i łysego prezydenta, wysuwając pogardliwie dolną wargę. Na stronie dominowała fotografia na cztery kolumny przedstawiająca Camargo w redakcji "El Diario", otoczonego przez starszych redaktorów, przed jednym z popołudniowych

zebrań. Maestro opiekuńczo opierał rękę na oparciu fotelu szefa, drugą zatknął za połą kamizelki. Na pozostałych zmarły pozował na tle Wielkiego Muru, przed budynkiem Zakładu Ubezpieczeń Pracowniczych i Wypadkowych na ulicy Na Poroci w Pradze, gdzie Franz Kafka pracował od 1908 roku do 1922, oraz przed Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Sao Paulo, w towarzystwie swego przyjaciela, Antonia Mareosa Pimenta Neves, niedługo przed tym, jak ten również dał się ponieść przekłętej namiętności.

Na dole obydwu stron zaprezentowano jedyny artykuł napisany przez Camargo w pierwszej osobie. Był to także ostatni tekst w jego długiej karierze. Tego lata przypadkowo stał się świadkiem wydarzenia, którym karmiła się prasa brukowa całej Ameryki Łacińskiej, i chociaż już jakiś czas temu poczuł się zmuszony do ustąpienia ze stanowiska naczelnego "El Diario", uznał za swój obowiązek wysłać własną relację. Lojalny nawet wtedy, gdy nie było to już potrzebne, Enzo Maestro ^ następcą - zamieścił tekst w najlepszym miejscu, chociaż nie uszło jego uwadze, że wiek i nieszczerść odbiły się na tekście tego jak dotąd modelowego stylisty.

NAOCZNY ŚWIADEK ZDAJE RELACJĘ Z TRAGEDII W VIÑA DEL MAR

Coraz więcej ludzi przyjeżdża latem do Vina del Mar. Już w sierpniu nie można znaleźć wolnego domu do wynajęcia niedaleko plaży, a od grudnia do marca hotele wypełnione są po brzegi. Mojej żonie Brendzie udało się jednak wynająć za kilka dolarów żółtą posiadłość wznoszącą się w północnej części kurortu, której to posiadłości nikt nie chciał ze względu na plotki, jakoby pojawiały się tam zjawy straszące lokatorów. W 1976 roku pewien generał chilijskiej armii przyłapał swoją młodą żonę na lubieżnym uczynku i pomścił swój honor, zabijając z pistoletu kochanków oraz zatruwając troje swoich dzieci arszenikiem, po czym strzelił sobie prosto w serce.

Jedna z bardziej rozpowszechnionych w Vina del Mar legend głosi, że codziennie o dziesiątej wieczorem - mniej więcej o tej godzinie doszło do tragedii - dusze zmarłych zaczynają lamentować. Przez wszystkie tygodnie, które tam spędziłem, słyszałem tylko huk morskich fal.

Zachody słońca w tym chilijskim kurorcie, cieszące się zasłużoną sławą, są szczególnie efektowne w małej zatoczce, znajdującej się tuż przy owym żółtym domu. Ludzie z Santiago i Valparaíso przyjeżdżają tu w weekendy, by podziwiać ów cud natury, który my z Brendą mogliśmy obserwować z naszego balkonu. Nie pamiętam już, dlaczego owego 23 lutego 2003 roku postanowiliśmy zejść na brzeg morza, okupowanego przez tłumy gapiów. Nasza córka Diana wyjechała do Buenos Aires, oboje czuliśmy się samotni i smutni, i choć żadne z nas tego nie powiedziało, łaknęliśmy towarzystwa. Powietrze na plaży było ciepłe i czyste. Turyści z chustkami na głowach i piknikowymi koszami porozkładali się wśród skał, nieruchomi jak jaszczurki. Tylko wrzask mew kłócił się z tym absolutnym spokojem. Około wpół do siódmej, kiedy słońce zaczynało zniżać się ku horyzontowi, przeleciał nad nami samolot, z tak nieprawdopodobną szybkością, że ryk jego silników dobiegł nas, gdy samolot zniknął już z pola widzenia. Po chwili wrócił i wyglądał, jakby płynął. Leciał jakieś trzysta albo czterysta metrów nad powierzchnią morza i przecinał słoneczną kulę idealnie poziomymi liniami. To był Cessna Citation z czterema miejscami pasażerskimi, ale potem okazało się, że na pokładzie znajdował się tylko oszalały pilot.

Słońce zachodziło coraz niżej za linią morza, a samolot leciał coraz bliżej wody. W końcu wydawało się, że silniki ryczące pod wzniesionym ogonem przypominającym płetwę wieloryba, na samym końcu cielska samolotu zaraz zaczną muskać powierzchnię morza. Brenda złapała mnie za rękę, jej twarz zalała się łzami.

- Przecież nic się nie dzieje - powiedziałem. - Facet chce tylko zwrócić na siebie uwagę.
- Nie rozumiesz - odpowiedziała. - On chce się zabić.

Brenda zawsze miała dobrą intuicję. Słońce już prawie całkiem schowało się w morzu i kilka kobiet, które wstały ze swoich legowisk na skalistym brzegu, krzyknęło donośnie.

- Co on robi? Leci do góry jak rakietą!

Wszystko wydarzyło się tak nagle, że nikt nawet nie zdążył mrugnąć. Samolot uniósł swój delfini dziób w stronę bezchmurnego nieba, niemal pod kątem prostym, i kiedy już wydawało się, że odlatuje, zaczął pikować prosto w morze. Musiał wyłączyć silniki, bo nikt nie słyszał żadnego hałasu przed potężną eksplozją, która wstrząsnęła zatoką, tylko świst przecinający rozświetloną blaskiem gasnącego słońca ciszę. Wbił się w wodę, zobaczyliśmy jasny błysk i nagle zapadła noc.

Brenda puściła moją dłoń i podbiegła nad wodę, jak gdyby mogła jakoś pomóc. W pamięci utkwiła mi nie tyle cessa zatapiająca się w wodzie jak myśliwy polujący na niewidoczne ryby, tylko jakieś nieważne szczegóły: pokryte żyłakami nogi klęczącej kobiety, blask neonowego światła z baru daleko, na plaży, sygnał bezużytecznej karetki pogotowia, butelka po piwie unosząca się w przybrzeżnej wodzie oraz Brenda, stojąca pośród fal, w przemoczonym ubraniu, wyciągająca rękę w stronę konającego słońca.

Wszystkie dzienniki pokazywały zdjęcia z akcji ratunkowej. Z łagodnego morza, w świetle księżyca, nurkowie wydobyli wszystkie szczątki samolotu jeszcze przed północą. Dużo trudniej poszło ze zwłokami pilota: znaleziono je w poniedziałek o świcie unoszące się na powierzchni wody, trzydzieści kilometrów od brzegu, bez niczego, co pozwalałoby je zidentyfikować.

Tyle że wiadomo było, iż zmarły to były prezydent Republiki Argentyńskiej. Jego druga żona, Chilijka, która na początku lat dziewięćdziesiątych zasłynęła jako piosenkarka i aktorka w telenowelach, kilka tygodni wcześniej postanowiła od niego odejść i ukryła się w wiktoriańskiej willi także stojącej nad zatoką, tuż obok wynajmowanego przez nas domu. Nie wiedzieliśmy, kto tam mieszka. Wprawdzie nie mamy w zwyczaju interesować się naszymi sąsiadami, ale brak jakiegokolwiek aktywności zwrócił naszą uwagę: nigdy nie widzieliśmy, żeby wjeżdżał tam jakiś samochód albo żeby wyjeżdżał, ani nie słyszeliśmy żadnych hałasów.

Według karabinierów z Vina del Mar, eksprezydent nie zostawił żadnych listów wyjaśniających powody samobójstwa. Sądził być może, że tak dramatyczny czyn rozumie się sam przez się albo że odejście żony nie wymaga komentarza.

Dzień po uroczystościach pogrzebowych, w których udział wzięli prezydenci Argentyny, Chile i Wenezueli, byłem świadkiem odczytania testamentu, złożonego w filii Banku Santander. Ceremonia w zamierzeniu miała być całkowicie prywatna i musiałem uruchomić wszystkie moje znajomości, żeby nas wpuszczono. Ostrożność i tak okazała się nieskuteczna, bo reporterzy telewizyjni z piętnastu krajów sforsowali słaby kordon bezpieczeństwa i wdarli się do Sali Ambadorskiej hotelu, w której zebrali się prawnicy, trzej sekretarze, pierwsza żona zmarłego z jego jedynym synem i jego dziewięcioma braćmi oraz niewielka grupka świadków. Ponieważ prezydent samobójca nie rozwiódł się z gwiazdą telenowel, zakładano, że zażąda ona co najmniej połowy majątku. Osobiście jednak nie przyszła. Reprezentował ją jej ojciec, blady, szczupły mężczyzna palący łapczywie papierosa za papierosem.

Sekretarze odmówili odczytania testamentu, dopóki w Sali Ambadorskiej nie zostanie zaprowadzony porządek, ale wysłannicy stacji telewizyjnych uparli się, żeby atmosfera wokół eksprezydenta po jego śmierci była tak niepoważna jak za życia. Teść palacz chciał już iść, w związku z czym przełożony sekretarzy, ze względu na pośpiech, otworzył zalakowaną kopertę zawierającą dokument. Padł na nas cień samobójcy, ale zamiast wzbudzać w nas strach, przygotował nas na objawienie szczytów perfidii. I w rzeczy samej: niestosownie monotonnym głosem sekretarz oznajmił, że majątek eksprezydenta wynosi trzysta osiemdziesiąt dziewięć milionów sześćset dwadzieścia siedem tysięcy dolarów w nieruchomościach, depozytach bankowych w Europie i na Karaibach, akcjach, bonach na okaziciela i firmach na cudze nazwisko, zamiast skromnych dwóch milionów ośmiuset tysięcy dolarów, które zadeklarował, opuszczając stanowisko. "Wiedziałam, wiedziałam - usłyszałam słowa pierwszej żony. - Umarł tak, jak żył, oszukując wszystkich".

Skandal był tym większy, że nie dość, iż kwota okazała się tak znaczna, to jeszcze większość dóbr pozostawała w rękach osób trzecich, zarejestrowanych w tajnych kodycy-lach, a w każdym wypadku wyznaczono innego wykonawcę testamentu. Zmarły przyzna-wał, że jego faktyczny majątek jest olbrzymi, ale legalni spadkobiercy nie mogli się o niego ubiegać, bo pozostawał w obcych rękach, poza ich zasięgiem. Synowi zapisał półtora mi-liona, tyle samo drugiej żonie. Resztę rozdzielił na datki dla klubów piłkarskich, fundusz na rzecz budowy toru wyścigowego Formuły Jeden, zakup kanału telewizji kablowej poświę- conego sportowi, który będzie nosił jego imię, oraz specjalną kwotę na wykucie w najwyż- szej górze w rodzimej prowincji jego wizerunku na podobieństwo portretów Waszyngtona i Jeffersona na górze Rushmore. Tak jak samobójstwo, owe pośmiertne rozporządzenia były jak środkowy palec pokazany całemu światu.

Borges napisał - albo powiedział - że najważniejszym dziełem człowieka jest obraz, jaki po sobie zostawia w pamięci innych. Zmarły jednak nie zadowolił się pozostawieniem swo- jego obrazu. Chciał odcisnąć go w naszych umysłach, wytatuować. Nie przejmował się specjalnie pamięcią, jaką zachowa o nim potomność; on tej pamięci po prostu nie ufał.

G. M. Camargo, "El Diario de Buenos Aires"

28 lutego 2003

Reina dotarła na dworzec autobusowy niewiele po dwunastej w południe. Zapach oleju i smażo- nego mięsa spowijał wszystkie ulice. Na werandach i wąskich uliczkach oddzielających zakłady ju- bilerskie prowadzone przez starych Żydów od koreańskich sklepików z fałszywkami markowej odzieży rozłożyło się mnóstwo żebraków. Trzy- albo czteroletnia dziewczynka, zniekształcona przez strupy i blizny, wymknęła się spod opieki matki i uczepliła spódnicy Reiny, prosząc o monetę. Spomiędzy stołów i koców rozłożonych na chodniku przez Peruwiańczyków oferujących zarówno zioła, jak i telefony komórkowe z przemytu wybiegła cała gromada proszących dzieci. Przestraszo- na odorem moczu i kału oraz myślą o świerzbie i wszach Reina chwyciła monety w garść, rozsypa- ła je przed żebrakami i uciekła. Zawsze była ostrożna. Co chwilę myła ręce. Rany na czymś ciele wzbudzały jej lęk i nie była w stanie zrozumieć, jak taka Evita Peron mogła całować syfilityków i trędowatych, by okazać, że cierpi razem ze swoim ludem. Reina nie była nawet w stanie znieść wi- doku ofiary nosacizny, które zdarzały się w stadninach.

Na rogu przy La Perla del Once mieli jeszcze egzemplarze "El Diario". Na pierwszej stronie wid- niał artykuł o wydarzeniach w czasie nieszporów, zajmował dwie górne kolumny po prawej stronie. Redaktor wydania uwydatnił jej podpis, umieszczając obok zdjęcie, na którym wyglądała młodziej, prawie jak nastolatka, i odsłaniała dziąsła w zrezygnowanym uśmiechu. Tylko Camargo, dzwoniąc z Azotea de Terranza, mógł wydać polecenie, żeby uwypuklono jej nazwisko i tą magiczną sztucz- ką przemieniono ją w chwilową gwiazdę dziennikarstwa. Ale ta niespodziewana sława nie jest wy- nikiem tego, co między nimi zaszło, powtarza sobie Reina. Zawdzięczam to sobie, własnej zręczno- ści, z jaką zdemaskowałam matactwa pokutującego prezydenta. Nie żałowała zbliżenia z Camargo, w żadnym razie. Ona także odkryła przyjemności, z których istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy, ale teraz wydawało się jej, że te uczucia gasną zawsze tej samej nocy, kiedy się rozpalają, i że najlepiej będzie traktować naczelnego "El Diario", jakby go widziała pierwszy raz w życiu. Nig- dy o nic nie będzie prosić, niczego oczekiwać. Po pierwszym wspaniałym artykule przyjdą następ- ne, tego była pewna, bo ambicja pozwoli jej dotrzeć wszędzie, ona jest przecież jak wiatr, który może śmigać po każdym niebie, i to nieprowadzony ręką Camargo, tylko ciągnięty przez anioły jej intelektu, jak we śnie świętego Jakuba.

Stojąc przed La Perla de Once, czuła, że ludzie gapią się na nią i rozpoznają dzięki fotografii z pierwszej strony "El Diario". Naszła ją ochota, żeby jeszcze raz przeczytać relację z klasztoru, popi- jając cappuccino przy jednym z błyszczących stolików w La Perla, gdzie osiemdziesiąt lat temu Borges pobierał lekcje idealizmu u Macedonia Fernández, dla którego pod pozorami rzeczywisto- ści nie kryła się żadna namacalna materia ani żadne ja, które obserwuje tę rzeczywistość. Tam też spotykali się członkowie Montoneros* na początku lat siedemdziesiątych, wyzywając szwadrony śmierci, i redagowali swoje podziemne pisma, a niektórzy muzycy rockowi wymyślali tu, patrząc w okno, teksty piosenek przeciw dyktaturze. Dziś nie ma już po tym śladu, myśli Reina, patrząc na

* Montoneros - zbrojna organizacja argentyńska, łącząca skrajny peronizm z elementami latynoamerykańskiej myśli marksistowskiej. Członkowie tego ugrupowania, założonego w 1970 roku, byli masowo mordowani i "znikani" podczas dyktatury wojskowej (od 1976) (przyp. tłum.).

fornirowe blaty zaśmiecone resztkami rogalików i strzępami podartych gazet. Widać tam było tylko kilku nierobów z podkrążonymi oczami, którzy ustawiali się w bezsensowne kolejki przed nielicznymi biurami szukającymi personelu, albo ojcowie rodzin rozglądający się za jakąś robotą, żeby mieć na obiad, za czymkolwiek, od załatwiania spraw celnych po szukanie w pasmanteriach nietypowych guzików. Najwięcej jednak było żebraków. Przeciskali się między krzesłami jak koty w poszukiwaniu jakiegoś porzuconego kawałka chleba i starając się unikać gniewnych kelnerów. Słynna Perla del Once też zmieniła się w stolicę

nieszczęścia - capitule de la douleur, jak by powiedział Paul Éluard - w rozsypujący się kraj. Stoliki, przy których Xul Solar* wymyślił bardzo praktyczną wersję hiszpańskiego, którego jednak nie dało się wymówić ani przeczytać, stały się teraz świadkami życia nędzarzy. Nawet nie były to te same stoły: szlachetne drewno zostało zastąpione przez plastik i aluminium. Chwiały się na boki, chociaż podtykano im pod nogi podpórki. Cappuccino, które dostała Reina, okazało się zimne, a na stronach gazety siadały uporczywie muchy, jakby chciały poczytać. Przy trzecim akapicie swojego artykułu zdecydowała się wyjść, rzuciwszy okiem na bełkotliwy tekst Insiarte, zesłany na siódmą stronę.

Pora już była, żeby pojawić się w redakcji, ale miała ochotę działać ze spokojem. Wyłączyła domowy telefon - na sekretarkę nagrały się tylko dwie wiadomości, od matki, która pytała Reine, gdzie się podziała - rozebrała się, zrobiła kilka skłonów przed lustrem w sypialni i wzięła gorącą kąpiel, zanurzając się w wannie, do której napuściła tak ciepłą wodę, jak tylko była w stanie wytrzymać. Wyszła lekko senna, owijając się dwoma ręcznikami, rzuciła się na łóżko i zasnęła.

Kiedy się obudziła, było po siódmej. Czerwcową ciemność zawisła nad wilgotnym miastem, a wątle światła ulicy Humberto Primo bladły spowite mgłą. Ubrała się pośpiesznie i czekając na takśówkę, umalowała sobie usta i poprawiła włosy, zmierzwiłone i rozczochrane podczas snu. Rzadko kiedy czuła się tak napuchnięta, tak brzydka. Nie miała wątpliwości, że kiedy przyjdzie do redakcji, szef kadr, Sicardi, wezwie ją do siebie i upomni, zawstydzi przy wszystkich dziennikarzach, jak to miał w zwyczaju. Z ulgą stwierdziła, że nie widzi go na korytarzu. Natomiast na swoim biurku znalazła kartkę, na której Sicardi napisał, że podczas popołudniowej narady redaktorzy postanowili awansować ją na szefa nieistniejącego dotąd działu spraw specjalnych i że jej pensja zostanie podwojona ze skutkiem wstecznym od pierwszego czerwca. Żeby odebrać instrukcje związane ze swoimi nowymi obowiązkami, ma się stawić jak najszybciej w biurze doktora Camargo.

Reina bardzo rzadko odczuwała strach. Jej życie zawsze rozgrywało się w terażniejszości, w której zdarzały się tylko rzeczy znane, a teraz bała się myśli o następnej minucie. Nie chciała znowu spotykać się z Camargo, nie wiedziała, co zrobić i co mu powiedzieć. Kolejny raz, tak jak minionej nocy, nie wiedziała, co począć ze swoimi emocjami, ale tym razem już nie przez pożądanie czy ciekawość nieprzewidywalnego ciała, tylko dlatego, że nie wiedziała, co zrobić z wysoką pozycją, tak nagle uzyskaną. Była ambitna, oczywiście, ale miała inne wyobrażenie o swojej przyszłości. Chciała pisać wiersze, czasem jakiś dłuższy esej historyczny o czasach Jezusa, opowiadania, w których działałoby się tak mało, jak u Isaaka Babla, i wszystko byłoby zwyczajne jak u Raymonda Carvera: żeby za to ją zapamiętano, a nie za sensacje rozniecane przez gazetę i następnego dnia gaszone przez inne sensacje. Sprawy specjalne. O co może chodzić Camargo? Westchnęła i wykreśliła numer wewnętrzny do gabinetu naczelnego.

Szef przez całe popołudnie myślał o niej: to pierwsze, co jej powiedział. Nakazał, żeby podano jej kawę, wyłączył telewizory transmitujące proces wytoczony przez funkcjonariusza Urzędu Celnego byłemu ministrowi, który oskarżył go o korupcję, i popatrzył na nią zdziwiony, jakby rozpoznał w niej kogoś, kogo znał wcześniej i stracił, albo swoje zmarnowane życie. Całe popołudnie myślałem o tobie, powtórzył. - Ja nie myślałam o niczym. Spałam.

- Redaktorzy cię awansowali, Remis. Powiedzieli: przecież chodziła nam po głowie od jakiegoś czasu idea stworzenia nowego działu. Może zaproponujemy to tej dziewczynie?

- Wspaniale. Czyli nie będę już pisać o kulturze?

- Będziesz pisać, o czym chcesz. Teraz musisz zająć się tą sprawą przemytu broni. Wysłannik rządu sprzedawał nielegalnie broń do Bośni, Chorwacji albo Serbii, któregoś z tych krajów. Być może przekazali broń raketową do Iraku.

* Xul Solar (właśc. Oscar Agustín Alejandro Schultz Solari, 1888-1963) - argentyński malarz, współtwórca surrealizmu, inspirujący się awangardami europejskimi. Jeden z najoryginalniejszych artystów plastyków Ameryki Łacińskiej (przyp. tłum.).

- Sama nie dam sobie rady z czymś takim. Potrzebuję pomocy. Nie znam się na tym.

- Ja też nie. Nikt się nie zna. Wszyscy się uczymy. Dlaczego tak wcześniej wyjechałaś z Los Tol-dos?

- Skończyłam relację. Nie miałam tam już nic do roboty. A jeśli pan mówi o sprawach bardziej osobistych, to nie wyjechałam. Nie wyjeżdżam z miejsc, do których jeszcze nie dotarłam.

- Niektórych zdań nie można zostawiać bez odpowiedzi. Sama to powiedziałaś, pamiętasz? Cza-sem między dwoma ciałami też zdarzają się rzeczy, których nie można zostawić ot tak.

Reina odstawiała filiżankę z kawą na spodek, zanim zdążyła się napić. Przerwała, jakby szukając w sobie powietrza, którego brakowało jej na zewnątrz.

- Nie chcę stracić tej pracy - powiedziała zrezygnowanym tonem. - A jeśli wplatom się w histo-rię, z której nie wiem, jak wyjść, stracę ją. Żałuję, że to się zaczęło. Nie chcę iść dalej.

- Żałujesz.

- Żałuję tego, co teraz, nie przeszłości.

Camargo przechylił fotel do tyłu i oparł dłonie na karku. Robiąc ten gest, zwykle wykladał nogi na stół, ale tym razem się powstrzymał.

- W życiu wszystko pojawia się i znika, Reina. Zawsze, kiedy przytrafia ci się coś dobrego, mo-żesz spodziewać się nieszczęścia. I odwrotnie: nie ma nieszczęścia, oprócz śmierci, którego nie za-mazałoby jakieś radosne wydarzenie. Tego ranka zbudziłem się z nadzieją, że cię zobaczę. Zniknę-łaś. Mimo to radośnie wdychałem kurz z pustkowi, wypilem kawę, obejrzałem pasiekę. Kiedy do-jeżdżałem do Buenos Aires, moja żona zadzwoniła do mnie na komórkę z Traverse City w Michi-gan, tam gdzie są jeziora. Mam dwie córki, bliźniaczki, wiesz? Mają trzynaście lat. Ich babcia mieszka niedaleko stamtąd, nad jeziorem Torch, i poprosiła, żeby przyjechały, bo miała zawał i bała się, że umrze. Wbrew wszelkim prognozom przeżyła. Ale u jednej z moich córek, Angeli, odkryto białaczkę. Już od jakiegoś czasu skarżyła się na ból w kościach i zmęczenie. Wczoraj rano, powie-działa mi Brenda - moja żona nazywa się Brenda - Angela bawiła się z ptakami, które moja teścio-wa trzyma na podwórku. Dwa drozdy przeleciały koło niej, musnęły skrzydłami jej ramię i natych-miast wyszły jej wielkie sińce, ogromne. Zawieźli ją do szpitala w Traverse City i zrobili jej analizę krwi i szpiku. Dziś rano patolog przekazał alarmującą informację: białaczka mieloblastyczna. Na-wet jeśli się uratuje, nawet jeśli dostanie, jak to mówią, odroczenie, biedna Angela będzie już za-wsze żyć z takim mieczem nad głową.

- Niech pan do niej jedzie. Na co pan czeka?

- Teraz nie mogę, Reina. Przecież wiesz, w jakim stanie jest kraj. Wyjazd teraz byłby szczytem nieodpowiedzialności. I możliwe, że się pomylili z tą analizą. Że pomyli jej wyniki z wynikami ja-kiegoś innego pacjenta. Czasami to się zdarza.

Naprawdę Camargo wierzył w to, co mówił? Reina znów nie wiedziała, co myśleć. Nie wiedzia-ła, czy go pocieszać, wziąć za rękę i powiedzieć: "Niech pan jedzie. Niech pan robi to, co pan powi-nien", czy rzucić mu prosto w oczy, że jest nieczuły, że idiotycznie neguje rzeczywistość. Własna córka, pomyślała. Ileż to powieści przeczytała, w których śmierć dziecka jest najdramatyczniejszym z przeżyć. A Camargo opowiada jej o sytuacji politycznej. Być może zdawał sobie sprawę ze stanu rzeczy i nie chciał cierpieć, biedak. Być może wołał uciekać od samego siebie, żeby nie cierpieć.

- Oby miał pan rację - powiedziała. - Oby to była pomyłka.

Pomyślała, że tak naprawdę Camargo musi być w fatalnym stanie, bo widziała, że jego twarz zmarszczyła się jak śliwka. Mizerniał w oczach, dopiero gest ręki przywrócił mu normalny wygląd. Czyściec, pomyślała Reina. Zostałam wybrana *per lui campare* i nie mam innego wyjścia. Serce się jej skurczyło. Angela, Ángela, gdybyś była moją bliźniaczką, ocalałabyś.

- Nie zostawiaj mnie samego, Reina.

Głos wydobywał się z jego wnętrza, z głębin, z których istnienia nie zdawała sobie sprawy ani ich nie przeczuwała. Czasami nachodziła ją ochota, żeby położyć sobie jego głowę na kolanach i pogłaskać.

- Nie - powiedziała. - Nie zostawię cię.

Nekrolog napisany przez Enza Maestro dla "El Diario" nie wspominał o Reinie Remis ani o trzech latach, które ona i Camargo przeżyli, niemal się nie rozłączając i podróżując z jednego końca świata na drugi. Reina przez cały ten czas pozostawała w centrum jego życia i w sumie to dość dziwne, że ludzie patrzą na historię ich miłości, jak gdyby nie dotyczyła żadnych konkretnych lu-

dzi, a jej bohaterowie odsunęli się na bok, zostawiając samą historię. Teraz wiadomo, że drobiazgowo śledztwo Remis w sprawie przemytu broni spelzło na niczym, mimo dowodów uzyskanych przez nią i Camargo w bankach w Zurychu i państwowych archiwach na Bałkanach. Następny rząd groził prezydentowi pokutnikowi więzieniem, ale z łatwością wyszedł z tego bez szwanku. Wszyscy, którzy mogli go osądzić, zawdzięczali właśnie jemu swoje

stanowiska i bardzo chcieli się zrewanżować. Natychmiast odkryli uchybienia w trybie postępowania sądowego i pod tym pretekstem zablokowali proces. Nowemu rządowi też było na rękę, żeby prezydent pozostał na wolności, bo to dzieliło opozycję. Wygrała bezkarność. Parlament dalej aprobował ustawy rujnujące kraj, aż w końcu została już tylko pusta nazwa: takie samo bezużyteczne pustkowie, jak cztery wieki temu.

Nie ma nic straszniejszego dla miłosnej historii niż pewność, że któregoś dnia się skończy. Reinę gnębiła świadomość nieuniknionego końca, gdy jeszcze nawet nie była pewna, czy to faktycznie będzie historia miłosna. Pożądanie, ambicja, przyjaźń, koleżeństwo: to było coś innego. Gdyby chodziło tylko o jedno z tych uczuć, nie bałaby się straty Camargo. Ale to było coś więcej i jednocześnie mniej: uczucie, dla którego brakowało nazwy i miary. Miała wrażenie, że bez Camargo jej życie pograży się w ciemnościach: że jej ciało gdzieś przepadło i ostał się tylko jego cień. To, co się zaczęło, będzie musiało się skończyć, i jak ona wtedy, kiedy nadejdzie kres, odzyska ciało? In my beginning is my end, mówiła. Now the light falls, a ja wciąż jestem tam albo tu, na początku mojego końca, z zanikającym ciałem.

Teraz dwa albo trzy razy w tygodniu nocowała w San Isidro, obok korytarza z geranium. Camargo nie zadał sobie trudu, żeby pochować wszechobecne zdjęcia i ubrania żony, toteż Reina musiała stawać twarzą w twarz z przeszłością, w której bliźniaczki grały na wiolonczelach, a żona, w wyjściowych kreacjach, pozdrawiała ją z fotografii oprawionych w srebrne ramki. Chociaż Brenda miała tam już nigdy nie zamieszkać, jej bielizna i letnie sukienki wciąż leżały poukładane w szafkach, a obok sypialni wciąż mieścił się nietknięty gabinecik, gdzie chowała się, żeby poczytać czy napisać list, otoczona pejzazami z jeziorem Torch i zdjęciami matki wśród chmury ptaków.

Reina czuła się szczęśliwa tylko wtedy, kiedy razem podróżowali. W hotelach nic do nikogo nie należało i w tej chropowatej, nieuchwytniej rzeczywistości jej istnienie nie było mniej ważne od innych istnień. Raz, w Waszyngtonie, gdzie spędzili trzy tygodnie, żeby opisać nieszczęsną namiętność Moniki Lewinsky do Billa Clintona, ona zaczęła nalegać, żeby pojechał do Chicago na jeden dzień, tylko jeden, żeby zobaczyć się z Angelą, która przeszła przez pierwszy cykl chemioterapii. W tym czasie ich związek był już sprawą publiczną, a Brenda złoży-

ła pozew rozwodowy, nie z powodu zdrady - jak powiedziała przez telefon - tylko dlatego, że jest niezłym ojcem, który miesiącami nie odwiedza swoich córek. Camargo odmówił. Angela czuje się lepiej, powiedział, i moja obecność może ją niebezpiecznie podekscytować. Natomiast naprawdę umiera jej babcia, a ja nie mam siły, żeby znosić sceny bóleści w wykonaniu Brendy, nie zniosę tego, żeby się mnie przyczepiła i wyplakiwała mi się w ramię. Reina obawiała się, żeby bliźniaczki nie obwiniały jej kiedyś o nieobecność swojego ojca, i powtarzała Camargo, żeby pomyślał o Angeli, o jej rozpaczliwym błaganu o miłość, wyrażanym podczas rozmów telefonicznych. Byli sami w pokoju hotelowym nieopodal Georgetown, już ubrani na kolację u naczelnego "Washington Post", gdy nagle Camargo uległ jednej z tych swoich nagłych zmian humoru, do których Reina nie potrafiła się przyzwyczaić. Podczas gdy ona kończyła nakładać sobie makijaż, on usiadł na sofie obok łóżka i zaczął bełkotać pod nosem jakieś bezsensowne zdania. Reinie wydawało się, że rozważa warianty lotu do Chicago, bo w monologu pojawiały się godziny, linie lotnicze, połączenia kolejowe i nieznanne jej nazwy hoteli. Nie zwracała na to żadnej uwagi. Zupełnie ją zaskoczył, kiedy wstał, czerwony z wściekłości, i odezwał się do niej, niemal krzyżąc:

- Więc to prawda? Chcesz zostać sama w Waszyngtonie, żeby umówić się ze swoim chłoptasiem, tak? Od kiedy mnie oszukujesz, dziwko jedna?!

Był tak rozwścieczony, tak nie panował nad sobą, że Reina przygotowała się na cios w twarz.

- Nie - powiedziała. - Myślałam tylko, że Ángela potrzebuje...

- Mam dość twoich kłamstw. Wystarczy, że się obrócę, i już mnie okłamujesz. Śmiejesz się ze mnie za moimi plecami, myślisz, że nie wiem? Ja jestem informowany o wszystkim.

- Camargo, Camargo, skąd ty bierzesz takie pomysły?

Miała ochotę zedrzeć z siebie ubranie i rzucić się z płaczem na łóżko. Albo wyjść i pozwolić, żeby noc rozpadła się na kawałki. Ale musiała spojrzeć mu w twarz i powstrzymać jego gniew albo

przynajmniej przekonać się, czy ten gniew rzeczywiście wypływa z człowieka, którego jeszcze chwilę temu kochała, choć "kochać" to może nie jest właściwe słowo.

- Jest jakiś inny, prawda? Mów, nie bój się. Wybaczam wszystko oprócz kłamstwa.

Sprawiał wrażenie, jakby trochę się uspokoił, ale ona widziała kipiącą w nim ciemną lawę, gniew wyciekał mu przez pory w skórze. Nie mam innego życia niż życie z nim, pomyślała Reina, ale jeśli tak mu to powiem, jeszcze bardziej go rozwścieczę. Ktoś inny, tutaj - powtarzała łkając - tutaj? A kogo ja tu mogę mieć, skoro przecież praktycznie nie mówię po angielsku? I tak było w rzeczywistości. Na obiadach z redaktorami "Foreign Affairs" albo asystentami prokuratora Kennetha W. Starra milczała z taką elegancją, że nikt nie zdawał sobie sprawy, że ona nie rozumie ani słowa z toczącego się dialogu. Tylko raz popełniła błąd, kiedy matka Moniki Lewinsky zapytała ją, czy to sprawiedliwe, żeby jakaś przelotna historyjka łóżkowa, jakich miliony zdarzają się codziennie, skazała jej córkę na życie w nieszczęściu i izolacji. Reina z promiennym uśmiechem odpowiedziała *Thank you* i miała szczęście, bo wszyscy zinterpretowali to jako słowa pocieszenia. Już miała przypomnieć Camargo swoją nieznajomość angielskiego, gdy przyszedł jej do głowy lepszy argument:

- Co to za pomysł, że byłabym w stanie myśleć o kimkolwiek innym? Żaden znany mi facet do pięt ci nie sięga.

Camargo rozjaśniła się twarz, ale nie odpowiedział słowem. Znow nałożył płaszcz rzucony przed chwilą na łóżko i powiedział: - Kończ się ubierać, bo się spóźnimy.

W samochodzie wiozącym ich do luksusowego domu w Bethesda, na północy stolicy, Reina dowiedziała się, że jej ukochany kontroluje nawet zapach jej odchodów. Nie zrób żadnego błędu, bo ja wiem o wszystkim, co robisz, oznajmił jej. Wiem, z kim rozmawiasz przez telefon, znam każde słowo z listów, które piszesz, mogę wyrecytować listę książek przeczytanych przez ciebie przez ostatnie dwa miesiące oraz zapiski, jakie zrobiłaś na marginesach, jakie masz wyniki analizy krwi i mammografii, jakie moje tajemnice wygadałaś w redakcji. Jest trzech skurwysynów, którzy wysyłają ci e-maile z aluzjami seksualnymi, a ty nie dałaś im wyraźnie do zrozumienia, żeby przestań. Jeden z nich siedzi w Waszyngtonie, co? - strzelił. Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Dlaczego muszę się dowiadywać o twoich tajnych sprawkach od osób trzecich?

- W Waszyngtonie? Pierwsze słyszę - odważyła się odezwać. - Skoro wiesz o wszystkim, możesz jechać do Chicago. Stamtąd też możesz śledzić moje ruchy.

- Nie. Jeśli się puścisz, nie będę miał innego wyjścia i rozwalę ci łeb. Mężczyzna taki jak ja musi drzeć przed kaprykami takiej siksy jak ty. Niesamowite, co?

- Mówiłam ci, że nie chcę zaczynać tej historii, żebyśmy się nie ranili. Nikogo nie ma w moim życiu, Camargo, nikogo. I lepiej by się stało, gdyby ciebie też nie było.

Podczas kolacji Reina starała się o niczym nie myśleć, ale mroczny niepokój trawił ją od środka. Przemierzyła u boku Camargo pół świata, od galerii Uffizi we Florencji, gdzie pocałowali się przed Narodzinami Wenus Botticellego, odrestaurowanymi tak jaskrawymi żółciami i zieleniami, że za bardzo rzucało się to w oczy, jak na dzieło mające już ponad pięćset lat, aż po muzyczne świątynie w Kioto, gdzie stanęli w odległości stu metrów od siebie i słuchali jak nawet najdelikatniejsze stąpanie odbija się echem w każdym rogu. Przez te długie miesiące była niemal szczęśliwa. Być może zdołałaby go pokochać - przynajmniej tak, jak ona rozumiała miłość, której zaznała tylko raz, jako młoda dziewczyna rozdzwiczona przez muzyka rockowego, którego musiała oddać potężniejszej rywalce: kokainie - gdyby Camargo nie torturował jej zmiennymi humorami, które zbijały ją z tropu, atakami obłąkańczej namiętności, a potem tygodniami nieopanowanej obojętności, bo nawet w chwilach największego zaangażowania i bliskości on niczego jej nie obiecywał, a ona o nic nie prosiła: praktycznie nie rozmawiali o przyszłości. Jutro oznaczało dla nich dosłownie dzień jutrzejszy. A jednak Reina przyzwyczaiła się do jego towarzystwa, do jego specyficznej seksualności; lubiła jego sentencjonalny sposób mówienia i staroświeckie maniery. Teraz, w Waszyngtonie, wydawał się jej obcy. Nie miała pojęcia, jakiej ukrytej rany w jego uczuciach musiała niechcący dotknąć. Kolacja okazała się dla niej tak nieznośna, że przy pożegnaniu pomyliła się w jedynym zdaniu, jakie znała po angielsku: *Vice to meet you, Bob*. Camargo, zawsze nerwowo reagujący na takie wpadki, tym razem okazał wyrozumiałość. Kiedy wracali do hotelu, otoczył ją ręką i powiedział:

- Chciałbym, żebyśmy w Buenos Aires razem poszli do mojego ojca, Reino. Skończył już pięćdziesiąt lat i nie sądzę, żeby wiele życia mu zostało.

Ale kiedy para zacznie się rozpadać, nie ma sposobu, żeby to zatrzymać, nawet jeśli wykrusza się tylko jedna osoba. Po tamtej nieszczęsnej nocnej rozmowie rano przyszła fatalna wiadomość. Ange-

la zadzwoniła do ojca na komórkę i poinformowała go, że babcia zmarła w najgorszy możliwy sposób. Dwa tygodnie temu - opowiadała - lekarz pozwolił jej wyjść ze szpitala i przenieść się do domu nad jeziorem Torch. Żeby nie czuła się samotna, Brenda postanowiła spędzić tam z córkami kilka dni. Wczoraj wieczorem wydali dla sąsiadów pantagrueliczne przyjęcie, na którym wszyscy napchali się pstrągami i innymi rybami, kurczakiem w czosnku i winem z doliny Napa. Położyli się dopiero o północy i to tak zmęczeni, że zostawili otwarte drzwi od ptaszarni i zapomnieli nakryć klatki drozdów. Babcia, która miała sen lekki jak u noworodka, wstała przed świtem i odkryła masę zakrwawionych piór i ptaków bez głów leżących między szczątkami jedzenia. Ángela powiedziała, że dopiero dużo później myśliwi znad jeziora zrekonstruowali przebieg wypadków. Nocą, jak stwierdzili, dom i ptaszarnia zostały nawiedzone przez drapieżniki: prawdopodobnie stado dzikich kotów, które kryją się po lasach, albo te niebezpieczne łasice, zwane w Stanach Zjednoczonych opossum i robiące wiele szkód po ogrodach. Strach musiał sparaliżować ptakom gardła i rzeź odbyła się w zupełnej ciszy. Nikt nie wiedział, co zaszło, do chwili, kiedy babcia pojawiła się jak widmo w pokoju bliźniaczek i runęła na łóżko Ángeli ścięta dwoma nagłymi zawałami serca.

Camargo powtórzył tę historię, sucho i z dystansem, dławiąc szloch rodzący mu się w gardle. Potem zapatrzył się w okno, na bezgłośny ruch na ulicy M, obawiając się, że Reina może się odezwać, przez co wyzwoli w nim wszystkie wypłakane w życiu łzy. Nie rozmawiali przez ponad godzinę, a jasne słońce wędrowało po porannym niebie, aż w końcu on odwrócił się i swoim zwykłym, spokojnym głosem powiedział:

- Nie ma sensu tkwić tu choćby dzień dłużej. Wszystko mi jedno, czy ukrzyżują Clintona, czy go ocalą. Duszę się w tym mieście bez duszy.

Ona odpowiedziała tak, jak on sobie życzył:

- Ja też jestem zmęczona tym podróżowaniem.

Ostatnie słowa, którymi chciała naprawić wszystko to, co popsulo się poprzedniej nocy, w rzeczywistości wszystko zepsuły.

- Nie martw się już, kochany - powiedziała. - Nie chcę patrzeć, jak cierpisz.

Camargo odporny był na wszelkie ataki, bo wiedział, jak na nie odpowiadać, i tolerował niechęć, obojętność i gniew innych ludzi, tak jak się tego nauczył w dzieciństwie. Ale na myśl, że może budzić litość, gotowała mu się krew.

- Cierpię? Jak możesz być tak głupia i sądzić, że cierpię z powodu śmierci tej staruchy? Nie, Reina. Martwi mnie tylko ból Angeli. Martwi mnie to, że może się jej pogorszyć i będę musiał pędzić do jej łóżka.

Ona podeszła do niego, żeby go objąć i powiedzieć: "Ale ja myślałam, myślałam..." Ledwie zdążyła zauważyć rozpalone gniewem oczy Camargo i przeczuć, co się teraz stanie i na co nie ma rady. Uderzył ją z siłą byka, a kiedy doszła do siebie, na podłodze, z jej warg ciekła krew.

Przez resztę pobytu w Waszyngtonie nie odezwali się do siebie, a w samolocie wiozącym ich z powrotem wymienili tylko kilka niezbędnych słów. Reina myślała, że ich związek wróci do normalności, kiedy wpadną w zwyczajną rutynę w Buenos Aires, ale nic już nie było jak wcześniej. Camargo nie poprosił jej o wybaczenie i zachowywał się tak, jakby to ona zrobiła coś złego. Mimo to w pracy traktował ją z niemal sztuczną uprzejmością. Nigdy nie zaczynał redakcyjnych zebrań, dopóki ona nie przyszła, i wszystkie jej uwagi zapisywał w notesie, choć nigdy z nich nie korzystał.

Wyzначzył Reinie dwóch pomocników do śledztwa w sprawie zabójstwa pewnego właściciela ziemskiego i jego żony, dokonanego w trakcie powodzi spowodowanej przez wylewy rzeki Salado. Winę zdawało się ponosić troje członków rodziny Guthrie, byli to rudowłosi handlarze o indiańskich twarzach, pochodzący od szkockich osadników. Oskarżono ich o ukrzyżowanie swoich przełożonych na belkach zwieszonych z dachu stodoły. Reina odnalazła w pobliżu ciała sfatygowany egzemplarz Ewangelii świętego Mateusza i w swoim artykule porównała tę zbrodnię do innej, popełnionej przez rodzinę o podobnym nazwisku - Gutre - w 1928 roku. Ten pierwszy przypadek z lekkimi zmianami został opisany przez Jorge Luisa Borgesa i włączony do jednego z jego zbiorów opowiadań *Raport Brodiego*. Reina dokopała się do szczegółów tamtej zbrodni, w której ofiarą ukrzyżowania padły także dwie osoby - student medycyny i jego kuzyn - i stwierdziła z żalem, że Borges zubożył przebieg wypadków, kładąc nacisk na podobieństwo do ofiary z Golgoty. Musiał ulec wpływowi dwóch raportów dziennikarskich z epoki, które akcentowały wątek Jezusa i dobrego łotra, podobnie zresztą jak prasa pod koniec 1999 roku. Reina, bardziej przenikliwa, ustaliła jednak,

że zarówno Guthrie, jak i Gutre byli niepiśmienni i znali szkocką tradycję ludową, według której Chrystus zmarł na krzyżu w Jerozolimie w tym samym czasie, co jego brat bliźniak Szymon zamęczony na krzyżu w Damaszku.

Relacja zwiększyła sprzedaż "El Diario" i rozpętała niekończące się polemiki między czytelnikami. Sicardi znowu wezwał Reinę, żeby ją powiadomić, że podwajają jej pensję: firma chciała w ten sposób zniechęcić stacje radiowe i telewizyjne do kuszenia jej hojnymi ofertami. Upłynęły zaledwie dwa lata od incydentu w Los Toldos, a Reina stała się jedną z dziesięciu najlepiej opłacanych osób w redakcji. "El Diario" (albo Camargo, na jedno wychodzi) przydzielił jej grupę podwładnych, w której skład wchodził zrezygnowany Insiarte i inni reporterzy niecierpliwie czekający na okazję do szybkiego wybicia się - tak jak ich szefowa. Reina polubiła wydawanie rozkazów. Nigdy sobie nie wyobrażała, że może to być tak przyjemne, i doskonaliła tę umiejętność, stając się coraz bardziej nieugiętą i wymagającą przełożoną. Przejęła od Camargo zwyczaj wykładania nóg na biurko i odchylania się na fotelu do tyłu oraz zakładania rąk za szyję. Niektórzy myśleli, że to taka parodia, ale Reina robiła to bez zastanawiania się, sądząc, że taka niedbała poza sugeruje władzę, tak jak w wieku piętnastu lat zaczęła palić, żeby czuć się dorosłą.

Minęła zima i początek wiosny, a ona ani razu nie wróciła do domu na San Isidro. Nie tęskniła za nim, tak samo jak nie tęskniła za nieszczęśliwym życiem dzielonym z Camargo, ale jednocześnie niepokoiła ją samotność dwóch pokoi na ulicy Humberto Primo, w których gromadziła ubrania, książki, komputery i sprzęt muzyczny i potykała się o to wszystko co chwilę. W końcu postanowiła wynająć większe mieszkanie, w jakiejś mniej awangardowej i oddalonej dzielnicy niż San Telmo. Oglądała ciemne rudery o oknach wychodzących na szyby wentylacyjne i kuchnie pokryte warstwą stuletniego brudu, za które żądano wygórowanych kaucji, bo lokatorzy często nie płacili przez cztery, sześć miesięcy, a potem nie dawali się wyrzucić z mieszkania.

Któregoś dnia przyszło jej do głowy, że może lepiej będzie coś kupić. Buenos Aires roilo się od balkonów z napisami "na sprzedaż", pożyczki pod hipotekę były łatwe do uzyskania przez osoby o stałych dochodach, i jeśli nie znalazłaby odpowiadającego jej nowego mieszkania, zawsze mogła jakieś przebudować, dorobić więcej okien czy wyburzyć ściany. Żeby mszyć z formalnościami, potrzebowała dokumentów z "El Diario" i kiedy poprosiła o nie Sicardiego, zdała sobie sprawę, że było to fatalne posunięcie: Camargo od razu się o tym dowiędzie. Od miesięcy się do niego nie zbliżała. Teraz zacznie ją wypytywać. To, co dla innych oznaczałoby zwykłe życiowe sprawy, dla niej mogło zmienić się w piekło.

Nie myliła się. Po wieczornej naradzie redakcyjnej naczelny poprosił, żeby została w jego gabinecie chwilę dłużej. Powtórzył punkt po punkcie ten sam rytuał, z jakim przyjął ją po powrocie z Azotea de Carranza: nakazał, żeby nikt im nie przeszkadzał, zaproponował kawę i zgasił telewizory, na których właśnie było widać starego George'a Busha wysiadającego z prywatnego samolotu na wojskowym lotnisku w stolicy, oraz prezydenta pokutnika, który w trakcie swoich ostatnich dni u władzy witał gościa, machając mu kijem golfowym.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć, Reina - powiedział.

- Dlaczego? Nie masz nikogo innego do bicia?

Chciała być cyniczna i brutalna, tyle że jego nie dało się skrzywdzić. Tym razem też ciągle miał minę zaskoczonego chłopca.

- Ech, Reina, ależ ty jesteś mściwa. Wtedy w Waszyngtonie... Musimy rozmawiać o tamtym dniu? Straciłem rozum, przestałem być sobą. Mogę znieść wszystko, ale nie okazywanie mi litości.

- To nie była litość, Camargo. Chciałam cię tylko przytulić.

- Wiem. Gdybyś знаła moje życie, wiedziałabyś, dlaczego mam odruch obronny.

- Trzeba mi było o tym opowiedzieć, a nie bić.

Coś muszę zrobić z całym tym gniewem, pomyślał Camargo. Gdzieś, kiedyś go schować. Ona nie da się okiełznać, a ma już trzydzieści dwa lata.

- Byłaś sama przez te miesiące, prawda? Po uszy w pracy.

- Wiesz o tym lepiej niż ja. Chyba nie przestałeś mnie śledzić?

- Stajesz się wielką dziennikarką, Reina.

- Domyślam się, że nie kazałeś mi zostać po zebraniu tylko po to, żeby mi to powiedzieć. Sicardi już o tym wspominał, dziękuję. Robię, co mogę. To wszystko, co mam, i być może wszystko, czym jestem.

- Wezwałem cię, żeby ci powiedzieć, że zamierzam przyjąć do pracy Enza Maestro. Tobie pierwszej to mówię.

- Maestro? Tego sukinsyna, tego pajaca na usługach skorumpowanego rządu? Zamierzasz go przyjąć po tym wszystkim, co nam zrobił?

- To rząd jest skorumpowany, nie on. Ma tę wadę, że jest lojalny i to do końca. Lizał prezydentowi buty. Teraz będzie lizał moje.

- Zakładam, że wiesz, co robisz. Jedyne, czego oczekuję, to żeby się trzymał ode mnie z daleka.

- Będzie koordynował pracę wszystkich działów, Reino. To porządny facet. Masz brzydki zwyczaj osądzania ludzi z góry.

- Jak uważasz. Będę musiała się zastanowić, gdzie się podzieję, kiedy ta gazeta też zacznie się korumpować. Czy to wszystko?

- Nie - odpowiedział.

Nerwowym ruchem włączył telewizory, które pokazywały rozgrywki golfowe między prezydentem pokutnikiem a starym Bushem, po czym od razu je wyłączył. - Nie - powtórzył. - Więc czego jeszcze chcesz?

- Obiecałaś mi kiedyś, że pójdziesz ze mną do mojego ojca. Muszę go jutro odwiedzić. Nie chcę iść sam.

- Twój ojciec. Teraz będziesz mną manipulował, używając synowskich uczuć? - W głosie Reiny czuło się nieustępliwość. - A twoja córka? Odwiedziłaś ją w końcu?

- Ma się lepiej, Reino. Wygląda na to, że choroba ustąpiła czy się wycofała, czy jak to się tam mówi. Widziałem ją w zeszłym miesiącu, kiedy byłem przelotem w Chicago. Chciałbym, żeby obie, Ángela i Diana, przyjechały i zamieszkały ze mną. Nie chcą albo nie mogą. Chodzą tam do szkoły. Są szczęśliwe w świecie, który nie jest mój.

- Brenda musi być dobrą matką.

- Być może. Jest już orzeczenie rozwodowe, mówił ci Sicardi? Brenda wzięła wszystkie moje pieniądze, jakie miałem w Stanach, bony na okaziciela, lokaty. Zostawiła mi tylko dom na San Isidro. Po co mi takie duże mieszkanie?

- Możesz się przeprowadzić. Ja właśnie planuję przeprowadzkę.

- Wiem. Sicardi mówi mi o wszystkim.

- Następny szpicel. Masz ich tylu wokół siebie, że w końcu cię połkną. Sępy.

- Nie miał złych zamiarów. Zrobił tak, bo wie, że jestem w stanie załatwić ci nowe mieszkanie za połowę ceny, jaką zapłaciłabyś za mniejsze i używane.

- Tak, ale wtedy byłabym ci dłużna przysługę. A nie chcę.

- To gazeta ma u ciebie dług. Gazeta by się tym zajęła.

- Gazeta czy ty: wszystko jedno. Nie, dziękuję.

- Przemysł to, Reina. Nikt niczego nie będzie w zamian oczekiwał.

Mocno się postarzał, pomyślała. Nieszczęście i samotność, a może burze miotające się w jego wnętrzu, przed którymi nie umie się bronić, to wszystko dodaje mu lat. Ale ja nie mogę niczego zrobić, nikt nie może. Już od tak dawna sam siebie krzywdzi, że nie umie przestać. Nieszczęście nigdy go nie zostawi, nigdy nie ma dosyć.

- No to o której godzinie idziesz do ojca? - ustąpiła Reina.

- Mogę o dziewiątej albo o dziesiątej. On nie śpi od świtu. Wpaść po ciebie?

- Nie. Powiedz mi, gdzie to jest. Sama trafię.

Był to potężny i brudny budynek, za którym kiedyś mieścił się plac targowy. Ulicę zaciały gęste i zarazem rachityczne drzewa: okazy zachowujące jeszcze pamięć o swojej dawnej sile, ale będące już na progu upadku i końca. Wszystko w okolicy tak wyglądało: domy otoczone starymi płotami i podwórka z murami porośniętymi bluszczem, kobiety sprzątające chodnik i bary cuchnące sfermentowanym piwem, w których kiedyś śpiewano tanga, ale potem wszystko popadło w ruinę i skończyło się. Na niebie wisiało rozżarzone, białe słońce, a mimo to ulicę spowijał cień, jak gdyby słońce ją zlekceważyło.

Zobaczyła go zza rogu, czekającego przy wejściu. Ubrany był w jasny garnitur i fioletowy krawat, być może elegancki, ale to miejsce go przygaszało. Z daleka także emanował siłą i władzą, chociaż wskazującym palcem prawej ręki pocierał ciągle brew w zamyślonym geście i wydawało się, że przebywa gdzieś daleko stąd, może tam, gdzie ona, zbyt lekko ubrana i w sandałach: prawie naga.

- Chodźmy na górę - powiedział Camargo. - To na ósmym piętrze.

Miał przy sobie klucze do drzwi oraz ciężki pęk innych kluczy.

- Mieszka sam? - zapytała Reina.

- Ależ skąd! Ma ponad dziewięćdziesiąt lat, nie mówiłem ci? Opiekuje się nim pielęgniarka. Kąpie go, sprząta, karmi. Sicardi regularnie tu bywa, żeby sprawdzić, czy niczego mu nie brak.

- A dlaczego nie ty tu przychodzisz? Przecież to twój ojciec.

- Sicardi czy ja - wszystko jedno. Czasami mnie rozpoznaje, czasami nie.

Pielęgniarka była potężna, prawie tak wielka jak drzwi, i wcale nie ukrywała, że jest tam nie-szczęśliwa, w tym cichym więzieniu. Stojący przed starcem telewizor był włączony, ale on go nie widział. Ręce miał zajęte przesypaniem piasku albo żwiru do drewnianego pudełka, którym czasami potrząsał, wydając dźwięk przypominający mu być może burzę, ale tak naprawdę brzmiący właśnie jak chrzęst piachu. Od czasu do czasu unosił brwi i patrzył w lustro wiszące na ścianie po lewej stronie. Uśmiechał się do swojego odbicia, może nawet je pozdrawiał, a potem znowu przesy-pywał piasek czy żwir do innego pudełka. Reina pomyślała, że Camargo źle obliczył wiek ojca: musiał mieć ze sto lat. Jego ciało tak się skurczyło, że kiedy pielęgniarka gładziła go po głowie, wy-cierała go jakby miała gumkę w ręku. Był to przyjemny, niegroźny staruszek i opieka nad nim ogra-niczała się zapewne do karmienia go i utrzymywania w czystości. Nie trzeba było nawet przejmować się jego śmiercią, bo ta być może nigdy nie nastąpi. Nagle spojrzenie ojca spotkało się ze spoj-rzeniem Reiny. Kiedy tylko jego oczy, małe i okrągłe, spoczęły na niej, już nie spojrzał na nic inne-go: były przymglone kataraktą, a ich powieki ciążyły ku dołowi, ale starzec nie korzystał z nich, lecz z jakiegoś innego zmysłu, któremu oczy służyły tylko za pośredników. W świetle swojej pa-mięci dostrzegał delikatne i małe usta Reiny, jej zadarty i zaokrąglony na czubku nos, wydatną i wyzywającą brodę. Wydawało się, że rozpoznaje te grube kostki i drobne piersi, które falowały pod lekką, bawełnianą sukienką jak meduza. Nawet w tak niesamowitym wieku czuł, że Reina promie-niuje kocią wolnością i obojętnością, dzięki której pozostawała poza zasięgiem wszystkich.

Starzec odłożył na bok drewniane pudełka i odezwał się głosem, który wydawał się nie wycho-dzić z tego drobnego ciała, tylko z czasów, kiedy ciało to było jeszcze młode.

- Po co tu przyszedłeś, suko? - powiedział. - Wyśmiewać się ze mnie?

- Nie, proszę pana, proszę tak nie mówić - odpowiedziała. - Przyszedłam z pana synem z wizytą.

- Mój syn nie mógł cię tu sprowadzić. Od dawna nie chce o tobie słyszeć. Widzisz, ciągle tylko kłamiesz, ciągle zmyślasz!

W głosie starca nie było śladu argumentów czy logiki: tylko nieubłagana nienawiść, mocna jak woń zepsutego piwa w okolicznych barach. Camargo kucnął przed nim i chwycił go za ręce.

- To ja, tato, ja tu z nią przyszedłem.

Stary energicznie wyszarpnął dłonie i zmierzył go wzrokiem z góry na dół. Kipiał gniewem, po-gardą. Któż może wiedzieć, jak długo chował w sobie te uczucia.

- A ty to niby kto jesteś, co? Pewnie takie samo gówno jak ona.

- Tato, tato - powtarzał Camargo.

Nikt by nie powiedział, że stary ma jeszcze tyle sił, ale w tej chwili wydawało się, że może wstać i znokautować zawodnika wagi ciężkiej na ringu. Miotał nim potężny i ślepy wiatr: wiatr niszczący milczenie, rozpacz i odrzucenie z wszystkich tych straconych lat. Nie zwracał już uwagi na Camar-go. Całe jego istnienie skupiło się na Reinie.

- Przyszedłeś mnie upokarzać w moim własnym domu - powiedział. - Czekając, aż zniedołężnieję i postarzeję się, co? Czekając tak długo, żeby sprowadzić tu swojego kochanka?

- Pan się myli, proszę pana. To pomyłka - mówiła Reina.

- Ja? Jak mogę się mylić, skoro całe życie czekałem na tę chwilę?

Oddychał z trudem, z jego piersi dobywało się ciche poświstywanie. Pielęgniarka przygotowała zastrzyk uspokajający i dała znać gestem, żeby przestali. Lepiej zostawić starego w spokoju.

- Idziemy już, tato - powiedział Camargo. - Cieszę się, że masz się dobrze. Cieszę się, że o ciebie dbają.

- Suka, suka - powtarzał starzec. - A czemu tym razem nie założyłaś sobie rękawiczek, co? Już się nie brzydzisz mnie dotykać?

- Nie mam żadnych rękawiczek, proszę pana. Niech pan spojrzysz. Nie przychodzę ze szpitala - starała się mu wytłumaczyć Reina, a Camargo wziął ją pod ramię i zaciągnął w stronę windy.

To było tak, jakby wody zapomnienia cofnęły się z plaży, którą zakrywały od lat, i gładka, jasna przeszłość odsłoniła się przed Camargo: niepamięć, na którą skazały go zdjęcia spalone przez ojca i zakazane imię tamtej, co odeszła, wszystko to teraz powracało, jak wracają cierpienia, o których chcielibyśmy zapomnieć. Zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie lata szukał niewłaściwie, tropiąc matkę, której wygląd miał odpowiadać jego wspomnieniom, nieuchwytny kształt, który, jak wierzył, rozpozna, nie wiedząc, że - co teraz uzmysłowił mu ojciec - tracił czas na poszukiwanie tego, co już znalazł.

- Jesteś błądy - powiedziała Reina, już na ulicy.
- Wszystko w porządku - odparł.
- Jak to: w porządku? Nie może być w porządku po tym wszystkim, co właśnie się stało.
- Zawsze tak jest. Czasami mnie poznaje, a czasami nie; mówiłem ci.
- Moim zdaniem on, owszem, był zagubiony, ale umysł miał trzeźwy. Pomylił mnie z kimś innym, to wszystko. Nie widział ciebie, ale widział coś, co było prawdziwe.
- Ty nie byłaś prawdziwa. Nie byłaś kimś innym.
- Dla twojego ojca - tak, w tamtej chwili tak.
- W tamtej chwili? Nie, nieprawda. Nie odróżnia człowieka od mikrofonu.
- Oczywiście, że odróżnia. Nie jesteśmy dla innych tym, kim jesteśmy, tylko tym, co chcę zobaczyć.
- Diabli wiedzą, o kim mówił - stwierdził Camargo. - Nie wiem, kto go mógł tak zranić.
- Wiesz, wiesz - naciskała Reina. - Tylko nie chcesz o tym pamiętać.
- Nieważne. Może i nie chcę pamiętać.

Reina nie powinna była czuć w tej chwili czułości, ale czułość nie jest rezultatem podejmowanej decyzji, tylko falą miotającą się we wnętrzu człowieka, niereagującą na rozkazy. Kilka miesięcy później zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, ale w tej chwili myślała tylko o nim i o jego smutnej przeszłości: przeszłości, której wtedy nie знаła i której Camargo nigdy jej nie wyjawiał. Być może właśnie dlatego zgodziła się spędzić tę noc w domu z geranium, na San Isidro, zapominając, że kiedy tylko on upewni się co do jej miłości, znów zacznie ją lekceważyć. W wypadku Reiny nie można było mówić o miłości, bo to ewidentnie nie była miłość: to, co ona czuła, to raczej przywiązanie, a także, gdzieś w głębi, strach przed jego gniewem. Wejście na terytorium Camargo oznaczało ciągłą inwigilację, osaczenie i bycie wydanym na pastwę jego zmiennych humorów. Ale kiedy raz dostała się pod jego wpływ, nie wiedziała, jak się wyrwać: on był jak magnes o ogromnym zasięgu albo jak nigdy nieogojąca się rana.

Znów spędzała w San Isidro dwie albo trzy noce w tygodniu. Lubiła wstawać o świcie i spacerować po trawniku przed domem aż do altanki, z której widać było pierwsze żaglowce na rzece i gęstą mgłę rozpluwającą się nad nurtem. Reina miała wtedy wrażenie, że jej dawna osobowość ulatniała się, i nie wiedziała, czy ten nowy ktoś, kto w nią wstępował, może kiedykolwiek czuć się szczęśliwy u boku Camargo ciężącego jak cień. Jej wcześniejsze życie było szare i to też takie było, tyle że inaczej: wcześniej biegła i biegła, ale niczego nie mogła osiągnąć, a teraz osiągała wszystko, ale nie mogła biec. Miała wrażenie, że potężna, żelazna obręcz zaciska się na jej kostkach, a wiatr miota nią tam i z powrotem. W listopadzie znowu razem wyjechali, do Wenecji i Paryża. Robili tam sobie mnóstwo zdjęć, a w hotelach udawali ojca i córkę. Przyjście roku 2000 świętowali podczas rejsu wśród lodowców na południu Chile i z pokładu, objęci, podziwiali splendor sztucznych ognii nad zatoką Puerto Montt, sycąc się wcześniej widokiem transmitowanych w telewizji obrazów z oświetlonymi replikami balonów braci Montgolfier unoszącymi się nad wieżą Eiffla w Paryżu i ogniściami murami tworzącymi się w Berlinie po obu stronach Bramy Brandenburskiej. Tamtej nocy po raz pierwszy zaczęli mówić językiem, który tylko oni rozumieli. Reina zaczęła studiować gramatykę kanaaejską i na podstawie dźwięków dyktowanych jej przez jej pragnienie wymyślała całe zdania. Byli już pijani, a raczej wstawieni - jak mawiała Reina - i rozebrali się w kajucie, żeby nowy wiek skapał ich w świetle radości i swobody, jakim emanuje wszystko, co się zaczyna. Ona pogłaskała go po nogach i powiedziała nagle: "Mana pussa astiy". "Mana pussa?" - zapytał Camargo. "Co to jest pussa?" Ona skłamała: "Chcę dotknąć twojego zwierzątka. Pussa to zwierzątko". To aramejskie wyrażenie jest bardziej tkliwe, oznacza "to moje dziecko", ale wstyd jej było przyznać, że to zwierzątko wydaje się jej tak małe i ciągle wymagające opieki. "No to wybringuj mi pulsydrę", podjął grę, całując ją. Ona odsunęła go: "To się nie Uczy. To po gliglińsku, w tym koszmarnym języku

wymyślonym przez Cortázara. Jeśli będziemy mówić po naszymu, to niech to będzie w moim języku, ze składnią i z głoskami: prawdziwy ludzki język". "Skoro tak, to ja cię fukuję, *Queenie*, znornicuję ci szparówkę". "Tak już lepiej, urdunie mój".

Czasami w redakcji porozumiewali się tym kodem, żeby sekretarki i redaktorzy nie rozumieli, o czym rozmawiają. "Flinujemy do Zatoku?" - zapytał ją Camargo na początku stycznia, zapraszając ją do Waszyngtonu, gdzie jakiś informator miał im wyjawić tajną strategię Funduszu Walutowego wobec Argentyny, żeby odzyskać katastroficzny dług. "Wredy?" - zapytała ona. "Camargo", opowiedział, bo to słowo oznaczało też jutro.

Zatrzymali się w tym samym hotelu na ulicy M, który przywoływał fatalne wspomnienia. Reina spodziewała się kolejnej katastrofy, kiedy usłyszała, że dostaną identyczny pokój na tym samym piętrze, ale Camargo, ledwie tylko recepcjonistka zostawiła ich samych, usiadł na krześle i powiedział, że chociaż nie ma dwudziestu lat mniej, tak jak by sobie życzył, czas najwyższy, żeby ona oswoiła się z myślą, że prędzej czy później będą musieli się pobrać. Przez całą podróż traktował ją tak delikatnie, że wydawało się to nieprawdą. Zaprowadził ją na podwójny seans starych filmów w kinie przy Pensylvannia Avenue, kupił jej szmaragdowy naszyjnik u jubilera na Georgetown, któremu Grace Kelly zleciła wykonanie swojego ślubnego diademu, obiecał jej wieczne szczęście przed kaskadami w National Gallery i nie chciał dać akceptacji dwóm tytułom na pierwszą stronę, póki ona nie wypowiedziała swojego zdania. Reine tak wzruszała ta chęć poprawy, że nie odważyła się powiedzieć: "Powinieneś do nich pojechać jeszcze dziś", kiedy Brenda znów zadzwoniła i powiedziała, że Ángela dostała wewnętrznego krwotoku w trakcie czwartego cyklu chemioterapii. Dzieliły ich od Chicago jakieś dwie godziny i tego ranka przynajmniej cztery samoloty odlatywały ze stolicy w tamtym kierunku. "Nie mogę, Brenda - usłyszała jego słowa. - Nie rozumiesz, że nie mogę?" Odłożywszy słuchawkę, obrócił się do Reiny i poprosił z niewinną miną, żeby ciepło się ubrała, bo spędzą popołudnie w ogrodzie zoologicznym.

Ona nie miała czasu na nic więcej prócz pracy dla gazety i Camargo. Nie tylko straciła tych swoich kilka przyjaciółek - żadna nie mogła znieść jego złego humoru oraz dziwnego przekonania, że świat ciągle jest mu coś winien; tempo, w jakim żyła, sprawiło, że zatraciła gdzieś samą siebie. Pod koniec lata odkryła, że nabrała identycznych zwyczajów jak Camargo: brakowało tylko, żeby zaczęła przechadzać się po redakcji o dziesiątej rano, rozsiewając woń wody kolońskiej. Narzekała na swoich asystentów, a kiedy tylko Insiarte odwracał się od niej plecami, naśladowała jego kulejący chód.

To były spokojne tygodnie w Buenos Aires i Reina się nudziła. Prezydent pokutnik oddał władzę po nieudanych staraniach o reelekcję, a jego następca był człowiekiem przewidywalnym, który poruszał się po labiryntach władzy bez kompasu, a dziennikarze odgadywali jego odpowiedzi, jeszcze zanim zadali pytanie. Ekipa od spraw specjalnych odniosła kilka sukcesów, odkrywając na przykład, że poprzedni minister środowiska przemycał nutrie do japońskich zakładów futrzarskich, a jego ojciec sprzedawał tereny w Patagonii pod wysypiska radioaktywnych odpadów.

Żeby uwolnić się od marazmu, wybrała się sama do Madrytu w poszukiwaniu informacji o upadku jednej firmy lotniczej. Camargo pojawił się niespodziewanie którejś nocy, kiedy już spała, w hotelu Pałace i następnego dnia zaprowadził ją do sal Dalego w muzeum Reina Sofia, a potem spacerowali po parku Retiro i kupił jej płaszcz w domach towarowych *El Corte Ingles*. Tej samej nocy zniknął równie potajemnie, jak się pojawił. Z samolotu lecącego do Londynu zadzwonił, przepraszając, że zostawił ją samą w porze kolacji.

Ni stąd, ni zowąd Reina zaczęła odczuwać silne bóle w skroniach za każdym razem, kiedy miała spędzić noc w domu z geranium. Myślała, że to pewnie pyłki albo woń zgnilizny dolatująca z rzeki, ewentualnie siarkowe opary ulatniające się z ptasich odchodów z ogrodu. Ani razu nie przyszło jej do głowy, że to może być znużenie tymi hipnotycznymi godzinami spędzonymi z Camargo w domu przed telewizorem i niechęć, którą tryskała przez wszystkie pory skóry, zawsze gdy szli do łóżka. Nie mogła powiedzieć, że mniej go kocha, bo jej uczucia nigdy nie miały kształtu ni miary; odważała się co najwyżej przyznać - tylko czasami, tylko samej sobie - że kiedy była daleko, nie tęskniła za nim, a kiedy miała go blisko, nie mogła się doczekać rozstania.

Pewnego wieczoru Enzo Maestro zapukał do szklanych drzwi oddzielających pokój redakcyjny od gabinetu Reiny. Ona studiowała zdjęcia wielkiego meczetu na Skale w Jerozolimie, opublikowane przez "National Geographic" i zatrzymała się nad dwiema prowokującymi inskrypcjami, zaczerpniętymi z Koranu, stanowiącymi wezwanie do walki przeciw chrześcijaństwu: "Pochwalony

niech będzie Bóg, który nie począł żadnego syna i nie ma sobie równego; Allah jest Bogiem, jest wieczny; nikt go nie począł i nie ma sobie równych".

Przez kilka tygodni Reina traktowała pojawienie się Enza w "El Diano" jako osobistą zniewagę. Nie mogła mu darować tych lat w służbie skorumpowanego polityka oraz policyjnego rygoru, jaki narzucił w klasztorze Los Toldos. Chociaż Camargo bronił go ze względu na lojalność, jej zdaniem współnik jest równie godny pogardy jak najmujący go przestępca. Musiała jednak przyznać, że od jego przyjścia oddychało się w "El Diario" świeższym powietrzem, taką - jak by to powiedzieć? - zdrową atmosferą. Na pierwszej stronie pojawiały się od czasu do czasu teksty na temat wiosek zalanych przez wodę albo kobiet rodzących na wysypiskach: Maestro był odważniejszy od Camargo i, ku jej zaskoczeniu, wrażliwszy na ludzkie nieszczęście.

- Znasz ten meczet, Reino? - zapytał.

- Nigdy nie byłam w Jerozolimie - powiedziała melancholijnie. - Choć zawsze chciałam.

- To pierwsza islamska budowla poza Arabią. Wojska Proroka zajęły Jeruzalem pięć lat po jego śmierci, ale meczet musiał poczekać pół wieku. Kalif Abd al-Malik nakazał, żeby budowla stanowiła wypowiedzenie wojny wobec chrześcijaństwa. Bóg nie spłodził żadnego syna, tak jest napisane na kopule. Też tak sądzisz?

- Jeśli jest jeden Bóg, to nie może mieć żadnego syna.

- No to może córkę, co?

- Na jedno wychodzi.

- A jednak historia pełna jest bożych synów.

- Pyszałkowie, fanatycy. Największym objawem pychy jest uważanie siebie za syna Boga.

- Gdzieś to czytałem.

- Na pewno w raporcie Wywiadu Państwowego, założę się. Przeszukali mi mieszkanie z góry na dół, ukradli mi dokumenty, gotówkę i majtki. Ja napisałam to zdanie. Pewnie je znalazłeś wśród innych moich rzeczy.

- Powinnaś napisać je jeszcze raz.

- Napisałam. Ale chyba nie przyszedłeś" w tej sprawie?

- Nie. Przyszedłem wydobyć cię z nicości. Jest lato, rząd zapadł w sen, kraj stał się pustynią. Słyszałaś o strefie neutralnej w Kolumbii?

- No przecież jestem dziennikarką. Słyszałam. Terytorium o powierzchni Szwajcarii rządzone przez partyzantów.

- Jeden z moich kolegów prowadzi tygodnik w Bogocie. Zaproponowano mu wywiad z dwoma dowódcami partyzantów, Tirofijo i Mono Jojoy, ale chcą, żeby było więcej dziennikarzy. Żądają jeszcze prasy z Wenezueli i Argentyny, diabli wiedzą dlaczego. Jeśli się zgodzisz, pošlemy Insiarte.

- Za wysokie progi jak na jego nogi. Wolę pojechać sama.

- Tak podejrzewałem. To niebezpieczne.

- Nie mam niczego do stracenia.

- Camargo się nie zgodzi - powiedział Maestro złośliwie.

- Poinformujesz go o moim wyjeździe? Czy mam to zrobić ja?

Reina wyleciała do Bogoty dwa dni później, a trzeciego dotarła do San Vicente del Caguán, zakurzonej wioski, w której zaczynały się szlaki w głąb terytoriów partyzanckich. Nigdy nie była w tak niegościnnym miejscu i nie sądziła, żeby coś podobnego istniało gdzieś na świecie. Gęste powietrze cuchnęło odchodami i krążyły w nim chmary grubych, niespokojnych much. Prażyło słońce rozżarzone do tego stopnia, że tylko cudem krew nie zaczynała wrzeć. Podczas pierwszej nocy w hotelu, w którym ona i jej towarzysze zatrzymali się zgodnie z wytycznymi partyzantów, tak bardzo się pocila, że musiała wstać o świcie i wykręcić przemoczone prześcieradła. Nie mogła już zasnąć, więc wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza na werandę. Germán, dziennikarz z Bogoty, siedział tam, kołysząc się na hamaku i paląc z takim spokojem, jakby spał. Ledwie tylko ją zobaczył, zaofiarował jej miejsce obok siebie. Reina bez wahania położyła się obok niego. Poczula do niego instynktowne zaufanie, nagłą pewność, że świat mógłby się ograniczać do jego kanciastego ciała, o za dużych kościach i oczach tak niebieskich, że można było patrzeć przez nie na wylot. O tej godzinie wioskę spowiła zgodna cisza, bo ostatni pijak padł już w ostatniej knajpie, i Germán nauczył ją rozpoznawać dźwięki z pobliskiej puszczy, w której małpy wyły jak wilki, a papugi śmiały się jak hieny. Tego popołudnia, kiedy czekali na przewodnika, który zabierze ich do obozu Tirofijo, tańczyli waiënatos śpiewane przez Dúo de Dos w lokalu nazywanym się Zatracenie, a później poszli się

napić piwa z cyrkowym karłem oferującym Reinie swoje złote zęby za noc miłości. Potem ona i Germán ruszyli w stronę hotelu główną ulicą, gdzie sprzedawcy kukurydzianych chlebów i tropikalnych owoców zwijali swoje stragany w towarzystwie psów, które gonili się i kopulowały, a potem nieruchomiały, wymęczone i bezradne, po akcie seksualnym. Kiedy doszli do rzeki Caguán, zdali sobie sprawę, że pomylili drogę, i ruszyli z powrotem, trzymając się za ręce z taką naturalnością, jakby się znali od wielu lat, chociaż Reina czuła, że Germán drżał za każdym razem, kiedy zmieniali chwyt i ich dłonie, wprawdzie spocone i brudne, ocierały się o siebie z taką seksualną intensywnością, jakiej nigdy nie zaznała.

Wyślanek partyzantów czekał na nich w hotelowym barze. Wyjaśnił im, że Tirofijo albo Mono Jojoy, a może obydwoj, nie dotrą na czas do obozu i lepiej będzie ruszyć za dnia, nie narażając się na nocne zasadzki. Poprowadzą ich z zawiązanymi oczami, ale po godzinie będą mogli zdjąć opaski, bo i tak nie zorientują się w labiryncie puszczy. Nie wolno im zabrać żadnych aparatów fotograficznych ani telefonów komórkowych, ani, oczywiście, niczego, co przypominałoby broń. Reina dostała zgodę na wyjazd pod warunkiem, że będzie dzwonić do Camargo dwa razy dziennie. Rozmawiała z nim ostatni raz i uprzedziła, że jej telefon zostanie wyłączony, nie wiadomo na jak długo.

- W taki razie nie chcę, żebyś tam szła - powiedział Camargo.

Głos miał jak zawsze spokojny, ale ona umiała wyczuć jego zmiany humoru nawet po bardzo krótkich zdaniach. Tym razem nie żartował: zabraniał jej robić cokolwiek dalej.

- Jeśli teraz się wycofam, wszystko szlag trafi - upierała się Reina. - Zażądali trzech dziennikarzy. Nie przyjmą dwóch.

- To był kiepski pomysł.

- Być może, ale stało się.

- Odplącasz mi złą wiadomością za miłą niespodziankę, jaką dla ciebie miałem.

- Niespodziankę? - zapytała obojętnie.

Tego dnia nie obchodziły jej żadne niespodzianki, nie była ciekawa. Wszystkie jej pragnienia zamykały się w tej okropnej wiosce. Była tam i za żadne skarby nie chciała wyjeżdżać.

- Tak - powiedział Camargo. - Sicardi załatwił ci mieszkanie z trzema pokojami, nowiutkie, i właśnie podpisał w twoim imieniu umowę kupna. Musisz zapłacić tylko piętnaście tysięcy dolarów, w ratach. Brzmi lepiej, niż się spodziewałaś, co?

- Przecież nawet nie widziałam tego mieszkania.

- Jest w nowym wieżowcu, na ulicy Reconquista. Możesz chadzać do redakcji pieszo.

- Mogłoby być trochę dalej - powiedziała, udając niewinność, żeby Camargo nie odkrył prawdziwego sensu jej słów. - Mogłoby być w innym świecie.

Skończyła rozmowę i wyszła na werandę. Zapatrzyła się w jasne, przejrzyste niebo i monotonne domy rozstawione wokół, z zatłuszczonymi ścianami i dachami z liści palmowych. Nieświadomie zaczęła płakać i to nie zasmucona tym, co widziała wokół siebie, tylko z powodu tej pustki ostatnich lat, w których nie było miłości ani piękna, tylko sama ambicja stania się kimś. W końcu dostała się na swój szczyt i znajdzie się tam sama, i będzie się rozglądać, myśląc, co zrobiła z moim życiem, co, do cholery, zrobiła z moim głównianym życiem?

Stojący na drugim krańcu werandy German zapalił papierosa i uśmiechnął się do niej z czymś na kształt współczucia i zrozumienia. Ona spojrzała na niego, jak gdyby tkwiła w jego wnętrzu i mogła usłyszeć, jak destylują się jego myśli. Słyszała go, jakby naprawdę tylko jego myśli wydawały w tej chwili jakiś dźwięk. Kiedy ją objął, pytając: "Wszystko w porządku?" - i pocałował ją w usta, żarliwie i zdecydowanie, nie protestowała. Wszystko było tak naturalne, tak łatwe, że przez chwilę zastanawiała się, czy to jej ciało, a nie jakiejś innej kobiety, bo pozwoliła, żeby to ciało odkleiło się od niej, i nie sądziła, że kiedy do niej wróci, będzie tak do końca do niej należeć. Kochali się na trzeszczącym łóżku i nie obchodziły ich stygnące opary nocy, natarczywość much, ani nic innego, co działo się na świecie. Przespali się godzinę i znowu ogarnęła ich paląca potrzeba penetrowania się i całowania, i mogliby tak bez końca, ale o szóstej rano przewodnik od partyzantów zawołał ich i powiedział, że Mono Jojoy i Tirofijo czekają na nich w głębi puszczy.

Wyczułeś zdradę, zanim jeszcze do niej doszło. Zauważyłeś, że po powrocie z terenów kontrolowanych przez kolumbijskich partyzantów ciało kobiety zrobiło się jakieś tak trudno uchwytnie. W

trakcie seksu miała wciąż otwarte oczy, czasami przebiegał ją dreszcz, w powietrzu, nad geranium, szukała pożądania, które nie nadchodziło. Jej krocze było suche i też wystraszone: chciała ci coś powiedzieć, ale brakowało jej słów. Czasami odsuwała się i prosiła o chwilę przerwy: jestem zmęczona, taka zmęczona. Kładłeś się na plecach na łóżku i patrzyłeś na arabeski półmroku, cienie jej nagości, migotanie gałęzi w ogrodzie. Także wtedy, gdy obserwowałaś ją przez teleskop Bushnell, z pokoju na ulicy Reconquista, który wynająłeś tylko dla niej, ulegając nigdy niezawodzącemu cię instynktowi nieufności, wyczuwałaś, że jest daleko nie tylko od ciebie, ale także od wszystkiego, co ją otaczało, tak jakby szukała ciała zostawionego gdzieś indziej, swojego ciała albo może należącego do kogoś innego, kogoś, w czyich rękach kobieta zostawiła samą siebie? Suka, niewdzięcznica. Suka, suka, twój ojciec się nie mylił: była taka sama jak matka, która was zostawiła, być może jej reinkarnacja, bliźniaczka powracająca na jego nieszczęście.

Po podróży do Kolumbii kobieta wyjeżdżała sama jeszcze dwa razy, do Santiago de Chile i Caracas, pod pretekstem kolejnego tajnego śledztwa w sprawie handlu bronią. Umówiliście się na spotkanie w Santiago: wylecisz w sobotę rano, lekceważąc coraz dramatyczniejsze telefony Diany ze szpitala: "Nie wiedzą już, jak jej obniżyć temperaturę, tato. Nie wyobrażasz sobie, jaka jest słaba i smutna. Dlaczego nie przyjeżdżasz, tatusiu? Biedna Angela, ledwie tylko się obudzi, pyta, czy przyjechałeś". Miałaś wrócić z Chile w niedzielę wieczorem, zostawiając wszystko tylko po to, żeby być z tą kobietą, ale w piątek w nocy, kiedy zadzwoniłaś, żeby jej przekazać, o której ma czekać na lotnisku, nie było jej już w hotelu, a jej telefon był wyłączony. Mimo to poleciałaś do Santiago, jak kretyn straciłaś ileś tam godzin, wpytując o nią po ministerstwach i koszarach wojskowych, ośmieszając się przed przyjaciółmi z "El Mercurio" i "La Tercera", byle tylko znaleźć jakiś ślad: wszystko na nic. Do jakich upokorzeń cię zmuszała! Kto by uwierzył, że taki ktoś jak ty, komu nikt nie odważyłby się kazać czekać przy telefonie, będzie się niepokoił milczeniem takiego robaka jak ona?

Kobieta wróciła do redakcji we wtorek w południe, emanując jakąś nieznaną ci jasnością, ukrytym słońcem zakazanego szczęścia: wówczas zacząłeś rozumieć, że kała ją jakiś intruz, że ona oddaje swoje ciało jakiemuś nieznanemu, być może młodszemu i na pewno toczonemu przez choroby weneryczne, wszy i inne paskudztwa. Chciałaś wiedzieć, co się dzieje. Ach, podejrzania i niepewność doprowadzały cię do szaleństwa, Camargo, jakież to pokłady wspomnień o twojej matce uruchomiła ta kobieta i teraz to wszystko osaczało cię, na nowo otwierały się rany porzucenia. Nie chciałaś, żeby ona wyczuła twoją nieufność. Zapytałaś jak gdyby nigdy nic:

- Wszystko w porządku, Queenie?

Odpowiedziała ci swobodnie:

- Wszystko gra, Bitte. Udzielili mi wywiadu w Temuco, a kiedy chciałam do ciebie zadzwonić z samolotu, żeby cię uprzedzić, rozładowała mi się komórka. Przez trzy dni byłam *cut off, confined*.

Od noworocznego poranka tak ją nazywałaś, *my Queenie*, moja królowa, w tym prywatnym języku, który stworzyliście dla siebie i w którym zlewało się wiele innych języków: jej aramejski, twój angielski i włoski, jej portugalski, twój czeski. Ona nazywała cię Bitte, tak grzeczne konotacje ma z niemieckiego, ale tak naprawdę chodziło o aluzję do angielskiego bitter.

Czyli wyładowała jej się komórka: alibi trudne do sprawdzenia. Pomyślałaś wtedy: mogę znaleźć jakiś trop. Jeśli zatrzymała się w Temuco, jej przyjazd musiał zostać odnotowany w hotelach, na lotniskach i w restauracjach. Sicardi rozwiąże te zagadki za pomocą kilku telefonów. Poprosisz go o to, ledwie tylko kobieta odejdzie, ale powstrzymuje cię to, co teraz mówi: coś znanego i jednocześnie odległego, dźwięki kłócące się ze swoim sensem:

- Miałbyś dla mnie chwilę dziś wieczorem, Bitte? Chciałabym pogadać.

- Może być o dziesiątej?

- Trochę wcześniej - proponuje ona. - O dziewiątej trzydzięci chciałabym się położyć.

Zapraszasz ją do baru, w którym już bywałaś z innymi przelotnymi kochankami, kiedy ogarniała cię klaustrofobia na myśl o grobowo ponurej Brendzie czekającej w łóżku na San Isidro. Tyle jest w tym lokalu głosów nakładających się na siebie, tylu yuppies szpanujących ze swoimi szklankami whisky w dłoni, że nawet ktoś tak zauważalny jak ty, może tu zniknąć w tłumie, o ile znajdzie jakieś wolne miejsce w zaułkach przy barze. Tworzą się tam małe przestrzenie izolowane od hałasu z zewnątrz, który dociera do nich tylko jako szum fal, niewyraźny pogłos wielu rozmów.

Czekasz już na nią od dziesięciu minut, kiedy w końcu pojawia się w drzwiach. Czarny, długi płaszcz, a pod nim komplet z szarego sztruksu. Od czasu wyprawy do kolumbijskiej puszczy zmie-

niła nieco niedbały styl kojarzący się z młodością, jak gdyby jej wiek płynął wolniej niż czas. Widzisz, jak przeciska się między tłumami w barze i zauważasz, jak bardzo dojrzała przez tych kilka dni, z jaką elegancją odgarnia swoje ciemne włosy.

- Bitte, jakiś ty dziś wyelegantowany - mówi do ciebie.

Czasami używa słów zaczerpniętych z książek - wyelegantowany, pugilares, onegdaj - ale w jej ustach nic nie brzmi sztucznie. Jej swoboda zawsze cię zadziwiała. Teraz, kiedy jeszcze stoi i ściąga płaszcz, emanuje królewską pewnością.

- Przyzwyczaiłaś się już do nowego mieszkania? - pytasz.

- W ogóle nie mam kiedy - odpowiada i jednocześnie zamawia obojętnie podwójną whisky z wodą na jeden palec. - Nocą, kiedy wracam, ulica jest pusta. Widuję tylko błakających się żebraków. Nie zdajemy sobie sprawy, Bitte, ale Buenos Aires się zmienia. To motyl, który przepoczwarza się w larwę.

- Powinnaś częściej bywać w San Isidro. Tam nic się nie zmienia. Tylko czasami zapach rzeki.

- Przez jakiś czas nie będę mogła. O tym chciałam porozmawiać.

- Co się stało? Chcesz mnie zostawić?

- Nawet mi to do głowy nie przyszło. Ciebie nikt by nie mógł zostawić. Potrzebuję czasu na napisanie książki.

- Bliźniaczy Mesjasze, co?

- Nikomu nie mówiłam. Skąd wiesz?

- Domyślałam się. Wszystkie ścieżki twojego życia prowadzą do tego punktu: nekrolog Roberta Mitchuma, klótnia z zakonnica w szkole. *Tout aboutit à un livre*, jak mówił Mallarmé. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Pomógłbym ci.

- Kto wie, czy mógłbyś mi pomóc. Do niedawna nie byłam jeszcze wystarczająco dojrzała. Teraz wiem, że dam radę. .

Wyciągasz do niej rękę, żeby sprawdzić, czy będzie cię pieścić, jak kiedyś. Ignoruje je. Udaje, że koncentruje się na szklance whisky.

- Teraz - próbujesz ją podpuścić - po wyprawie w głąb ekscytującej puszczy kolumbijskiej.

Nagły skok ciśnienia odbija się na jej twarzy. Zaczesała włosy do tyłu i widzisz, że pulsują jej skronie. Dobrze wyczułeś efekt, jaki robi słowo "ekscytująca", to lekko erotyczna insynuacja.

- Kazałeś mnie śledzić? - pyta podniesionym głosem. - Skoro któryś z twoich szpicli ciągle deptał mi po piętach, nie rozumiem, po co cała ta gra.

- Bo dla mnie to nie jest żadna gra. Ja cię nie zostawię, Reina, nawet jeśli ty będziesz chciała zostawić mnie.

- Jestem człowiekiem, Camargo. Nie możesz mnie brać i zostawiać. Nie należę do ciebie. Do nikogo nie należę. Tylko że teraz wiem, że przynajmniej należę do samej siebie.

Ona sama pokazała ci drogę. Dlatego też postanawiasz pójść jeszcze dalej:

- Należysz do siebie, bo należysz do kogoś innego.

- Być może - przyznaje.

- Zaplątałaś się i nie możesz wyjść.

- W nic się nie zaplątałam. I nie chcę wychodzić. Jestem tam, gdzie jestem, z własnej woli, moje ciało i dusza są czyste, możesz to pojąć?

Irytuje cię, że patrzy na ciebie z taką niedbałością, jak gdyby była już poza twoim zasięgiem. Jest w jej niepewnym zachowaniu coś, co przenosi cię do dzieciństwa. Ona stała się tamtą, tą utraconą, prawda? Skoro twój ojciec nie miał co do tego wątpliwości, był całkowicie pewien, dlaczego go nie posłuchałeś? Gniew wytrąca cię z równowagi, a jednak panujesz nad głosem. Reina jeszcze nie odpowiedziała na wszystkie twoje pytania.

- Czyste? Nie sądzę. To nieprawda. Gdyby twoja dusza była czysta, nie poszłabyś ze mną do łóżka po powrocie. Najpierw zdradziłaś mnie, a potem tamtego.

- Stchórzyłam, nawet nie wiesz, ile razy to sobie wyrzucałam. Nie chciałam zrobić ci krzywdy. I bałam się ciebie. Zdradziłam Germana, ale on już o tym wie. Przez ostatnie dni ciągle tylko proszę o wybaczenie.

- A więc nazywa się Germán! - wykrzykujesz. W gardle ci zaschło. Krew uderza ci do głowy jak lawa.

- Germán. Myślałam, że wiesz. Nie mówiłeś, że wiesz wszystko?

Już lata temu pobrałeś swoje lekcje nieszczęścia. I od chwili, w której nie mogłeś się już więcej nauczyć, stałeś się odporny na wszelkie cierpienia. Teraz został ci tylko gniew. I twój gniew bez trudu wznosi się nad gwar yuppies i śmiechy urzędników.

- Pieprzyłaś się ze mną, pieprzyłaś z nim, pieprzysz się ze wszystkimi. Rozchyłasz nogi przed każdym, który się nawinie, dziwko. Sprzedajesz się temu, kto lepiej zapłaci, co? Nie wystarczyło ci wszystko to, co ci dałem, wszystko to, co mi wyrwałaś?

- Niczego mi nie dałeś, Camargo. Co najwyżej odebrałeś, i to sporo. Nigdy nie mówiłam, że cię kocham. Podziwiałam cię, a to co innego. Nie okłamywałam cię.

- Myślisz, że mnie tak po prostu zostawisz? Myślisz, że można sobie odejść od Camargo, tak jak się wychodzi z imprezy? Nie, kochana, ty nigdzie nie idziesz.

- Kocham innego. Nie mogę zostać.

- Innego? Nie ma żadnego innego. Mnie nikt nie zostawia. Ja nie jestem moim ojcem.

- Biedny Camargo - mówi do ciebie.

Twoja i tak już gorąca krew zawrzała. Nie czujesz swojego ciała i nie obchodzi cię to. Czujesz tylko niepohamowane oburzenie. Kobieta podnosi ręce i próbuje się zasłonić, ale ty jesteś szybszy. Wyładowujesz całą swoją siłę w ciosie, którym trafiasz ją prosto w usta i rozwalasz je. Ona patrzy na ciebie zaskoczona, oniemiała, oczami baranka ofiarnego. Chce coś powiedzieć, ale nie pozwalasz na to. Rzucasz na stół pięćdziesięciopesowy banknot i wychodzisz niemal biegiem z tego piekła, odprowadzany pomrukiem skretyniałych yuppies. Bo ty to ty, Camargo. Ciebie się nie zostawia.

Nie będziesz pamiętał tego incydentu w barze. Niektóre wydarzenia z twojego życia przytrafiają się nie tobie, tylko jakiejś istocie pozostającej poza twoją pamięcią i ciałem: komuś, kto nie chce opuścić przeszłości. Na przykład kiedy obserwujesz kobietę przez teleskop, dziwisz się na widok pokaleczonych warg i opuchniętej brody. Jutro będzie miała siniaki i straci nieco na swej tajemniczej urodzie. Widzisz, jak przygląda się ranie w lustrze i zlizuje koniuszkiem języka strużkę krwi. Irytuje cię, że mimo wszystko wygląda na szczęśliwą i rozbiera się, kołysząc biodrami w rytm jakiejś burdelowej muzyki, niesłyszalnej dla ciebie. Ten, kto ją ukarał, zrobił to połowicznie. Powinien wyłupić jej oczy i spalić język rozżarzonymi szczypcami. A przede wszystkim powinien jej zszyć starannie pochwę, żeby powetować krzywdę, jaką mu zrobiła.

Przekonawszy się, że jej bezwstyd nie zna granic i że nic, nikt nie może odebrać jej przyjemności, którą tamten inny zasiał w jej trzewiach, pomyślałeś o tym bezdomnym, który śpi na zewnątrz, o Momirze, chociaż wtedy jeszcze nie znałeś jego imienia. I tak w twojej wyobraźni zaczynał się rysować niewyraźny z początku plan zemsty. Wiesz, że kobieta jest ostrożna. Ale skoro ktoś inny ma na nią teraz duży wpływ, jeśli wymknęła się spod miłosnej opieki, jaką od tyłu miesiący ją otaczałeś, mogła się zatracić w tym seksualnym amoku i zapomnieć o środkach ostrożności, obojętna na lizaje, rzeżączkę, malarię czy inne infekcje powszechne na terenach podrównikowych. Na chwilę opuszczasz swoje stanowisko obserwacyjne przy teleskopie, żeby sprawdzić w łazience, czy nie zaraziła twojego członka jakąś chorobą. Powinna cię była uprzedzić po powrocie, że zbrukała się zgnilizną. Ale ta suka nie mówiła nic, kiedy lizaleś ją po cipie, zdajesz sobie sprawę? Nie obchodziło ją, że może cię zarazić jakimś paskudztwem przywiezionym z podróży. Zauważasz tylko lekkie obtarcie na żołądki, nic specjalnego, chociaż kto wie, kto wie. A jeśli naprawdę naraziła cię na jakiegoś syfa? Jaką męką będzie mogła zapłacić za tak potworną rzecz? Nawet los rządzi się swoimi prawami i widząc Momira śpiącego pod okapem pralni z naprzeciwka, przeczuwasz, że on może stać się ślepym narzędziem twojej kary. Jego smród, koszmarny brud ciała, obrzydliwe ręce: to najmniejsza kara, na jaką zasługuje ta kobieta.

Słuchasz kwartetu smyczkowego Cesara Francka. Kiedy końcowe allegro wycisza burze i przestaje wrywać drzewa, melodia rozlewa się na szerokiej równinie. Te fale melancholii uspokajają cię, ale kobieta, z tymi jej triumfalnymi mchami, chyba się uparła, żeby cię zirytować.

Stanęła przed lustrem i znowu się kołysze. Trzęsie swoimi nieistotnymi i bezwstydnymi piersiami, pewnie przywołując jakieś wspomnienia. Zostawia zapalone światło i pokazuje się w oknie, co za niewiarygodna bezczelność. Nie obchodzi jej, że ktoś może podglądać, tak jak ty w tej chwili, dławiony pożądaniem.

Otwierasz okno i od razu rzucają się na ciebie donośne hałasy miasta, telewizory, autobusy, karetki: dzikie ludzkie bagno. Noc cięży ci tak bardzo, że czujesz się jak wół ciągnący ją za sobą, cią-

ży ci ciało, ciemność, gorączka, świadomość burzy, która nie wiadomo dlaczego miota się w tobie zamiast w niej. I na co tak czekasz, elegancko ubrany, wciąż w krawacie i koszuli ze spinkami w mankietach? Ze złością zdzierasz z siebie te rzeczy i zaskakuje cię twoje własne odbicie w lustrze. Pozory myślą, od dawna o tym wiesz, bo nawet najwierniejszy obraz nie pokazuje przeszłości, duszy ani temperatury tego, co odbija. Istota, na którą teraz patrzysz, to nie ty, bo tej postaci w lustrze brakuje u boku kobiety. Ona powinna tam być, czołgać się u twoich stóp, błagając o litość, prosząc, żebyś jej nie zostawiał, Camargo, ani nie zawładnął jej myślami. Nie, nie zostawiasz jej: kogoś dnia odda ci wszystko to, co zabrała. Ale już jej nie słuchasz, za późno na słuchanie. Bezlitośnie podnosisz stopę i miażdżysz jej głowę.

Bezczelność kobiety nie ma granic. Po epizodzie w barze oznajmiła, że jest chora i przez trzy dni nie stawiała się do pracy w "El Diario". Do każdego innego redaktora posłałbyś od razu lekarza, żeby go wysłał do pracy, ale z nią musisz uważać. Jeśli zbadałby ją lekarz, oskarżyłaby cię, że ją pobiliś, złośliwie pomijając wszystkie powody, które doprowadziły cię do tego wybuchu. Nie jest głupia i póki jej nie zaatakujesz, będzie siedzieć cicho. Ale ledwie tylko uznała, że się wyleczyła, wymyśliła następny podstęp, zupełnie cię zaskakując. Przed kolegium redakcyjnym pojawiła się u Enza Maestro i powiedziała mu, że ma niespodziewanego świadka w sprawie przemytu broni: jakiś pułkownik, rozżalony, bo nie zapłacili mu należnej części za sprzedaż ośmiu tysięcy karabinów bojowych i dziesięciu milionów sztuk amunicji. Po spotkaniu z kuzynem prezydenta pokutnika, wojskowy został zatrzymany pod zarzutem handlu narkotykami. Oskarżenie było fałszywe, rzecz jasna, ale nie do zanegowania: sześć kilo kokainy znaleziono w dzbanie w jego domu. Błąd w procedurze sądowej uratował go przed więzieniem i następnego dnia pułkownik był już daleko od Argentyny. W kilku transakcjach przemytniczych służył za pośrednika i miał kopie czeków przekazanych szwagrowi i synowi prezydenta przez serbskich handlarzy. Oferował dokumenty w zamian za to, że "El Diario" opublikuje jego wersję wydarzeń. Trzeba było jechać po nie do Caracas, gdzie adwokat pułkownika ma czekać na Reinę- tylko na nią: przynajmniej tak powiedziała Enzo - na lotnisku.

Maestro jest sprytny jak J. Edgar Hoover, zręczny jak Kissinger, cyniczny jak Fouche, ale rano, kiedy jeszcze nie zdąży przetrwać tego, czym obzerał się wieczorem, bywa tak naiwny jak Rudolf Hess. Popełnił błąd i zezwolił na wyjazd Reiny, ale lojalność każe mu cię zapytać, czy się zgadzasz, jeszcze przed wykupieniem biletów.

- Ta kobieta znowu chce wyjechać?! - zawołałeś, z trudem hamując furię. - Nie, Maestro, mowy nie ma. Tracimy czas. Sam widzisz, że nasze doniesienia nie dają żadnych efektów. Sędziowie dalej będą wypuszczać tych mafiosów. Sam o tym wiesz najlepiej. Wymyśliłeś proch, a teraz nie rozpoznajesz nawet sztucznych ogni.

- Chcesz powiedzieć, że nie wydrukujemy już nic o przemyśle? Ze zostawimy bez chleba i igrzysk tych dwadzieścia tysięcy czytelników kupujących nas tylko dla tej sprawy?

- Nie można też przegiąć w drugą stronę. Mówię ci tylko, że tę kobietę, Remis, musimy zmusić do pracy na miejscu. Rozsmakowała się w turystyce.

- W tym wypadku może jechać ona - albo nikt.

- W takim razie nikt - powiedziałaś.

Następnego ranka ta uparta kobieta zostawiła na biurku Maestro kartkę z informacją, że tak czy inaczej poleci do Caracas. Zręcznie zabezpieczyła się przed sankcjami, jakie mógł wobec niej zastosować Sicardi: skorzysta - jak napisała na karteczce - z pięciu wolnych dni obiecanych jej przez Maestro po powrocie z Kolumbii, przelot i hotel pokryje ze swoich pieniędzy i wręczy redaktorom dokumenty, jakie spodziewa się zdobyć, oraz relację ze śledztwa. Możecie to zamieścić albo nie, oświadczyła bezczelnie.

Kazałeś Sicardiemu zatrzymać ją na lotnisku wszystko jedno jak, ale kobieta nie skorzystała z żadnego z regularnych lotów do Caracas. Domyślasz się, że wyleciała wcześniej do Montevideo. Desperacko pragnie spotkać się z kochankiem, tego jesteś pewien. Znowu do niego leci tarzać się w gnoju. Niemal słyszysz niecierpliwe dyszenie jej krocza.

To właśnie ta desperacka ucieczka od ciebie skłania cię do przejęcia kontroli nad jej nagim ciałem przez potajemne sfilmowanie go. Patrząc na nią, rozpostartą na ekranach w San Isidro, naturalnych rozmiarów, możesz ją urabiać, przyciągać. Nie ma trwałej materii, wszystko to ułuda, ale ludzka wola może nadawać kształt materii, zmuszać ją do posłuszeństwa. Zawłaszczając jej obraz, jednocześnie obejmujesz w posiadanie jej ciało: to jedna z odwiecznych mądrości zapomnianych przez ludzkość.

Sicardi przekazał ci klucze od jej mieszkania i za pierwszym razem, kiedy je odwiedzasz, zaskakuje cię, że kobieta ma tak dużo wolnego czasu, że jeszcze pisuje teksty niemające nic wspólnego z "El Diario". Płacisz jej fortunę, żeby poświęciła się tylko tej pracy, a mimo to za każdym razem, kiedy nadarza się okazja, trwoni energię na pisanie krótkich opowiadań, wierszy - w niektórych z nich wyczuwasz zazdrość, jej przemożną ochotę, żeby zająć twoje miejsce: ten wypierdek, to zero, które z takim trudem wychowałeś i nauczyłeś finezji - i jakieś pięćdziesiąt stron zapisków do eseju o bliźniaczych Mesjaszach, jej obsesja.

Skopiowałeś kilka wydrukowanych stron zostawionych przez kobietę na biurku. Niektóre z jej odkryć cię zaskakują. Jej zdaniem w ewangeliach synoptycznych pojawia się pięć cudów, które się powtarzają bez żadnych zmian: rozmnożenie chleba i ryb, chodzenie po morzu po uspokojeniu burzy i trzy tajemnicze uzdrowienia: ślepeca, którego oczy zostają nasmarowane śliną, syna albo sługi centuriona, oraz opętanego, którego demony chronią się w ciałach świń. Jezus dokonał tych cudów w Galilei, a jego bliźniak Szymon w Damaszku, być może w tym samym czasie. Żeby czyny Szymona zniknęły z ludzkiej pamięci, ewangeliści przypisali je Jezusowi, nie przejmując się powtórzeniami. Syn Boga mógł umierać na krzyżu nieskończoną ilość razy i również bez końca wypędzać demony z tego samego ciała. Retoryczne pytanie pojawiające się na końcu tych pięćdziesięciu stron wraca do ciebie jak refren: "A może obydwaj głosili to samo, tyle że jeden przywoływał Ojca, a drugi Matkę?"

Gdyby nie podłość, z jaką ta kobieta cię zdradza, nawet byś nie pomyślał o Momirze. Teraz, kiedy patrzysz na jego jedyny kiel ledwie trzymający się sinawego dziąsła i cienie strupów za uszami, masz pewność, że Momir, mimo że wygląda na dość zdrowego człowieka, ucieleśnia całe zło, jakie kobieta sama na siebie sprowadziła, zgniliznę, w której się tarza i którą próbowała cię zarazić, pchając ci się do łóżka.

W pierwszym artykule opublikowanym w "El Diano" po powrocie z Caracas sama podkłada się jak na tacy, przypieczętowując swój koniec. Mimo przebiegłej uwagi, z jaką czyta wszystkie teksty, Maestro nie wykrył oszustwa. Ty owszem. W drugim akapicie pojawia się, z pozoru przypadkiem, kompromitujące zdanie: "Pułkownik spał snem niewinnego w pierwszej klasie Fleet Air, lecąc z Sao Paulo do Maiquetia". Niepotrzebna wzmianka o nazwie przewoźnika budzi twoją podejrzliwość. Każesz Sicardiemu zadzwonić do szefostwa Fleet Air, żeby się upewnić, czy wydali darmowy bilet na nazwisko Reina Remis. Twoje podejrzania się potwierdzają. Mało, że wyzebrała bilet, to jeszcze obiecała wspomnieć na łamach gazety hojnego dawcę.

I co to się z nią stało, Camargo? Zaglądasz w swoje wnętrze i widzisz tylko obrzydzenie po horyzont, rzekę odpadków, którą będziesz powoli osuszała. Pozwolisz, żeby przez ten tydzień kobieta zachowywała się swobodnie i dalej zdradzała się w swoich artykułach. Tak jak przewidziałeś, wzmianka o Fleet Air ponownie pojawia się w drugiej części nudnego wywiadu z pułkownikiem. Tymczasem Sicardi upewnił się, że ona dzwoni do swojego kochanka z telefonu w pracy. Do zdrady dochodzi jeszcze oszustwo. Kiedy kobieta idzie do Maestro, żeby wydał zgodę na kolejny wyjazd, do Rio de Janeiro, jej beczelność sprawia, że tracisz cierpliwość. Zatrzymasz ją tylko na kilka dni, żądając, żeby pisała o kryzysie rządowym i nieuniknionej rezygnacji wiceprezydenta. Jej artykuły okażą się fatalne, bo dopilnujesz, żeby Sicardi upokorzył ją tak, że zaschnie jej język, żeby zacisnęła jej obrozę na szyi i udusił jej dumę.

Tuż przed tym, kiedy kobieta siądzie do pisania, szef personelu wezwie ją do siebie i udzieli reprimendy. Powinno to mieć miejsce około dziewiątej, w chwili największego napięcia, tuż przez zamknięciem wydania. Chwilę później, cały poruszony, ten nieszczęsny wiemy pies pobiegnie do twojego biura, żeby ci opowiedzieć, co się wydarzyło. Zobacysz, że jest nabuzowany, podniecony. Ponieważ nerwowość zawsze odbija się na stanie jego nosa, wyskoczą mu nowe czyraki. Sicardi nagra rozmowę i przekaże ci kasetę oraz jej transkrypcję z usługnością, która uprzedza twoje zachcianki:

- Od jak dawna nasza firma walczy z korupcją, panno Remis?
- Bo ja wiem - odpowiada ona niecierpliwie. - To trwało już, kiedy przyszedłam.
- I co w takim razie powinniśmy zrobić, jeśli odkryjemy skorumpowanego dziennikarza?
- To pańska sprawa, Sicardi. Ja najpierw bym się upewniła, a potem zażądała wyjaśnień.
- A gdyby to dotyczyło kogoś, kto sam pisze teksty dotyczące walki z korupcją, co byśmy zrobili?

- Niech pan zapyta na policji. Nie mam czasu na głupoty. Jeśli pan insynuuje, że w mojej ekipie jest ktoś skorumpowany, to się pan myli. Odpowiadam za wszystkich, nawet za Insiarte.

- A jednak znamy jeden wypadek, proszę pani.

- Niech pan wreszcie to wydusi, choć z góry uprzedzam, że nie wierzę. Kto to jest, Sicardi?

- Ty, koleżanko - powiedział obraźliwym tonem.

Kobieta odpowiedziała mu potokiem mocnych, zabójczych wyzwisk. Każeš Sicardiemu, żeby dołączył to do listu ostrzegającego. Posłuży za dodatkowe wyjaśnienie, kiedy w końcu zdecydujesz się ją wyrzucić. Teraz możesz już powierzyć na kilka dni stery Maestro i skupić się na skomplikowanej karze.

Z rezygnacją czekasz, aż skończy się noc: wlecz się i wlecz, porusza się opornie jak muł. Ani na chwilę nie zjawia się zbawczy sen. Czasami wyciągasz się na pryczy w mieszkaniu wynajętym na ulicy Reconquista. Obawiasz się, żeby nie wymknął ci się żaden wątek rzeczywistości, i co chwilę wracasz przed teleskop Bushnell, gnany niepokonaną ciekawością. Wreszcie przed wpół do ósmej rano kobieta udaje się do kawiarni, w której wiceprezydent i jego świta jadają śniadanie. Chwilę wcześniej wysłannik Sicardiego obudził Momira i jego towarzyszkę, żeby zrobić im zdjęcie. Ma za zadanie iść za nimi, gdziekolwiek by poszli, i upewnić się, żeby po zmierzchu byli do twojej dyspozycji. Przez roztargnienie znowu włączyłeś komórki i kiedy obserwujesz sprzątaczkę, zaskakuje cię dźwięk dzwonka. Tym razem nie pojawia się głos Brendy, tylko ktoś mówi do ciebie sucho, chropowatą angielszczyzną:

- Pan Camargo? - pyta. Irytuje cię, kiedy mówią do ciebie per pan.

- Pan...? - odpowiadasz, podejmując rękawicę.

- Jestem doktor Ciarkę - mówi. - Hematolog Ángeli. Chciałbym pana poinformować, że robimy wszystko, co możliwe, żeby zatrzymać infekcję. Próbowaliśmy nowego antybiotyku i nie wiemy jeszcze, jakie będą efekty. Teraz dodamy jeszcze leki antymitotyczne. Brenda, pańska żona...

- Moja była żona - poprawiasz go szybko.

- ... mówi, że nie chce się pan pogodzić z faktem, że stan córki jest bardzo poważny...

- Czyli jest poważny czy nie?

- Można powiedzieć, że jest krytyczny, proszę pana.

- Ile dni życia, pana zdaniem, jej zostało?

- Dni? Nie rozumowałbym w takich kategoriach. Istotne jest teraz, jak będzie ewoluowała infekcja.

- Co z pana za lekarz? - odpowiadasz z oburzeniem. - Płacę fortunę, żebyś mi pan córkę wyleczył, a teraz słyszę, że musimy czekać. Czy to wy ją leczycie, czy jej organizm sam musi sobie radzić? Jeśli nie spróbował pan wszystkiego, to proszę spróbować. Dlaczego nie zrobiono jej transplantacji szpiku, tak jak mi obiecywaliście?

- To nie takie proste. Proszę pozwolić, że wyjaśnię, panie...

- Nie, nie pozwolę - odpowiadasz. - Nie jestem żaden pan, tylko doktor Camargo. Jeśli Ángela teraz umrze, oskarżę pana w sądzie o brak kompetencji. Nie wie pan, w jakim ja mieszkam kraju? Jestem szefem dziennika, wiedział pan? Nasz rząd sypie się na kawałki.

Dobiega cię jakiś bełkot, ale nie próbując dociekać, co oznacza, wyłączasz telefon. Jesteś wściekły. Kiedy tylko spotkasz się z Brendą, wyrównasz z nią rachunki. Jak ona śmiała dać twój prywatny numer temu partaczowi, przecież twój umysł powinien się zajmować wyłącznie rozwikłaniem tego zagmatwanego kłęбка: paszporty dla Momira, wymierzenie kary i delikatny zabieg ponownego wprowadzenia fenobarbitalu do kartonów i to tak, żeby nie zostawić żadnego śladu.

Z ulgą dostrzegasz, że sprzątaczką wkłada płaszcz i gasi wszystkie światła w pokoju naprzeciwko. Możliwe, że kobieta dała jej wolne na czas swojego wyjazdu do Rio. Przyszło ci to do głowy, kiedy sprzątaczką przed wyjściem poskładała i rozłożyła na kupki obok walizki ubrania kobiety: bielizna po jednej stronie, spódnice i bluzki po drugiej. Udało ci się wypatrzeć parę sandałów i kostium kąpielowy. Ewidentnie chodzi o romantyczną wyprawę: wśród bagaży nie ma żadnych formalnych strojów, które byłyby jej potrzebne, gdyby naprawdę miała się spotykać z rządowymi informatorami, jak naopowiadała nieostrożnemu Maestro.

Przechodzisz przez ulicę w porze, kiedy okoliczni urzędnicy wychodzą na lunch. Zawsze przeżykałeś niedostrzeżony, ale tym razem absolutnie nikt nie może cię zobaczyć. W mieszkaniu kobiety unosi się woń wosku i cytrynowego płynu do podłogi. Ona jest czujna, wrażliwa na zapachy, więc dziś rano używałaś w kąpielni bezzapachowego mydła, żeby nie zostawić żadnych śladów. Tak

czy inaczej, nieprędko wróci: jeśli Maestro stosuje się do twoich instrukcji, nie będzie mogła oddalić się od wiceprezydenta, nawet gdyby dostała biegunki albo nagłej gorączki.

W lodówce stoją dwa kartony z sokiem pomarańczowym, w tym jeden otwarty, oraz jeden z jabłkowym, nieruszony. Do każdego wstrzykniesz po trzy gramy fenobarbitalu za pomocą strzykawki o cienkiej igle, mieszając lek z wodą destylowaną. Jakkolwiek byś się starał, na powierzchni zostanie warstewka białego pyłu, choć i tak operacja jest łatwiejsza z otwartym kartonem, którego zawartość przesączysz przez sitko, tak jak poprzednim razem.

Okolo drugiej po południu widzisz Momira, jak spaceruje niespokojnie po ulicy, mijany przez biegających tam i z powrotem maklerów giełdowych i sprzedawców. W okolicy roi się od policjantów, a ponieważ ani on, ani jego towarzyszka nie mają dokumentów, boi się, że go aresztują. Za piętnaście minut jeden z asystentów Sicardiego wręczy ci paszporty na rogu ulicy Corrientes i Reconquista. Przez telefon upewniłeś się, że fałszerstwo jest perfekcyjne: pieczęcie, znaki wodne, podpisy pod zdjęciami, perforacje, każdy szczegół jest ważny. Z satysfakcją obserwujesz, że wolno upływający czas zwiększa niepokój Momira i miażdży jego butę. Kiedy wyjdiesz się z nim spotkać, on powita cię pokonany i uległy.

Od czasu twojej ostatniej wizyty kobieta powiesiła na ścianie nad biurkiem, przy którym pracuje, cztery zdjęcia: jedno z nich zrobiłeś ty sam przed wejściem do muzeum Orsay w Paryżu, w styczniowe południe. Ona stoi w ciemnym płaszczu z angielskiego sztruksu, który kupiłeś jej poprzedniego dnia na Rue du Faubourg Saint Honoré i szkockiej garsonce z pasiastym szalikiem, którego tak często używa podczas wyjazdów do Europy. Promieniuje, włosy ma zaczesane z przedziałkiem i ten dziecięcy uśmiech, którym uwiodła cię tego wieczoru, podczas waszego pierwszego spotkania we francuskiej knajpie nieopodal placu Cortázara. Na dole napisała trudne do wytłumaczenia słowo: "Blazen". Dwa inne zdjęcia zostały zrobione w kolumbijskiej puszczy. W tle widać kilka chałup o spróchniałych ścianach i palmowych dachach. Kobieta, tak jak jej towarzysze, ubrana jest w kamuflujący mundur. Chciałbyś wiedzieć, który z ludzi na fotografii to ten Germán, ale wszyscy są do siebie podobni: partyzanci, dziennikarze, wieśniacy. Może to ten, który wyzywająco wbija w aparat spojrzenie niebieskich, coś zbytnio szczęśliwych oczu? Postanawiasz, że następnym razem przyjdiesz do tego mieszkania z aparatem i skopiujesz sobie te zdjęcia, żeby Sicardi zidentyfikował intruza w kolumbijskiej ambasadzie. Chcesz znać jego imię i nazwisko, historię jego rodziny i jak maczuga rozbić jego życie na kawałeczki. Czwarta fotografia, powieszona przez kobietę nad pozostałymi, przedstawia trzy- albo czteroletnią dziewczynkę siedzącą na kucyku. Ktoś, bez wątplenia matka, przytrzymuje ją od tyłu: musiała mieć wtedy tyle lat, ile kobieta ma teraz, trzydzieści dwa, i jest do niej tak podobna, wrażenie złudzenia jest tak silne, że córka ze swoim dzisiejszym wyglądem spokojnie mogłaby się podszywać pod ówczesną matkę, jak gdyby przeszłość rozgrywała się w terażniejszości i ponad czasem wytworzyła się jakaś trwała tożsamość. Nagle zdajesz sobie sprawę, że ta gra luster może rozgrywać się nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni. Kobieta jest kalką własnej matki, a jednocześnie kalką twojej. Ukryty obraz pielęgniarki w plisowanym fartuchu i gumowych rękawiczkach, która zbliżała się do twojego łóżka o świcie, po powrocie ze szpitala, wraca teraz, wyraźny, dokładnie taki, jaki pochowałeś w głębiach twojej świadomości. Od wtedy nie pamiętałeś jej twarzy i nie jesteś pewien, czy to, co teraz widzisz, to nie iluzja, okrutny podstęp twoich pragnień, ale fakt, że twój ojciec także ją rozpoznał, niepokoi cię. A jeśli matka kobiety była też twoją matką? Albo jeszcze gorzej: może ta kobieta przenosi się w czasie i tak to załatwiła, że stała się twoją matką i uciekła od ciebie w dzieciństwie, tak jak robi to teraz? Na chwilę ta myśl napawa cię przerażeniem. Potem przyglądasz się zdjęciu z uwagą i zdajesz sobie sprawę, że matka trzymająca kucyka za wodze, o ile jeszcze żyje - a kobieta nieraz mówiła ci, że żyje, wspominała o jej uporczywym wydzwanianiu z zapytaniem, jak się ma, chociaż nigdy nie pofatygowała się z wizytą - może mieć nie więcej niż sześćdziesiąt cztery lata, podczas gdy twoja, Camargo, będzie się zbliżała do dziewięćdziesiątki. A może się mylisz w tych wyliczeniach? A może wy oboje, twoja matka i ty, urodziliście się w tym samym czasie? Ty dziwko, mówisz rozdartym głosem, który wychodzi ci niski, bardziej do środka niż na zewnątrz: dziwko, dlaczego zawsze byłaś taką dziwką? Dlaczego mi to zrobiłaś?

Wstrzyknięcie fenobarbitalu do kartonów z sokiem zajmuje ci dwadzieścia albo dwadzieścia pięć minut: dłużej, niż sądziłeś. Przez okno dostrzegasz asystenta Sicardiego, który wychodzi już ze starej angielskiej restauracji, obecnie podupadłej, w stronę zakładu numizmatycznego, tam gdzie ulica Corrientes zaczyna opadać w dół. Momira straciłeś z oczu: ma na ciebie czekać przy wejściu do

domu kobiety, pewnie traci już nadzieję, podejrzewa, że nigdy nie wróci do swojej wioski nieopodal Pranjani.

Wydarzenia następują teraz po sobie tak szybko, że nawet nie pamiętasz, że ci się przytrafiły. Kiedy wysłannik Sicardiego przekazuje ci kopertę z dokumentami, rzucasz na nie szybko okiem i przekonujesz się, że przejdą przez kontrolę urzędu migracyjnego. Bilety, które pozwolą Momirovi i jego towarzyszce wylecieć jutro do Santiago de Chile, a stamtąd do Belgradu, z przesiadkami w Miami, Madrycie i Rzymie. Kiedy wracasz do mieszkania, zatrzymuje cię nagła wątpliwość: gdzie przekażesz bezdomnemu to, co mu obiecałeś? Najlepszym miejscem, bez wątpienia, będzie winda w budynku kobiety. Prawie nikt z niej nie korzysta i nie ma ryzyka, że ktoś cię zobaczy. Momir jest nieufny jak kot i waha się, czy iść za tobą.

- Już wszystko? - pyta.

- Wszystko. Ale musimy jeszcze parę rzeczy sobie wyjaśnić - mówisz mu za pomocą gestów.

Podczas gdy winda wjeżdża na pierwsze piętro i wraca, dajesz Momirovi do ręki paszport towarzyski i bilet wystawiony na jego nowe imię: Witold Witkiewicz, tak się teraz nazywa. Bezdomny potwornie cuchnie: kto wie, jak długo będzie się ten smród unosił w windzie, gęsty, toksyczny. Na dłoniach, pokrytych odciskami, zalegają geologiczne warstwy brudu. Powinieneś się przyzwyczaić do tego odoru. Będziesz go musiał znosić tej nocy przez kilka godzin.

Momir jest zaniepokojony, kiedy bierze od ciebie dokumenty. Paszport dla niej i bilet dla niego są same z siebie bezużyteczne. Nie taka była umowa, mówi, albo przynajmniej wydaje ci się, że mówi. Takie są wszystkie umowy, odpowiadasz: dam ci resztę, kiedy wywiążesz się ze swojej części.

- Skąd mogę mieć pewność? - odpowiada swoim łamanym narzeczem.

- Teraz daję ci dużo za nic - mówisz. - To, co trzymasz, jest warte dziesięć tysięcy dolarów. To dowód na to, że ci ufam. Więc mógłbyś mi też zaufać.

Czekanie zawsze dłuży się bardziej niż rzeczywisty czas, ale dzisiaj wydaje się nie kończyć nigdy. O siódmej ulice pustoszeją i zaczyna dąć burzowy wiatr. Od czasu do czasu sięgasz po komórkę, żeby być na bieżąco w posunięciach twoich postaci. Wiceprezydent złożył rezygnację - opowiada ci Enzo - tak jak przewidziałeś, i jest z nim Remis, w domu, gdzie przygotowuje ostatnie oświadczenie wymierzone przeciw korupcji. Panuje atmosfera żałoby i porażki: prezydent, jak zwykle, wahał się, jak się zachować wobec odejścia swego przybocznego: najpierw odmówił przyjęcia dymisji, potem kusił korzyściami, ambasadami, szefowaniem wywiadowi, aż wreszcie godzi się z tym. Chcę, żeby ta kobieta nie wracała do dziennika przed dziewiątą, nakazujesz Maestro. Chcę, żeby napisała szczegółową relację ze wszystkiego, co widziała: tekst, na który zarezerwujesz trzy kolumny, bez podpisu, na trzeciej stronie. Ale wcześniej, jak tylko wróci, Sicardi wezwie ją do siebie i ochrzani za nielegalny układ z Fleet Air, żeby zaczęła się oswajać z myślą o zwolnieniu z pracy. Może lepiej poczekać do jutra? - pyta Enzo. W sytuacji, w jakiej znajduje się kraj, zwolnienie jej to marnowanie talentu. Nigdy się nie zmienisz, Maestro, mówisz mu. Całe życie będziesz chronił skorumpowanych i zdrajców.

Mimo że w oknie naprzeciwko widać tylko ciemność i pustkę, często podchodzisz do teleskopu Bushnell i ustawiasz ostrość. Znowu słuchasz kwartetu smyczkowego Francka, ale nagle, kiedy kolejny raz rozbrzmiewa scherzo, twój humor z melancholijnego zmienia się w tragiczny: teraz pozwalasz, żeby ogarnęła cię Wielka Fuga Beethovena, której wariacje i matematyczne rytmy nucisz tak często, że nie potrafisz już określić, czy ta muzyka zrodziła się z ciebie, czy poznałeś ją tej nocy, kiedy wszystko jest twoją własnością, Camargo. Nawet Bóg nie mógłby zmienić biegu tyłu losów, ile teraz ty masz w swoich rękach.

Ostatni telefon do Maestro uprzedza cię, że kobieta wyszła z redakcji i bez wątpienia zmierza do mieszkania. Około dziesiątej, kiedy jeszcze sprawdzała kilka szczegółów ze swojej relacji - "Dokonana robota, Camargo. Proszę pozwolić, żebym jeszcze nie zwalniał tej Remis: proszę mi zezwolić na danie jej drugiej szansy" - zamówiła zimną kolację. Potem, czekając na aprobatę Maestro, zadzwoniła po taksówkę: powiedziała, że jedzie na ulicę Reconquista. To tam teraz mieszka, prawda?

Po chwili widzisz, jak przyjeżdża: wymęczona po długim dniu pełnym napięć, a mimo to z niecierpliwością oczekująca spotkania z kochankiem. Zostały jeszcze tylko siedemdziesiąt dwie godziny, myśli sobie pewnie. Siedemdziesiąt dwie godziny: skręcisz kark temu požądaniu, połamiesz mu nogi i wyłupisz oczy.

Momir i kobieta już dobrą chwilę temu położyli się na swoich materacach pod balkonem pralni. Udają, że śpią, ale nie wierzysz, żeby faktycznie zasnęli: oni też złożyli swój los w twoich rękach. Jeśli mężczyzna zachowa się tak, jak tego oczekujesz, jutro o tej godzinie polecą z bezębną kobietą prosto do Belgradu.

Wszystko przebiega tak, jak to przewidziałeś. Rzeczywistość zawsze jest ci posłuszna, ale zdarzają się w niej momenty, których nie można zaniedbać. Jeśli Momir będzie się buntował, wiesz, jak temu zaradzić: w rękawie marynarki masz dobrze zamocowany, niezawodny nóż. Lepiej, żeby nie próbował żadnych sztuczek, bo zabijesz go bez skrupułów. Nikt nie będzie za nim tęsknił, a ta szmaciara, która mu towarzyszy, nie odważy się nikomu poskarżyć. Kobiecie z naprzeciwka też uniemożliwiłeś jakąkolwiek obronę: jej los został przypieczętowany i nikt go nie zmieni.

Przez teleskop widzisz, że porusza się jakby w rytm napisanego przez ciebie scenariusza. Rozbiera się powoli jak gejsza, co jeszcze bardziej rozpala twoją namiętność, zdejmuje buty, ściąga spódnicę i ćwicz, dziwka jedna, przed lustrem zmysłowe figury. Niespodziewanym mchem otwiera lodówkę i pociąga długi łyk z otwartego kartonu z sokiem, do którego dodałeś niemal trzy gramy fenobarbitalu. Być może poczuła jakiś dziwny posmak na podniebieniu, bo widzisz, że przygląda się uważnie dacie przydatności do spożycia na spodzie kartonu, po czym wyrzuca go do śmieci. Kiedy lek dostaje się do jej krwiobiegu, zwiększa uczucie pragnienia. Otwiera karton z sokiem jabłkowym, nalewa do szklanki, przygląda się jej pod światło i w końcu, zadowolona, wypija łączywie. Efekt fenobarbitalu jest szybszy niż poprzednim razem. Kobieta chwieje się, podchodzi do łóżka i rzuca się na nie, nie ściągając bluzki. Waha się mimo tej słabości. Próbuje włączyć komputer oddalony o kilka kroków, może dlatego, że czeka na wiadomość od kochanka, ale jej mięśnie drętwieją i traci siły. Teraz będzie spać dzień albo dwa, nie kontrolując odruchów ani zwieraczy. Kiedy wszystko się kończy, przed wyjściem, wmusisz w nią szklankę wody, żeby się nie odwodniła. Jeśli zymiotuje - nie twoja wina.

Jeszcze zanim przeszedłeś przez ulicę, z przedsionka budynku dostrzegasz, że towarzyska Momira zmierza w twoją stronę, obnażając ostre siekacze. *Njegov passaporto*, mówi ci rozkazującym tonem. Chce zobaczyć dokument swojego towarzysza, ale nie pokażesz jej go. Ma długie, szpiczaste paznokcie. Mogłaby ci go wyszarpnąć. *Kasnije*, odpowiadasz: później. Dotrzymam umowy, tłumaczysz jej. Będę bezlitosny, jeśli twój przyjaciel nie wywiąże się ze swojej części. Zadzwońię na policję, mówisz: sprawię, że zgnijecie w więzieniu. *U redu*, zgadza się w końcu kobieta. "W porządku". Obraca się do ciebie plecami, niechętna, i delikatnie budzi Momira.

Kiedy wchodzić do mieszkania kobiety, nie masz pewności, czy on jest trzeźwy, czy pozostaje pod wpływem jakichś narkotyków. W windzie poruszał się niezgrabnie, spowity jeszcze pajęczyną snu. Potem, na krótkim korytarzyku światło razi go w oczy, a kiedy podnosi ręce, aby się osłonić, widzisz, że jego źrenice są powiększone. Nieraz przypominałeś mu, że ma być w pełni sił i gotowy na czas dzisiejszej akcji. Kazałeś mu nie pić i o ile to możliwe, nie napychać sobie żołądka tymi świństwami, które podają w przytułkach. Powiedziałeś mu: "Kiedy będzie po wszystkim, zrobisz, co zechcesz, Momir. Będziesz mógł opić się alkoholem, nafaszerować kokainą. Staniesz się panem swego ciała. Ale tylko ten jeden raz, tylko dziś w nocy potrzebuję resztek twojej inteligencji, siły i zdrowia". Poprosiłeś go jedynie o drobiazg, nieistotny dla jego wypaczonego charakteru: poprosiłeś o małą manifestację jego podłości, wynikającą z życia, które on sam zmarnował. A w zamian oferujesz mu powrót do domu. To coś, czego nie da się przeliczyć na paszporty czy bilety, tylko na coś dużo subtelniejszego: na utracone uczucia, które nikną gdzieś w człowieku, tracą swoją dawną formę, wyraźne jak rysunki w dziecięcych zeszytach o rogach zwilżonych palcami. Każdy by zapłacił, żeby zrobić to, o co prosisz, i dlatego wciąż irytuje cię wrogość, z jaką bezdomna przyjęła umowę. *Njegov pasos, passaporto*, co za tupet. Gdyby zniknięcie tej pary faktycznie nie było ci na rękę, wystawiłbyś ich do wiatru. Teraz widzisz, jak mało przyłożył się Momir do twoich poleceń: porusza się ociężale, przytępiony. Istoty takie jak on powinny zostać zmiecione z powierzchni ziemi: użyte do służebnych celów, a potem zlikwidowane. Przypominają ci się ostatnie wersy wiersza Cernudy, które być może narodziły się z oburzenia podobnego twojemu: "Kiedyś ktoś zapragnął / żeby ludzkość miała tylko jedną głowę, żeby ją odciąć. / Być może przesadził: gdyby tak stała się robakiem i można ją było rozdeptać".

O niczym tak nie marzysz, jak o skończeniu sprawy z Momirem, ale jeszcze go potrzebujesz. Chociaż do znudzenia tłumaczyłeś mu, co ma robić, powtarzasz mu to jeszcze raz za pomocą gestów, rozbierając jednocześnie kobietę i wydając ją na pastwę jego chuci.

Bez trudu ściągasz jej bluzkę i rajstopy i wieszasz je niedbale na oparciu krzesła. Biustonosz za-
pięty jest na kilka zatrząsków, które rozpinasz z łatwością. Przyglądasz się ponownie jej piersiom,
takim małym i bezkształtnym. Nie wzbudzają w tobie takiej radości jak kiedyś. Stały się jadownicze i
perwersyjne, od chwili, kiedy skalały je palce innego mężczyzny, i są już czymś innym. Dziwne, że
coś, co kochasz, może zupełnie i nagle zmienić sens, jaki nadawało mu twoje pożądanie. Ściągając
jej majtki, zauważasz, że kobieta zdążyła się dziś wydepilować: widać jeszcze lekkie podrażnienie
w pachwinie, powstałe przy usuwaniu włosów łonowych. Jak ona zdołała to zrobić? Narzuciłeś jej
morderczy rytm pracy, żeby miała zajęta każdą minutę w ciągu dnia, a jednak okazuje się, że udało
się jej wymknąć. Musisz zwrócić uwagę Maestro. Skoro ona tak dużo uwagi poświęca swojemu
wyglądowi, to znaczy, że kochanek kompletnie ją opętał. Kto wie, co ona tam robi, żeby go uwieść,
na jakie rzeczy sobie z nim pozwala, choć tobie wszystkiego poskapiła.

Momir pozostaje zupełnie obojętny wobec tej nagości, która tobie tyle razy zapierała dech w
piersiach. Stoi tam, z opuszczoną szczęką i zagubionym spojrzeniem. Oburza cię to. Ach, jak to
wszystko cię oburza.

Wyobrażasz ją sobie w ramionach tego kretyna, który użył sobie z nią w puszczy, w Caracas i
Temuco: wyszał ją, pochłonął, wchodził w jej ciało do woli. Ponieważ kobieta zdradziła cię, używa-
jąc swojego krocza, które teraz masz przed sobą, bezbronne, dopilnujesz, żeby każdy jej kawałek
został zhańbiony i okaleczony, każda kropla krwi zakażona. Czy ona miała litość, kiedy skazała ci
duszę? No to na co czekasz? Przykładasz dłoń Momira do jej piersi i każesz mu je pieścić. Tak,
tak jest, powoli, sutki, mówisz. I zmęczony tym wszystkim nakazujesz mu gestami, żeby się roze-
brał.

Ze zdumiewającą obojętnością Momir zrzuca z siebie łachy. Odór zalewa pokój. Najwyraźniej
kobieta go nie podnieca. On próbuje coś powiedzieć, ale wydobywa z siebie tylko smutny bełkot,
niepasujący do jego brutalności: *Menije tesko, ali znam da je tebi teze*. Zamierzasz się teraz wyco-
fać? - pytasz. Nie, odpowiada swoim łamanym hiszpańskim: to dla mnie trudne, ale wiem, że dla
ciebie jest jeszcze trudniejsze.

Chciałbyś, żeby to wszystko się już skończyło. Nie chcesz już słyszeć ani jednego słowa więcej,
nie zamierzasz już uspokajać sumienia tego człowieka. Myślałeś, że będziesz obserwować krok po
kroku wszystko, co Momir robi, ale nie ma już w tobie nawet ciekawości. Zamykasz się w szafie z
ubraniami kobiety, Camargo, zatapiasz się w słodyczy jej bielizny, kwaśnej woni butów jeździec-
kich, wdychasz zapach jej butów, rajstop, świeży wieczorny aromat prześcieradeł, przejmujesz wła-
dzą nad wszystkimi elementami jej istnienia, ponieważ ona zamknęła przed tobą bramy swego cia-
ła. Czy wciąż jest tu jakieś ciało? Czy ta kobieta kiedykolwiek miała ciało? Słyszysz krzyki Momira
i nie możesz tego znieść. Słyszysz jego ryki rannego zwierzęcia, zrozpaczonego, i nawet nagła cisza
nie przynosi ci ulgi. Pozmieniałeś wiele losów, Camargo, tylko twój wciąż jest taki sam.

Teraz, na ulicy bezzębna starucha przygląda się paszportom i wyraża zadowolenie. Momir rzucił
się na materace, blade jak ptak oskubany z piór. Ma kilka plamek krwi na rękawach, na kołnierzyku
i kobieta zadaje mu stanowczym - niemal wyzywającym - tonem pytania, chociaż rozumiesz tylko
kilka pojedynczych słów. Wydaje się, że mówi mu: Dlaczego nie uważałeś? Nie uprzedziłeś go, że
jesteś chory? Na co Momir odpowiada: "*Gospodin Cro* tak chciał. Choroba nieważna".

Starucha wznosi pięść do góry i przez chwilę obawiasz się, że zacznie okładać nią towarzysza.
Zachowuje się jak opętana. Może to zazdrość. Ponieważ rzuciła bilety i paszporty na materace, ge-
stami dajesz jej do zrozumienia, że musi uważać, bo wiatr może je porwać. Wieje lodowaty wicher,
a niebo stało się szare, czerwone: jest tak gęste, że w każdej chwili może eksplodować. *Uhvatiti in-
fekciju*, wyje starucha. *Antibiotike*. I nagle zdajesz sobie sprawę, że to nie o swego towarzysza się
martwi, tylko o kobietę, którą zostawili kilka pięter wyżej, na łożu tortur, na prześcieradłach zachla-
panych krwią z owrzodzonych ran.

Przez te tygodnie Momir mówił na ciebie *gospodin Cro*, co oznacza - jesteś niemal pewien - dok-
tor Cro, bo przyjąłeś ten monosylabiczny pseudonim brzmiący jak skrzeczenie żaby. Ale starucha,
która zawsze unikała cię z wściekłym uporem, patrzy teraz na ciebie, jakby widziała cię pierwszy
raz, jak gdybyś ją przerażał, jak gdyby nie chciała słyszeć twojego imienia. *Tko ste vi?* - pyta z
wściekłością. Każde z tych słów przypomina psa skaczącego ci do gardła. "Kim pan jest, na Boga?"

Nie będzie tak łatwo uwolnić się od tej kobiety. Kładąc się ponownie na swojej mniszej pryczy na ulicy Reconquista, Camargo sądził, że udało mu się wyegzorcyzmować na zawsze zdradę i niewdzięczność Reiny. A jednak nie potrafił się rozluźnić. Jak ona mogła choćby przez chwilę myśleć, że można zostawić takiego człowieka jak on? Jakim prawem ta gówniara chciała udzielać mu lekcji cierpienia? Wstawał, chodził do łazienki, oglądał swojego penisa, czy przypadkiem nie wychodzi mu jakaś plama, i od czasu do czasu patrzył przez okno.

Czasami, kiedy nie mógł już znieść napięcia ostatnich dni, Camargo kładł się i zamykał oczy w nadziei, że w końcu zmorzy go zmęczenie. Ale niepokój zawsze zwyciężał. Kręcił się przy teleskopie Bushnell, powstrzymując się od patrzenia, ale w końcu ulegał: to, co działo się w oknie naprzeciwko, przyciągało jak magnes, silniejszy od niechęci do wszystkiego, co nim nie było. Zresztą, czy to, co się tam działo, nie było częścią jego: jego dziełem, wolą, zniszczeniem?

Niezdeterminowane poranne światło zacierało kształty i trudno było ustawić ostrość. Z tego, co wypatrzył, kobieta wciąż spała, leżąc w zabójczej dla kręgosłupa pozycji: z wykręconą szyją, niemal opierającą się o ramię, i plecami wygiętymi do tyłu, jak gdyby za długo trzymała poduszkę pod krzyżem i ktoś jej ją wyjął. Na wysokości bioder prześcieradła były zaplamione krwią. Musiało to się stać, kiedy Momirovi pękły krwawe wrzody w pachwinie. Nie potraktowałem jej źle, usprawiedliwiał się. Nie biłem jej. Zrobiłem tylko to, o co pan prosił, *gospodin Cro*.

Po tobie, Camargo, nie został żaden ślad: tego jesteś pewien. Tak samo jak tamtej nocy, kiedy ją filmowałeś, tym razem też opróżniłeś kartony, wylewając sok do zlewu w kuchni, a potem przez dobrą chwilę lałeś wodę z kranu, natomiast puste kartony wsadziłeś do worka i wyrzuciłeś do kosza na ulicy. Niczego już nie można zrobić, żeby usunąć krew. Niech sobie kobieta myśli, co chce. Nie obchodziło cię też, że Momir użył jej ręczników, żeby się umyć. Któż zdoła skojarzyć włóczęgę Witolda Witkiewicza, obywatela polskiego, który za trzy godziny wsiądzie do samolotu do Santiago de Chile, z jakimś nędznikiem odpowiedzialnym za napad na znaną dziennikarkę? Było mało prawdopodobne, żeby kobieta doniosła o wydarzeniu na policję. Nawet nie mogła mieć pewności, czy faktycznie została zgwałcona. Nikogo nie widziała. Może nawet poczuje się winna. Zapomniała zamknąć na zasuwę drzwi od mieszkania i wezwać ślusarza, żeby założył jej zabezpieczenie, tak jak radził jej Sicardi. Pójdzie do lekarza: tego można się spodziewać. Analiza krwi wykaże, że jest zarażona. Ciekawe, jak wtedy powie o tym swojemu kochankowi? A on, co zrobi? Gdyby Camargo był na miejscu tamtego, odniósłby się do takiej historii nieufnie. Idiotyzmem jest brać na poważnie kobietę, która rozbiera się w oknie bez zasłon, wystawiając się na obce spojrzenia, i kołysze prowokacyjnie ciałem. Czy takiej kobiecie można ufać?

Camargo odsunął te myśli, bo był poza wszelkimi podejrzeniami. Wiele razy widział film Elia Petriego, który miał podobny tytuł, *Indagine su un cittadino al di sopra di ogni sospetto*, w którym pewien faszystowski policjant zabija swoją kochankę i wodzi kolegów, podsuwając im fałszywe tropy: jedno z tych arcydzieł kryminalnego intelektu, w którym wydarzenia układają się tak, niemal same z siebie, że ma się wrażenie, iż jedynym winowajcą jest ofiara. Tyle że bohaterowi, granemu w filmie przez Giana Marię Volonté, brakowało umysłowego wyrafinowania Camargo i popełnił fatalne błędy wynikające z arogancji, być może dlatego, że reprezentował autorytarny reżim i wierzył, że jest chroniony. Camargo tymczasem wystarczał sam sobie: był poza wszelkim podejrzeniem i poza wszelką władzą.

Kobieta wciąż oddychała w normalnym tempie. Usta miała otwarte szerzej niż zwykle, może dlatego, że w pokoju zrobiło się duszno. Od czasu do czasu próbowała nieporadnie zmienić pozycję, co uspokajało Camargo. Zmusił ją do wypicia szklanki wody przed wyjściem, podtrzymując jej głowę dłońmi w lateksowych rękawiczkach, których używał przez cały czas, i nie było żadnych śladów świadczących o tym, że wymiotowała. .

Telefon dzwonił na pewno wiele razy przez cały ranek, ale ona była zbyt nieprzytomna, żeby go usłyszeć. Dzwonił zapewne Sicardi, żeby zbesztać ją za nieobecność na kolegium redakcyjnym, a potem Maestro, żeby zajęła się dwiema nowymi dymisjami, które dziś rano znowu zatrzęsły rządem. Wszystko na próżno. Pomyśleli pewnie, że obrażona krytyką Sicardiego przyspieszyła wylot do Rio.

Prawdopodobnie dzwoniła też matka, pomyślał Camargo, i nie zastając jej w domu, wygłosiła całą listę bezużytecznych porad - kiedyś Reina pozwoiliła mu ich posłuchać: nie wychodź za lekko ubrana - powtarzała nawet w lecie - nie kładź się za późno, trzymaj mocno torebkę przy piersi, bo chodzisz nocą sama po ulicach, a przecież wiesz, jakie się teraz zrobiło Buenos Aires. Dzwonił też

pewnie kochanek, dziwiąc się, że nie odpowiada na jego e-maile. I ty też, Camargo, miałeś ochotę usłyszeć ten głos, chociaż wiedziałeś, że nie odbierze telefonu: chciałeś posłuchać jej słów nagranych na sekretarkę, tych jej precyzyjnych instrukcji. A co, jeśli kobieta umrze? Co będzie, jeśli umrze, i będą sprawdzać wszystkie rozmowy?

Camargo zadziwiało to, jak wiele godzin jest w stanie tkwić nieruchomo przed teleskopem, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Czasami drętwiały mu nogi i czuł mrowienie w palcach. Zmieniał pozycje, nie odrywając oczu od soczewki, i siedział tak dalej. Wydawało mu się, że jeśli tylko na chwilę spuści kobietę z oczu, ona przestanie oddychać. Nieraz zdarzyło mu się, że kiedy skupiał uwagę na jakiejś osobie, na ulicy albo w teatrze, czuł, że ta osoba jest kompletnie zależna od jego spojrzenia. Jeśli się na chwilę rozproszy, tej osobie na pewno przydarzy się coś strasznego: uderzy się w głowę o framugę, potknie się albo upadnie, a może potrąci ją samochód.

Teraz nie mógł przestać obserwować kobiety nie tylko po to, żeby przeżyła - w końcu gdyby nie przeżyła, to kara nie przyda się na nic - ale dlatego, że ta kobieta i jego uwaga stopiły się tak bardzo, że trudno rozdzielić jedno od drugiego: wytworzyła się między nimi pępowina, od której, być może, zależała cała rzeczywistość. Gdyby przestał na nią patrzeć, nie tylko ona znalazłaby się poza rzeczywistością, lecz także to, co ją otacza, i on być może też. Wszystko, co tracimy w życiu, znika, bo chcemy, żeby tak się stało, chcemy odsunąć to od siebie. Na pociechę nauczono nas, że straty nie zależą od naszej woli, ale tak naprawdę jest inaczej. Wyszukujemy w rzeczywistości to, co już się od niej oddaliło, pomyślał Camargo, a także to, co nigdy do niej nie należało. Jego oczy były jak pszczoły robotnice, które, żeby żyć, musiały bez przerwy karmić królową ula.

Nie chciał, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał. Wyłączył telefony komórkowe i włączy je tylko na chwilę w południe, kiedy nieobecność kobiety stanie się zastanawiająca. Ulica na dole była zatłoczona nieprzyjemnymi osobnikami, niemal samymi mężczyznami, którzy miotali się wte i wewte i nie należeli do żadnego miejsca: Camargo miał wrażenie, że jeśli któryś z nich rozplynie się w powietrzu, życie pozostałych w ogóle się nie zmieni. Tak naprawdę mogliby zniknąć wszyscy, a i tak rzeczywistość trwałaby bez zmian, bo w tej chwili jedynymi istotnymi osobami byli on i kobieta z naprzeciwka, połączeni magnetycznymi falami jego spojrzenia.

Na służbowej komórce zebrało się piętnaście wiadomości. Był przekonany, że wszystko to zapytania Enza Maestro o to, jak się zachować wobec kryzysu rządowego. A jednak, kiedy do niego zadzwonił, ponure brzmienie jego głosu pozwoliło mu się domyślić, że chodzi o coś gorszego.

- Czemu nie odbierałeś? - zapytał Maestro. - Szukamy cię wszędzie od kilku godzin. Sicardi pojechał do San Isidro, ale twoja gosposia mówi, że nie pojawiłeś się tam od tygodnia.

- Uprzedzałem cię, że będę nieuchwytny. Nigdy nie nauczycie się popełniać błędów na własną rękę?

- Nie chodzi o gazetę, tylko o twoją córkę.

- Brenda znowu do ciebie dzwoniła?

- Dziś rano, koło drugiej Ángela zmarła. Brenda nie mogła cię namierzyć, nie wiedziała, co robić. Odniosłem wrażenie, że jest zdesperowana. Pytała mnie, czy mogą pochować twoją córkę dziś wieczorem, ale uprzedziłem ją, że nie dojedziesz na czas. Czekają na ciebie do jutra rano. Sicardi już ci zarezerwował bilet: wylatujesz dziś wieczorem i o szóstej będziesz w Chicago. Bardzo mi przykro, Camargo. Wszyscy bardzo ci współczujemy.

Gwałtownie pojawił mu się przed oczami obraz Ángeli. Ostatni raz widział ją osiem miesięcy temu, a może dziewięć, ale nie potrafił przywołać żadnego wspomnienia z tamtego dnia. Pamiętał samego siebie spacerującego po niekończących się korytarzach lotniska O'Hare w Chicago i szukającego szpitalnej sali, w której położono Angelę po chwilowej, złudnej poprawie. Ale wspomnienie tych odwiedzin wywietrzało mu z pamięci. Nie mógł nawet pogłaskać chorej po rękę, najeżonej igłami od kroplówek, ale może pocałował ją w czoło. I to wszystko? Łatwiej mu było przywołać obrazy ze szczęśliwego dzieciństwa Ángeli, kiedy siadali razem do pianina i Camargo udawał, że gra Dla Elizy, chociaż nie miał bladego pojęcia, jak to się robi; chodziło o to, żeby córka zastąpiła go za klawiaturą i poprawiała: "Nie, tato, nie tak. Popatrz na moje palce. Widzisz, to najprostsza rzecz pod słońcem!" Łatwiej jest umrzeć niż żyć, prawda, Angelo? Pewniej jest się nie urodzić, niż istnieć. Istnienie, choćby trwało bardzo krótko, zawsze zostawia po sobie jakieś wspomnienia, które zmieniają cię w kogoś innego, w inną osobę. Nie da się zrzucić z siebie wspomnień, tak jak się zrzuca koszulę, i dlatego nie chcesz o niczym pamiętać, Camargo: żeby wspomnienia cię nie zmieniły i nie przeszkodziły być tym, kim jesteś. Po co masz jechać i oglądać martwe ciało twojej córki?

Ángela od miesięcy leżała w łóżku i pewnie bardzo schudła. "Ledwie trzydzieści dwa kilo, tato: wygląda jak ptaszek" - mówiła ci Diana. Jeśli tak ją zapamiętasz, wyczerpaną, zostaniesz osaczony przez ten obraz i wszystkie inne ulegną zatarciu. Każde życie zostawia po sobie jedno wspomnienie, tylko jedno, i Camargo wolał to, co już miał, nie chciał dodawać żadnego nowego, bo przecież mogło okazać się okropne.

- Czy wydawałem jakieś polecenia dotyczące kupowania biletów? - odezwał się. - Niech Sicardi zaraz je odda.

- Czyli nie jedziesz - stwierdził Maestro.

- Nie. Polecę później, jak wszystko się uspokoi.

- A nie potrzebujesz teraz czegoś'?

- Nie. Chciałbym porozmawiać z Dianą, ale natknę się na Brendę.

- Mogę to załatwić. Mogę powiedzieć Brendzie, że masz załamanie nerwowe i że lekarz nie pozwala ci podróżować. Poproszę, żeby dała mi Dianę, i przełączę rozmowę na twoją komórkę. Zgadasz się?

- Tak. Nie wiem. Nie jestem teraz w stanie o czymkolwiek myśleć.

Dopóki kobieta się nie obudzi, on nie może się stamtąd ruszyć: to była jego największa tragedia. W mieszkaniu trzymał butelki whisky, ser i herbatniki, ale nie chciało mu się pić i jedyne, o czym myślał, to patrzeć przez teleskop i obserwować oddychanie kobiety: w górę, w dół, w górę, w dół. Czasami dostrzegał, że dziurki od nosa rozszerzały się bardziej, było to coś niemal niezauważalnego, może westchnienie. Próbował to sprawdzić, przyglądając się jej piersiom, które też powinny się wznosić i opadać, ale skupiając się na jednym ruchu, tracił z oczu drugi: to były zbyt drobne zmiany, a odległość utrudniała obserwację. Ciągle go kusilo, żeby przejść przez ulicę i usiąść na łóżku obok kobiety, żeby móc skupić się na niej, od czasu do czasu dać jej trochę wody, ale nie mógł ryzykować, że nagle się obudzi i widząc go, wszystko zrozumie. Poza tym obawiał się, że przechodząc szybko z jednego mieszkania do drugiego, może zostać przez kogoś rozpoznany. Gdyby przynajmniej wiedział, jak długo będzie działać fenobarbital, byłby spokojniejszy. Może przesadził? Może kobieta zapadła w śpiączkę i nigdy się nie obudzi? Niespodziewanie poczuł strach. Przecież nie jest przestępcą. Nie chciał jej zrobić większej krzywdy, niż zasłużyła. Może powinien poszukać jakiejś budki telefonicznej i poinformować anonimowo o zajściu. Ale wtedy kobieta leżąca w kałuży krwi wywołała policyjną aferę.

Krótko po południu Maestro zadzwonił, żeby mu powiedzieć, że próbowali namierzyć Dianę. Lekarze przypisali jej środki uspokajające i teraz śpi.

- Wiem, że nie powinienem dodawać ci zmartwień, Camargo, ale Reina znowu nie pojawiła się w pracy.

- Pewnie się wkurzyła. Zezłościły ją uwagi Sicardiego. Wiesz, jakie są kobiety.

- Nie chcę się mieszać w nie swoje sprawy, ale czy między wami coś zaszło? Ja nawet myślałem w pewnej chwili, że się pobierzecie.

- Sam mówisz, że nie chcesz się mieszać. I to jest najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić.

- Jestem twoim przyjacielem, Camargo. Kimś najbliższym przyjacielowi, jakiego możesz mieć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ze jestem lojalny i mówię, co myślę. Zachowujesz się w stosunku do niej przesadnie. Popełniła błąd, zgoda. Załatwiła, żeby Fleet Air zapłacił jej za lot do Caracas. To nic takiego. Chciała zdobyć dokument i zdobyła go. I nie żeby sprzedać go do innej gazety. Tylko żeby dać go nam. Nie możemy wyrzucić jej za coś, co robi się codziennie. Chcesz, żeby ją wzięli ci z "El Heraldó"? Zanim do nich zapuka, już jej otworzą drzwi.

- Przestań mnie tym męczyć, Maestro, bo urwę łeb również tobie. Jestem człowiekiem z zasadami. Rozumiesz, co to oznacza? Nie toleruję korupcji. Nie toleruję kłamstwa. Gdzie teraz jest ta kobieta, co? Wyobraża sobie, że gazeta jest dla niej. Robi, co się jej zachce. Podróżuje do Caracas, do Rio, dzwoni do Karachi, do Mozambiku i gdzieś tam jeszcze z telefonów, za które ja płacę. I w dodatku pojawia się i znika, jak się jej podoba. Mam dość. W "El Heraldó" nikt jej nie zatrudni, bądź spokojny. Osobiście się tym zajmę.

Z ulgą odłożył słuchawkę. Życie wydawało mu się jasne i proste. Im dłużej mówił, wpatrując się w nagie, rozciągnięte ciało kobiety, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ma rację. Gdybyś mógł opowiedzieć Maestro o szczegółach tej historii, bez wątplenia przyznałby ci rację. Ale on też gubił się w gąszczu pozorów i pomyłek. Na przykład Maestro nie był świadkiem początków wasze-

go związku, czasów, kiedy ta kobieta była nikim, a ty powoli przyuczyłeś ją do zawodu, w którym z początku wszystko zbijało ją z tropu: tajemnica tytułów, starania o źródła informacji, menuet przymiotników i składni. Nie potrafiła odróżnić pogłoski od prawdy, Maestro; nie rozpoznawała, która z dwóch pozornie identycznych prawd jest lepsza. Kiedy tylko Camargo otworzył przed nią ramiona, wpiła się w niego jak bluszcz. Naśladowała nawet jego sposób oddychania, notowała w zeszytiku pomysły, które on odrzucał, i zdania zatrzymane w połowie, żeby dowiedzieć się, jaka jest różnica między genialnym dziennikarzem, a dziennikarzem przeciętnym. Camargo schlebiał, że go słuchano, i mówił, ciągle mówił, nie zdając sobie sprawy, że im bardziej się przed nią odsłania, tym mniej jest jej potrzebny.

Spacerował z nią po ulicach Steglitz, niedaleko Berlina, gdzie Franz Kafka przeżył najszczęśliwsze miesiące swojego życia z Dorą Diamant, na krótko przed śmiercią. "Skończyłem dzieło, wydaje mi się całkiem udane" - recytował Camargo po niemiecku, powtarzając pierwsze linijki opowiadania napisanego przez Kafkę pod numerem 25-26 na ulicy Heine, "na stole, obok piecyka, pod lampą naftową cudownie się palącą". Kafka wyobrażał sobie, że przyjeżdżając do Berlina - było to we wrześniu 1923 roku - ucieka od "demonicznych sił", kiedy tak naprawdę stało się na odwrót: demony - albo "wróg", jak sam mówił - otoczyły go siecią podziemnych podkopów i tam, w Berlinie, zaczęły się zbliżać, kreśląc labirynt bliźniaczy względem jego życia, tak jak to opisuje w swoim przedostatnim opowiadaniu Schron. Kobieta słuchała go w ekstazie i potem, w pociągach przemierzających Europę z jednego końca na drugi, czytała opowiadania naszkicowane przez Kafkę tuż przed jego końcem, podczas gdy Camargo recytował z pamięci, po niemiecku początek i finał *Józefiny śpiewaczki*, ostatniego i najbardziej wzruszającego z opowiadań.

Zabrał ją do Amherst, Massachusetts, żeby zobaczyła dom i malutkie biurko, gdzie samotna Emily Dickinson napisała kilka z najlepszych wierszy XX wieku, oddalona od świata, w miejscowości liczącej niewiele ponad cztery tysiące mieszkańców, masz pojęcie, Reina? - recytując po drodze, przy wjeździe na szosę numer 116, tuż przed Amherst, kilka wersów, którymi owa kobieta, cierpiąca na zapalenie nerek, zmieniła na zawsze porządek uczuć: *Why should we hurry - why indeed? /When every way we fly/We are molested equally/By immortality.*

Pewnego wiosennego wieczoru zaprosił ją do restauracji na Picadilly na kolację z angielskimi pisarzami, z którymi on, Camargo, starannie wypracował przyjaźń. Zgromadził Kazuo Ishiguro, Martina Amisa, Iana McEwana i Juliana Barnes, zwalczywszy wcześniej wzajemną niechęć niektórych z nich, którzy nie odzywali się do siebie od lat. Po ożywionej rozmowie, podczas której Reina nie otworzyła nawet ust, zaatakowała ich prośbami o prywatne telefony i adresy elektroniczne, z bezczelnością, która zawstydziła gospodarza.

W łóżku była boska, to prawda, i sprawiała, że Camargo, kochając się z nią, wierzył, że jego ciało znów jest młode i niepokonane. Czasami, po ich dzikich obrzędach miłosnych, podczas których ona jęczała bez przerwy, szedł do łazienki i przyglądając się sobie w lustrze kątem oka, odnosił wrażenie, że brzuch mu-stwardniał, a obolałe plecy, zmuszające go do chodzenia z pochyloną głową, jak starzec, prostowały się i harmonijnie komponowały z byczym karkiem. Nawet w chwilach ekstazy kobieta nie mówiła mu, że go kocha. Wydawała dźwięki oznaczające przyjemność, takie jak "już, już", "tak" albo "jeszcze", ale rzadko kiedy na niego patrzyła. Tylko raz, w San Isidro, opuściła głowę na jego pierś i poprosiła, żeby ją pogłaskał.

- Camargo - powiedziała.
- Tak? - odpowiedział zamyślony.
- Nie wiem, czemu tak trudno przychodzi mi kochanie.
- Ale mnie kochasz?
- Tak. Jesteś jedynym człowiekiem, którego kocham.

Kilka dni później pojechała do Kolumbii i nic nie było już tak jak wcześniej. Ten głupiec, którego oddała się tak swobodnie, dokonał szybkiego spustoszenia we wszystkim, czego Camargo uczył ją przez lata. Zmienił Reinę w osobę o wypaczonej moralności: czyli w kogoś, kogo jedynym celem stało się przebywanie z tym drugim. Ciągle chciała do niego wracać, jej środek ciężkości nie był już w niej, tylko sytuował się tam, gdzie sobie tego zażyczył kochanek: w Temuco, w Caracas, w Rio. Była zdolna nawet do największych upokorzeń, byle być blisko niego, i Camargo uważał, że taka słabość to policzek dla miłości, którą ją obdarzył. Maestro nigdy nie zrozumiałby rozmiarów tej zdrady i sprawiedliwości, jaką Camargo wymierzył. Gdyby Maestro poznał choćby wycinek tej historii, nie broniłby kobiety. Nikt nie broni tych, którzy sami dążą do swojej zguby.

Kiedy o siódmej wieczorem zabrzmiał dzwonek telefonu, nawet nie pamiętał, że Diana miała do niego zadzwonić. Kobieta wciąż leżała w tej samej pozycji: tylko raz poruszyła prawą nogą, podkurczając ją pod brzuch. Na dźwięk głosu Camargo, jego córka wybuchnęła płaczem. On starał się wymyślić jakieś pocieszające zdanie, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Chciałabym teraz z tobą być, tato - powiedziała Diana. - Chciałabym być tam i tutaj naraz. - Nie bądź smutna - powiedział.

- Już nie jestem. Po tym wszystkim, co Ángela wycierpiała, taki koniec to ulga.

- Masz taki dorosły głos. Musiałaś' bardzo dorosnąć przez te dni.

- Dorosłam. Rozumiem, że nie mogłeś przyjechać. Wszystko rozumiem.

- Dziękuję - odpowiedział. - Wspaniała z ciebie dziewczyna. Jesteś najlepszą córką, jaką można mieć.

- Wiesz co? Teraz...

Przestał jej słuchać. Ciało kobiety przebiegł wstrząs, zaczęła dygotać, jakby morskie fale biły w nią od środka. Miała otwarte oczy, ale dziwnie utkwione w jakimś punkcie gdzieś poza nią. Oddech stał się szybszy. Poruszała ramionami, szukając świeżego powietrza, ale możliwe, że w pokoju nie było już go ani trochę: możliwe, że przez zamknięcie pozostała tam tylko rozpacz i próżnia. Zdołała wychylić się z łóżka - akurat na drugą stronę, niewidoczną przez okno - i, sądząc po gwałtownych podrygach, zwymiotowała.

- Ángela, muszę kończyć - wybełkotał.

- Co mówisz, tato? Jestem Diana, Diana. Która z nas, twoim zdaniem, umarła?

- Nie wiem, córeczko, nie wiem. Porozmawiamy jutro, kiedy indziej.

Kobieta znowu zwymiotowała i próbowała wstać, ale nie udało się jej. Wyglądało na to, że nawet nie wie, gdzie się znajduje, czas musiał się jej poplątać tak jak i jemu. Przeszłość stała się teraźniejszością, teraźniejszość zamarła, a ona wychodzi z gorączki, jest zachłapana krwią, której jeszcze nie zauważyła, szuka wody: to ją doprowadza do rozpacz, pić, pić, ale ciało jej nie słucha. Straciła ciało, tak jak chciałeś, Camargo, nie może być w sobie ani w nikim innym. Dopiero teraz udaje się jej wstać, zapala światło i to wystarcza, żeby wróciła jej energia. To, co zobaczyła, przerażają, w to nie wątpisz, ale jak ma się obronić przed tym przerażeniem, co może zrobić? Widzisz, jak chodzi, podpierając się o ściany, o meble, zataczając się. W każdej chwili mogą ugiąć się pod nią kolana i runie na podłogę. A mimo to idzie, idzie do okna. Nie musisz już obserwować przez teleskop: jej sylwetkę widać doskonale.

Jest jak postać z piekła. Diabli wiedzą skąd, ale ma trochę wymiocin we włosach. W oczach migocze szaleństwo. Okno stawia opór i to jeszcze bardziej ją pogrąża. A jednak walczy z rozpaczą. Miałbyś ochotę do niej zadzwonić, Camargo. Niewykluczone, że kiedy zda sobie sprawę, że została zgwałcona, zachłapana krwią i ubrudzona, dozna wstrząsu i zrobi coś, czego nie powinna. Ale jej los toczy się już sam. Nie możesz go teraz zmienić. Widzisz, jak uderza pięściami w szybę, szarpie się z framugą, łapie za głowę. Wydaje ci się, że płacze, ale ta kobieta nie płacze: zabrakło jej łez, nie ma już w sobie niczego, a płacz też na nic by się jej nie przydał, bo nie ma przed nią żadnej przyszłości. Natęży się, możliwe, że opiera się kolanem o ścianę, aż w końcu okno ustępuje. Rozwiera się gwałtownie i zimne nocne powietrze wdziera się niespodzianie do środka. Ona wychyla się na pustą ulicę, zawaloną stosami worków ze śmieciami. Jest już ósma i na całej długości alei, pełnej banków i kantorów, panuje okrutna beznadzieja, której kobieta nie zauważa. Wychyla się z okna jak najdalej może, przechyla ciało i krzyczy, z rozpaczą, na całe gardło:

- Pomocy, proszę! Niech ktoś mi pomoże!

Nikt nie odpowiada. Nic się nie dzieje. Ty też nie odpowiesz, Camargo. Usiądziesz w fotelu, obok teleskopu, i będziesz słuchał jej krzyków, dopóki kobieta znów nie zemdleje.

Maestro w końcu przyznaje, że dłużej nie można czekać. Kiedy następnego dnia Reina również nie pojawia się na kolegium redakcyjnym, Camargo wydaje polecenie, żeby wysłać jej telegram ze zwolnieniem z pracy. Sicardi zapisuje sobie wytyczne z radością, której nie umie ukryć: nigdy nie tolerował Remis i złości go to, że udało się jej wepchać na kolana szefa. Tego ranka jego nos wygląda tragicznie. Wyrosły mu nowe wypryski wokół dziurek i nad wargami.

- Czy ta kobieta dała jakiś znak życia z tego Rio? - zapytał Camargo. - O ile w ogóle tam jest.

- Nic a nic - poinformował Sicardi. - Wczoraj dzwonił do niej pięć razy, za każdym razem zostawialiśmy wiadomość. Wysłaliśmy też lekarza, ale nikt nie otwierał. To już jej trzecia nieusprawiedliwiona nieobecność.

- Zatem do dzieła, Sicardi. I po zebraniu przyjdź do mnie, omówimy szczegóły sprawy.

- Proszę pozwolić nam się tym zająć - proponuje Sicardi usłużnie. - Żeby nie musiał pan tracić czasu na drobiazgi, przecież zdarzyła się taka tragedia.

- Mną się proszę nie martwić. Niech pan robi, co powiedziałem.

Szef działu politycznego niepokoi się, bo od wczorajszego wieczoru nikt nie potrafi znaleźć wiceprezydenta. Wyłączył komórkę, nie udziela żadnych wywiadów i nie odbiera telefonów nawet od bliskich przyjaciół. Camargo podejrzewa, że ukrywa jakąś bardzo ważną informację i woli nic nie mówić, żeby nie kłamać.

- Remis by się udało - odważył się Maestro. - Była przy nim przez cały okres kryzysu.

- I może dalej tam jest - kpiąco komentuje Camargo. - Pewnie sprzeda wszystko, czego się dowie, ludziom z CNN. Po tej dziewczynie można się spodziewać najgorszego.

- Jesteś okrutny - odpowiedział Maestro. - To prawda, wystawiła nas do wiatru. Ale dała nam to, co miała dać. Dla niektórych ludzi ważniejsze od pracy są życiowe przyjemności.

- Nie ludzi, tylko kobiet. Uważają się za lepsze od innych. To one zabiły Boga, żeby zająć jego jeszcze ciepłe miejsce.

Resztę poranka Camargo wykorzystuje na telefony do naczelnego "El Heraldo" i szefów trzech tygodników, które jeszcze utrzymały się w Buenos Aires. Po wysłuchaniu patetycznych wyrazów współczucia po śmierci Angeli, informuje ich, że jedna z głównych redakterek z "El Diario", Reina Remis, którą wszyscy znają, przyjęła łapówkę od pewnej linii lotniczej, niewykluczone, że także od sieci hoteli, i manipulowała informacjami na korzyść tych firm. Ostrzegalem ją kilka razy, mówi Camargo oschłym tonem, ale mimo to nie przestała. Nie miałem innego wyboru i musiałem ją zwolnić. Jestem pewien, że prędzej czy później przyjdzie do was w poszukiwaniu pracy. Nie sądzę, żeby warto było ją zatrudniać i, szczerze mówiąc, uznałbym to za osobistą obrazę.

Jeden z szefów, który obnosi swoją bezczelność, komentuje złośliwie: Reina Remis? Dziwne. Myślałem, że jesteście parą. Tym gorsze jest jej wykroczenie, odpowiada Camargo. Byłem dla niej hojny. Dopuściłem ją do czegoś, na co nie zasługiwała. Tak jak zdradziła naszą firmę, zdradzi każdą inną.

Aha, Sicardi. Misja, którą mu powierzy, ma kluczowe znaczenie. Szef działu kadr już od dziesięciu minut czeka na stojąco w przed drzwiami jego gabinetu. Sekretarki mówiły mu, że Sicardi, kiedy wchodzi na pokoje naczelnego, wbija wzrok w podłogę, jak gdyby ciążyła mu tak wysoka funkcja i nie wierzy w swoje szczęście, że może tam pracować i obdarzany jest takim zaufaniem.

- Sicardi: zdradzę ci coś, czego nie powiedziałbym nikomu innemu - mówi Camargo. Szef kadr czuje, że te słowa wystarczą, żeby usprawiedliwić sens jego życia.

- Może pan na mnie liczyć, doktorze Camargo - odpowiada, mimowolnie podkreślając osobistą gotowość pomocy. - Nie jestem Reinal Remis.

- Wiem o tym. Chciałbym, żeby ta rozmowa została między nami.

- Tak też będzie.

- Usiądźże, człowieku. Niezręcznie tak rozmawiać.

- Błagam, by pozwolił mi pan pozostać w pozycji stojącej.

- Grożono mi przez telefon, Sicardi. Ktoś udawał głos Octavia, naczelnego "El Heraldo" i kiedy odebrałem, usłyszałem: Jeśli będziesz zadzierał z Remis, jesteś trupem. Może cię potracić samochód albo porazi cię prąd, kiedy dotkniesz telewizora.

- Powinniśmy złożyć doniesienie na policję, doktorze!

- Po co? Żeby tracić czas? Nie, Sicardi. Najlepiej włamać się do skrzynki e-mailowej tej kobiety, Remis, i przekonać się, do kogo pisuje, co o nas mówi. Ci, którzy mi grożą, na pewno tam będą.

- Z włamaniem nie ma problemu, doktorze. Mamy hasła. Ta kobieta używa dwóch skrzynek: naszej gazetowej i jednej prywatnie. Mogę się dostać do obu. Zawsze byliśmy ostrożni.

- Moje hasło też pan zna, Sicardi?

- Nie mamy innego wyjścia, doktorze Camargo. Musimy być gotowi na wszystko, Boże uchroni.

- W takim razie proszę o dane. Sam przejrzę potem te wiadomości.

- Bardzo proszę, żeby pozwolił mi pan sobie coś doradzić. W biurze kadr trzymamy rewolwer Taurus, kaliber 38, tak na wszelki wypadek, na takie sytuacje, w jakiej pan się znalazł. Ma legalne

papiery, pozwolenie wystawione dla kadry kierowniczej "El Diario": wszystkie te sprawy są uregulowane. Proszę wziąć ten pistolet, tak na wszelki wypadek. Będziemy się czuli pewniej.

- Dziękuję. Prawdziwy z pana przyjaciel.

Camargo wyciąga w jego stronę dłoń, serdecznie, nie zastanawiając się, co to oznacza dla Sicardiego. Gdyby podał mu rękę do ucałowania, szef kadr zrobiłby to bez wahania. Ale uścisk tej dłoni, to było coś niewyobrażalnego.

- Bardzo przepraszam, ale ja już sobie pójdę. Uścisk pańskiej ręki to dla mnie zbyt wielki zaszczyt.

- Niech pan da spokój, Sicardi - mówi Camargo. Ale Sicardi tylko pochyla głowę i wycofuje się tyłem w stronę drzwi.

Tak jak przewidział Camargo, Reina nie dzwoni na policję. O szóstej rano budzi swoją matkę i prosi o pomoc.

- O tej godzinie, córeczko? - słyszy głos pełen wyrzutu. - Przecież wiesz, że nigdy nie wstajemy z twoim tatą przed dziewiątą.

- Potrzebuję cię, mamó. Przecież nigdy o nic nie proszę.

- Takie to ważne, że trzech godzin nie możesz poczekać?

Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że samotność ma swój ciężar, swoją siłę ciężenia, napięcie spychające prosto w otchłań. Czuje to teraz na własnym ciele i nie wie, jak sobie z tym poradzić. Może zadzwonić do Germana, ale co mu powie? Że ktoś wszedł w nocy do jej mieszkania i ona nie wie, co się wydarzyło? Zgwałcili ją, jest tego pewna, i zaplamili prześcieradło krwią, chociaż nie znalazła u siebie żadnej rany, czuje tylko silny ból w podbrzuszu. Germán pewnie się zdziwi, jakim cudem coś tak okropnego jej nie obudziło. Nie wiem, odpowie ona, zemdlałam. Takie wyjaśnienie brzmi niewiarygodnie. Tak czy inaczej, przecież musi do niego zadzwonić! Wie, że jego telefon w Bogocie stoi daleko od sypialni, w gabinecie, i że o tej porze będzie mogła co najwyżej zostawić mu wiadomość. Co mu powiedzieć? - powtarza. Zastanawia się nad jakimiś zdaniem, które za wiele nie zdradza, ale jednocześnie przekażą jej nagłą potrzebę zobaczenia się z nim, schronienia się w jego ramionach. Tysiąc razy obiecywał, że kiedy tylko ona zechce, przybiegnie do niej. "Zawsze - mówił - zawsze". Reina uśmiecha się na wspomnienie jego śmiesznego akcentu: "Strasznie mocna jest moja miłość do ciebie, dziewczyno, strasznie". Może więc przemówić do niego tym samym językiem? "Moja miłości straszliwie mocna - odzywa się, kiedy tylko milknie bip bip automatycznej sekretarki. - Dałbyś radę przyjechać teraz do Buenos Aires? Jak najszybciej. Jeszcze dziś, błagam: pierwszym możliwym lotem. To nie jest kaprys, Germán. To nie tylko dlatego, że mi ciebie brakuje. Jesteś jedyną osobą na świecie, na którą mogę liczyć, a stało się coś okropnego. Odpowiedz, proszę, odpowiedz. Będę prawie cały dzień w domu, od dziesiątej albo jedenastej rano. Kocham cię".

Nie wie, co powinna zrobić najpierw: sprawdzić, jak włamano się do środka, czy zadzwonić po lekarza. Szpitale stały się teraz przytułkami śmierci, nie zdrowia. Sale przyjęć pełne są rannych, a od tych, którzy nie stracili przytomności, powoli wyciąga się wszystkie pieniądze na gazę, bandażę, spirytus. Zawsze czegoś brakuje, a czekanie nigdy się nie kończy.

Zakłady ślusarskie i tak są o tej godzinie zamknięte, pozostaje jej więc tylko rozmowa z ginekologiem. Jest szósta trzydzieści rano, jest tego świadoma. W telefonie słyszy tylko nagrane głosy podające inne numery, a potem jeszcze inne. Nierozsądnie jest dzwonić do jego domu: lekarz odbierze w złym humorze, ale nic jej to nie obchodzi. Zapłaci mu, ile trzeba. Jedna z niewielu użytecznych nauk Camargo brzmi, że kiedy uderza cię grom choroby, musisz użyć wszystkich swoich oszczędności, żeby ją powstrzymać. Camargo, właśnie, może zadzwonić do niego? Ale co to da? Przecież ją uderzył, a ostatnie dni w pracy zamienił jej w piekło. Maestro też nie można zaufać: Camargo i on poruszani są tymi samymi trybami.

Niech pan odbierze, panie doktorze, niech pan odbierze, błaga Reina, aż w końcu odbiera. Zaczyna od przeprosin. Nie przeszkadzałyby o takiej porze, gdyby to nie była poważna sprawa. Jak poważna? - pyta nieufnie lekarz. Zgwałcono mnie w moim mieszkaniu, czy pan wie, jak ja się teraz czuję?

Lekarz jest skrupulatny: mówi tak, jakby miał na sobie chirurgiczny kitel, aseptyczne rękawiczki i maseczkę deformującą mu głos. Może powinniśmy zawiadomić policję, mówi. Chyba, że już pani dzwoniła? Panie doktorze, pan jest jedyną osobą, jakiej mogę zaufać w takim wypadku. Jak może

mi pan radzić, żebym szła z tym na policję? Mieszka pan w Buenos Aires czy w Oslo? Wie pan, co się dzieje z kobietą, która skarży się na to, co ja? Na policję nie zamierzam iść. Czy przyjmie mnie pan, czy mam dzwonić gdzie indziej? Niech pani idzie do laboratorium Primus Inter Pares, odpowiada swobodnie lekarz, jak gdyby gniew pacjentów był jego żywiołem. Zadzwońię i uprzedzę ich, żeby zrobili pani analizę krwi i śluzu z pochwy. Nie dowiemy się dzisiaj, czy została pani czymś zarażona, ale w takich wypadkach należy zastosować wszystkie środki ostrożności, panno Remis. Czy zauważyła pani u siebie jakieś zmiany skórne? Nie, Reina nie zauważyła niczego takiego. Nie dotykała też praktycznie podrażnionych okolic: sprawdziła tylko, czy nie jest skaleczona, i przemyła się gąbką. Nawet nie wie, co to mają być za zmiany. Pchły, wszy, wyjaśnia lekarz. Mój Boże, odpowiada ona, chwileczkę, zaraz sprawdzę. Tak, coś jest, coś się rusza. Proszę się nie niepokoić, to są pasożyty, łatwo się ich pozbyć. Po zrobieniu analiz proszę przyjść do mnie do gabinetu. Będą na panią czekał od dziewiątej. Jeśli pani chce unikać policji, zrobimy tak, ale to nie jest zbyt dobre posunięcie. Jest pan dziennikarką, pisała pani w swojej gazecie o poważnych sprawach. Agresja, z którą pani się zetknęła, może się powtórzyć.

Reina łączy się z Internetem, czekając na wiadomość od Germana. O wpół do ósmej rozbrzmiewa dzwonek telefonu i pędzi do niego, uderzając się w kolano. To, co słyszy, rozczarowuje ją: to matka, dręcząca ją wyrzutami.

- No i widzisz, co narobiłaś, Reina - mówi. - Od kiedy zadzwoniłaś, nie zmrużyliśmy z tatą oka. Wciąż ci zależy, żebym przyjechała?

- Nie, mam. Już rozwiązałam ten problem. Dziękuję.

- Widzisz, i po co było robić tyle szumu?

- Masz rację. Przykro mi, że cię obudziłam. Przepraszam.

- A można wiedzieć, co się stało?

- Drobiazg, mam. Kłótnia w pracy.

- Jeśli ci się powtórzy coś takiego, odczekaj chwilę, zanim zadzwonisz, Reina. Wiesz przecież, że kiedy śpimy mniej niż dziesięć godzin, przez cały dzień nie nadajemy się do niczego.

- Rozumiem, mam. Powiedziałaś, że mi przykro.

- Bo czemu człowiek miałby się budzić, ja się pytam. Ten świat to samo zło i cierpienie, cierpienie i zło.

Poranek był lodowaty, ale kiedy tylko wzeszło słońce, powietrze gwałtownie się nagrzało i nic nie jest już takie samo. Reine słońce zawsze kojarzy się melancholijnie, nie oznaczają, że wszystko się zaczyna, tylko wręcz przeciwnie: to dowód na to, że wszystko kiedyś się skończy. Reina ubiera się powoli, wciąż czekając na telefon. Kiedy się msza, czuje ból w plecach, w karku, w stawach, i nie rozumie dlaczego. Palenie w kroczu jest zrozumiałe, ale pozostałe urazy trudno wytłumaczyć: nigdzie nie widzi śladów po uderzeniach ani siniaków. Włącza telewizor i odkrywa, że dziś jest inny dzień, niż sądziła. Zgubiła gdzieś dwadzieścia cztery godziny, nie wiadomo jak, może zniknęły w jakimś koszmarnym śnie, w którym ona wciąż tkwi, może już nigdy nie wyrwie się z tej osaczającej ją, lepkiej rzeczywistości. Gdzieś we wnętrzu głowy słyszy buczenie, nieuchwytnie i natrętne, jak gdyby miała w środku ul, w którym bez przerwy uwijają się tysiące robotnic. To pewnie nasienie jakiejś choroby, która drży i narasta, wściekła królowa pszczół, co im wyżej polecą, z tym większym bólem skona.

Ciągle pije wodę i nigdy nie ma dość. Z wyjściem do laboratorium na analizę zwleka aż do piętnaście po ósmej, w nadziei, że Germán wstanie i oddzwoni. Głupia! Zapomniała, że w Bogocie mają o dwie godziny wcześniej niż w Buenos Aires, a Germán mógł pracować do świtu. Najgorzej by było, gdyby już wyjechał, ale to niemożliwe. O ile Reina nie myli się w obliczeniach, jutro mają spotkać się w Rio, więc przecież nie mogłyby wyjechać nigdzie indziej. Chyba, że się pośpieszył i jest już w Brazylii, i czeka na nią, ale wtedy zadzwoniłby wcześniej. Na sekretarce nie ma innych nagrań niż napomnienia Sicardiego, że nie ma jej w pracy, oraz przyjacielskie ostrzeżenie Maestro: "Ech, dziewczyno, dziewczyno, gdzie ty się podziewasz?"

W laboratorium i u lekarza potwierdza się to, czego tak bardzo się obawiała: mężczyzna, który ją zaatakował, był zarażony całą masą chorób wenerycznych. Dopiero po upływie czterech do sześciu tygodni będą mogli stwierdzić, czy nie została jeszcze zainfekowana HIV-em. Trzeba jednak zaatakować chorobę, zanim uderzy. Lekarz zapisuje jej cały stos antybiotyków, bo od zaraz - od zaraz, powtarza - Reina musi zacząć brać koktajl anty-AIDS.

- Może pani odczuć nieprzyjemne efekty uboczne - uprzedza. - Anemia, stany lękowe, niewysoka gorączka.

- Muszę polecić jeszcze dziś wieczorem do Rio - mówi Reina.

- Niech pani to sobie wybije z głowy. Na kilka miesięcy musi pani zapomnieć o podróżach. Powinien ktoś przy pani być i zaopiekować się. To, co się stało, to poważna sprawa.

- Ale w Rio ktoś na mnie czeka. Przeleciał tysiące kilometrów, żeby się ze mną zobaczyć.

- Jeśli potrafił dotrzeć do Rio, dotrze też do Buenos Aires. Bardzo możliwe, że będziemy musieli powtórzyć analizy.

- Co mi się może stać, jeśli mimo wszystko polecę?

- Nie wiem, nie chcę zgadywać. Stała się pani ofiarą seksualnego ataku dokonanego przez kogoś bardzo chorego, panno Remis. Proszę sobie wyobrazić możliwe konsekwencje.

- Ile to wszystko może potrwać?

- Jeśli będzie pani miała szczęście - kilka miesięcy.

- Nigdy nie mam szczęścia. Czyli ile to może być?

- Może nawet całe życie.

Nienawidzi mieszkania, do którego musi teraz wrócić. Nienawidzi chromowanych poręczy na schodach, cichej windy, ścian pomalowanych na trupioblady kolor, aseptyczności tego miejsca, tych luster. Nienawidzi beznadziei panującej na ulicy i uciążliwych nocy, podczas których nic się nie dzieje, co najwyżej nieszczęścia: wolałyby znaleźć się na równinie, podczas burzy, bo wszystko wydawałoby się czystsze niż w tym mieście, w którym za dnia toczy się wirtualne życie, a nocami grasuje prawdziwa śmierć. Ale teraz nie może się stąd wynieść. Bo nie ma gdzie pójść. Matka powiedziała na to: Jak możesz tak mówić, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy! Czy nasz dom nie jest twoim domem? Czy nie masz już ochoty jeździć w niedzielę do Longchamps z twoim ojcem i galopować na kasztanku, którego utrzymujemy i czyszcimy tylko po to, żebyś ty mogła na nim jeździć? Wspominanie rodzinnego domu napawają większym lękiem niż myśl o chorobie i nieszczęściu: przestałyby być sobą, cofnęłyby się do fazy larwalnej, do klasztornej posłuszeństwa, do zasad bezlitosnej matki przełożonej. Na czystym niebie panowałby jedyny bóg i zgasłaby wolność myślenia o bliźniaczych Mesjaszach, o świecie stworzonym przez Kobięcy Początek i o ostatecznym zwycięstwie biednych nad potężnymi. Bez wolności zostanie już tylko gniew i nieszczęście, a ona nie będzie sobą, tylko swoją matką.

Nie. Musi wrócić to tego znienawidzonego mieszkania, bo tam, przy łóżku, które chciałyby rozwalić i spalić, stoi telefon, i tam zadzwoni Germán, o ile jeszcze tego nie zrobił.

Światelko na aparacie sygnalizuje brak wiadomości. Podnosi słuchawkę, żeby się upewnić, czy linia nie jest zepsuta, i niecierpliwie wykręca 113, gdzie monotony głos wymierza rytm czasu: jedenasta godzina, szesnaście minut, czterdzieści sekund. Co się dzieje? Czy Germán nie powinien był już wstać? Musi spróbować jeszcze raz. Jeszcze dwa dni temu komunikowali się bez problemu, udawało się za pierwszym razem. Po drugiej stronie ponownie odzywa się ta irytująca maszyna. "Kochanie, kochanie - mówi mu. Czuje, że głos zaczyna jej drżeć, i bierze głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Jestem w domu i czekam na twój telefon. Nie mogę polecić do Rio. Słyszałeś? Nie mogę. Natomiast uszczęśliwiłbyś mnie, gdybyśmy zamiast tego spotkali się w Buenos Aires. Potrzebuję cię. Kocham".

Ledwie tylko odłożyła słuchawkę, ktoś zadzwonił do drzwi. Dziwne. Zawsze w tym domu panowała taka absolutna samotność, tak przemożna, że dzwonek ją przestraszył. Tylko Camargo odwiedził ją kilka razy. Przez wziernik dostrzega posłańca pocztowego, w klasycznym niebieskim mundurze z żółtym monogramem. Wszystko, czego nie zna, kojarzy się jej teraz ze śmiercią. Dwie noce temu nie tylko zarazili ją chorobami wenerycznymi, została również skażona podstępą paranoją, poczuciem słabości, z którym nie wie, co począć.

- O co chodzi? - pyta.

- Telegram - odpowiada szczerzy, uczciwy głos. Skąd można mieć pewność, że to nie powraca gwałciciel?

- Proszę mi go podać pod drzwiami.

- Musi pani podpisać.

- Proszę podać, jak zobaczę, to podpiszę.

Wiele jest światów i wystarczy, że jeden się zwali, by posypały się wszystkie inne. Telegram, podpisany przez Sicardiego, informuje ją, że "El Diario" zwalnia ją z obowiązków od dnia dzisiaj-

szego, na podstawie takiego i takiego paragrafu. Jeśli Reina dobrze rozumiała, wyrzucają ją za szkody, jakie wyrządziła firmie, oraz nieusprawiedliwione nieobecności. Odmawiają też wszelkiego prawa do odszkodowania. Będzie musiała teraz żyć z przegniłymi wnętrzościami, założonymi rękami i pustym horyzontem. Pozbawili ją wszystkiego, ale przecież póki ma Germana, ma wszystko. Nie można myśleć, tak jak matka, że najlepiej jest się nie budzić, bo świat to zło i cierpienie. Przewycięży nieszczęście i znowu stanie się sobą, będzie niezniszczalna. Wtedy rozbrzmiewa telefon.

- Co to za okropna historia ci się przydarzyła, kochanie? Co to za pomysł, że nie jedziesz do Rio?

Reinę boli, że Germán przybiera taki frywolny ton, w ogóle nieporuszony tym całym ładunkiem niepokoju zawartym w jej wiadomościach. Boli ją, ale kocha go.

- Wolalabym nie opowiadać ci tego przez telefon. Potrzebuję cię, mówiłam ci. Ile razy mam ci powtarzać, że cię potrzebuję?

- Nie bądź dziecinna, Reina. Mieliśmy się zobaczyć jutro rano w Rio, nie? Mam tam robotę, której nie mogę olać, i ty też miałaś tam sprawę do załatwienia. Dlaczego mamy zmieniać plany, kiedy zostało już tylko dwadzieścia godzin?

- Germán: zostałam zaatakowana. Tutaj, w moim własnym mieszkaniu. Możesz to zrozumieć?

- Jesteś w domu, a nie w szpitalu - tyle rozumiem. Jeśli cię okradli, przyjedź do Rio, a zrekom-pensuję ci wszystko miłością. Poza tym wygląda na to, że to nic strasznego. Twój głos brzmi świetnie.

- Mówię poważnie. Tak poważnie jak nigdy w życiu. Jest ze mną źle, Germán. Nie polecę. Nie mogę.

Jego głos twardnieje, robi się szybki jak górski lawina.

- A ja nie mogę zmieniać planów. Od dwóch miesięcy zabiegam o ten wywiad. Nie zgodzą się na przesunięcie terminu. Zresztą nie chcę, żeby przesunęli.

- Jest siedem albo osiem lotów dziennie z Rio do Buenos Aires. To tylko dwie godziny. Mógłbyś wylecieć jutro wieczorem i wrócić wcześniej rano następnego dnia. Czy to cię nie przekonuje?

- Nie, Reina. Mam czterdzieści lat i nigdy, słyszysz, nigdy nie pozwoliłem na to, żeby jakaś kobieta mną manipulowała. Daruj sobie te kaprysy, kochanie. Jeśli masz ochotę na romantyczną noc, Copacabana jest lepsza niż La Boca. A jeśli wolisz nie jechać do Rio, będzie jeszcze okazja. Zawsze jest.

- Jestem idiotką - mamrocze ona.

- Nie byłbym wobec ciebie taki bezwzględny. No dobra, wytłumacz mi, co jest grane. Opowiadaj, co się stało.

- Kocham cię, Germán. O to chodzi. Kocham cię bez pytań i warunków. Powiedzieć ci o tym, co się stało, byłoby najprostszą rzeczą pod słońcem, ale musisz mi ufać. Jeśli proszę cię, żebyś przyjechał, to dlatego, że tak musi być, właśnie tak.

- Ja też cię kocham, Reina, ale nigdy nie podporządkowywałem się zachciankom innych. Nigdy, od kiedy wyszedłem z domu w wieku dziewiętnastu lat.

- Tym razem to nie jest żadna zachcianka. To potrzeba, nagły przypadek. A jeśli mam mówić jaśniej, to nieszczęście.

- Ale to ja decyduję. I postanawiam, że nie pojadę do Buenos Aires. Jeśli mnie kochasz, tak jak mówiłaś, czekam na ciebie w Rio. A jeśli nie, jeszcze gdzieś się spotkamy. Mamy całe życie przed sobą.

- Całe życie, mówisz.

- Tak. Jutro. Albo kiedy indziej.

- Jutro? Zawsze śmieszyło mnie to słowo. Jutro to nigdy.

Odkładając słuchawkę, ze zdziwieniem stwierdza, że ma już w sobie tylko pustkę i zmęczenie: bezkresną równinę, za którą kończy się świat. Czuje, że straciła ducha: to, co bliźniaczy Mesjasze nazywali duchem, chyba się w niej wyczerpało, osiągnęło kres, w którym wszystkie formy i doświadczenia ulegają zanegowaniu lub afirmacji. Dwie negacje wystarczają, żeby stworzyć afirmację, napisał Nietzsche. A co tworzą trzy negacje? Jaką siłę można znaleźć w sobie po tym, jak się zostało zgwałconą, wylaną z pracy i wyrzuconą z miłości w ciągu kilku godzin?

Po twarzy ciekną jej łzy, ale jakie to ma znaczenie: jej charakter, źródło energii, nie zostały tknięte przez nieszczęście. Chwyta słuchawkę telefonu i czuje, że teraz naprawdę zaczyna nowy dzień. Zadzwoń do naczelnego "El Heraldo" i do szefa tygodnika "Epoca". Powiedzieli jej kiedyś, że jeśli tylko zechce, rzucają jej u stóp złoty dywan i pozwolą pisać, o czym tylko zapragnie.

Dziką kobietę zawsze łatwo okiełznać, powtarzał sobie Camargo przez cały tydzień po gwałcie. Szekspir daje pokazową lekcję sztuki tresury w jednej ze swoich wczesnych komedii, wystawionej w 1592 roku, a może nawet wcześniej, ale Camargo udoskonalił tę metodę. W osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych przedstawieniach Poskromienia złośnicy Petruccio przechadzał się po scenie z biczem o wielu końcówkach: symbolem poskramiacza. A Katarzyna, obłaskawiona kobieta, ochoczo broniła dyscyplinarnych okrucieństw swego męża: "Złości mnie, że to wszystko, co czyni, dzieje się w imię największej miłości*". Żeby poskromić Reinę, Camargo nie potrzebował chłostać jej ani morzyć głodem, tak jak Petruccio Katarzynę. Wystarczyło ją zmusić, żeby zmierzyła się ze swoją słabością, swoją małością, swoim nieustannym uzależnieniem od mężczyzny, który wciąż ją kocha.

Camargo krok po kroku śledził rozczarowanie, jakie wywołał w jej sercu kolumbijski dziennikarz. Sądząc po e-mailach, ten człowiek nigdy jej nie doceniał ani nie kochał. Jedną z zagadek uatrakcyjniających kobiecą naturę Reiny jest upór, z jakim wymyśliła sobie idealnego kochanka, któremu przypisała atrybuty istniejące jedynie w jej wyobraźni. Chyba że - myśli Camargo - przypisała mu siłę, władzę i talent właściwe innemu mężczyźnie - komuż innemu, jeśli nie samemu Camargo? - tak jak synoptyczni ewangelści postąpili z bliźniaczymi Mesjaszami.

Ten dziennikarz, Germán, wysłał do niej z Rio wyjątkowo niezręcznego e-maila: Jeśli mnie kochasz tak, jak mówisz, to będę tu jeszcze na ciebie czekał przez dwa dni. Jak możesz tak szybko zapomnieć o tej wiecznej miłości, jaką przyrzekałaś mi w Temuco? Może ona źle mu to wytłumaczyła, nie opowiedziała o koszmarze napadu. Bo jeśli powiedziała, to ten dziennikarz jest narcystycznym idiotą. Powinna się zwrócić do niego, do Camargo. Starczyłby jeden telefon, a poleciałby do niej jak na skrzydłach, bez wahania. Ale kobieta nie zniżyła się nawet do udzielenia odpowiedzi na telegram Sicardiego: nie broni się, nie dyskutuje, nie usprawiedliwia. Jak zwykle gubi ją duma. Najgorsza duma to taka, która uderza w samą siebie, a Reina właśnie takiej podstępnej trucizny użyła w krótkim e-mailu wysłanym w odpowiedzi dziennikarzowi: Miłość, niestety, nie jest wieczna. Więcej do mnie nie pisz. .

Camargo zwiększył swą czujność, bo teraz kobieta może potrzebować go bardziej niż kiedykolwiek. Większą część nocy spędza bezsennie, przed teleskopem Bushnell, czekając, kiedy ona wreszcie wróci do dawnych zwyczajów. Teraz nie rozbiera się już powoli, nie wychodzi z łazienki owinięta w ręczniki, tak jak kiedyś. Większą część dnia spędza w pozycji leżącej, czytając albo oglądając telewizję. Telefon nie dzwoni, a przynajmniej ona nie odbiera. W tym tygodniu musiała być u ginekologa trzy razy, a z tego, co udało się ustalić Sicardiemu, zażywane przez nią lekarstwa pustoszą jej organizm: jest opuchnięta, ma ataki kaszlu, a włosy, kiedyś błyszczące i puszyste, są zupełnie zniszczone.

Od kilku dni Camargo nie korzysta z usług kierowcy, który dotychczas go woził. Teraz sam prowadzi służbowe samochody, żeby nie wyszły na jaw jego częste wizyty na ulicy Reconquista. Tak naprawdę mógłby przejść tych kilka przecznic dzielących biuro od mieszkania pieszo. Tyle że idąc pieszo, nie wiedziałby, czy nie jest śledzony.

W sobotę w roztargnieniu przejechał przez jedno z najbardziej ruchliwych skrzyżowań na ulicy Corrientes na czerwonym świetle. Rozpędzony autobus uderzył w jego samochód z boku i o mało go nie przewrócił. Samochód nadawał się do kasacji, ale jemu nic się nie stało. To znak, że szczęście znowu mu sprzyja. W niedzielę rano, kiedy już miał zrezygnować z obserwacji i zdrzemnąć na chwilę, zauważył, że kobieta wstała z nadspodziewaną zrećznością i włożyła strój jeździecki: bryczesy, wysokie buty, kurtkę i toczek. Przed siódmą wsiadła do taksówki i odjechała w nieznanym kierunku. Wszystko stało się tak szybko, że Camargo nie zdążył wyjść na ulicę i pojechać za nią inną taksówką. Cieszy go to, że kobieta wraca do dawnych przyzwyczajzeń. Ma teraz pewność, że wszystko znów będzie po staremu.

Po raz pierwszy od kilku tygodni udaje mu się odprężyć i spokojnie zasnąć. Około czwartej po południu budzi się i ogarnia go niewzruszona pewność: zadzwoni do Reiny jeszcze dziś wieczorem i spróbuje ją odzyskać. Mało prawdopodobne, żeby go odrzuciła, bo nie ma już przeszkody, która wcisnęła się między nich: dziennikarz od czterech dni nie daje znaku życia i wygląda na to, że pogodził się z końcem romansu. Poza tym ona nie ma nic do stracenia, za to on, owszem, ryzykuje

* Przetłumaczył Maciej Słomczyński

bardzo dużo. Mężczyzna, który nie boi się szyderstw ani zarażenia, bo jest ponad to wszystko, al di sopra di ogni sospetto. Unosi się tak wysoko, że nic nie może go splamić. Ma w sobie tyle światła, że wszystko, czego tknie, błyszczycy i jest bezpieczne.

Tak jak dawniej w niedziele, kobieta wraca z jazdy konnej bardzo późno, około dziesiątej. Towarzyszy jej para starych wieśniaków, tak niepasujących do tej bezosobowej i poważnej okolicy, że po zaparkowaniu rozklekotanej furgonetki Forda przed budynkiem Reiny nie wiedzą, jak się zachować. Przez trzy albo cztery minuty siedzą nieruchomo w kabinie pojazdu. Być może zastanawiają się, czy wejść do mieszkania córki - Camargo nie ma wątpliwości co do pokrewieństwa: ich podobieństwo do kobiety rzuca się w oczy - czy wracać do Androguet. Wspominając rodziców, Reina nigdy nie chciała wchodzić w szczegóły i teraz Camargo rozumie już dlaczego: są dokładnie tacy sami jak ich córka, a jednocześnie bardzo odmienni, jak gdyby zrodzili z siebie jakiś nieznaną im gatunek. Mężczyzna jest łysy, ma małe usta i wystający podbródek. Matka porusza się w identyczny, jakby falujący sposób, a kiedy się śmieje, swobodnie odsłania dziąsła. Z daleka wygląda na to, że mają popsute zęby, ale teleskop jest zbyt mało precyzyjny, by to potwierdzić. Natomiast Camargo nie ma wątpliwości, że Reina się ich wstydzi: widać, że waha się, czy zaprosić rodziców do środka i pokazać im swoje bezosobowe mieszkanie, czy pozwolić, żeby sobie pojechali, bo jest już późno i cały dzień spędzili przecież razem.

I tak też się w końcu dzieje. Kobieta wchodzi do sypialni i powtarza kilka szczegółów swojego dawnego rytuału: męczy się, ściągając buty, i zdejmując rajstopy, podnosząc wysoko nogi, trochę za proste jak na gust Camargo i o zbyt grubych kostkach, chociaż ozdobionych delikatną plamką, pieprzykiem, który on rozpaczliwie chciałby pocałować. Również tym razem Reina ściąga bluzkę przez głowę i sprawdza zapach pod pachami. Nie wiadomo, czy przed wyjściem wzięła kąpiel. Nie wykluczone, że wykapała się w czasie krótkich drzemek, w które Camargo mimowolnie zapadał, ale nawet jeśli tak, to po całym dniu jazdy zapach mydła na pewno wywietrzał, ustępując miejsca wyziewom jej skóry. Kolejny raz Camargo przygląda się bliźnie, jaką kobietą ma poniżej pępka, tuż nad włosami łonowymi, źle zagojona pozostałość po operacji wycięcia wyrostka w dzieciństwie. Kobieta zawsze rozmawia o swojej przeszłości wymijająco i zareagowała z wrogością, kiedy Camargo odważył się ją zapytać, kiedy i z kim straciła dziewictwo, albo jakie było najmocniejsze przeżycie seksualne w jej życiu.

Teraz widzi, że włącza telewizor, i postanawia do niej zadzwonić, zanim wciągnie się w jakiś program. Ona podnosi się na łóżku, zdziwiona telefonem o takiej porze, i po chwili wahania podbiega do aparatu. Może myśli, że to kolumbijski kochanek pragnący pojednania.

- To ja - mówi Camargo.

- Jaki ja?

- Kiedyś nie musiałaś pytać. To ja, ten, co zawsze...

- Jeśli to ty, to powinieneś już wiedzieć, że masz dać mi spokój.

Jest czerwona z wściekłości. Camargo po raz pierwszy widzi eksplozję gniewu, który zbierał się od miesięcy. Ale nie odłożyła słuchawki: to już dużo. Może szukając po omacku, uderzył w jakąś jej czułą strunę.

- Dałbym ci spokój, gdybym sam był spokojny - mówi Camargo. - Ale nie mogę. Nie mogę pogodzić się z tym, że odeszłaś.

- To żalosne. Jak to: odeszłaś? Przecież mnie wyrzuciłeś.

- A co miałem zrobić? Zniknęłaś. Nie pojawiłaś się przez trzy dni, bez uprzedzenia. Nigdzie nie mogliśmy cię znaleźć.

- Byłam chora. Ale nie zamierzam ci się tłumaczyć. Zegnam.

- Chwileczkę, nie odkładaj słuchawki. Możemy zacząć od nowa, jakby nic się nie stało.

- Teraz to ty jesteś chory. Nie mieści mi się w głowie, jak możesz mieć czelność dzwonić do mnie. Wywaliłeś mnie z pracy. Gadałeś z wszystkimi, żeby wpisali mnie na czarną listę. Uderzyłeś mnie. Boże święty! Nie życzę ci źle. Niczego ci nie życzę. Chcę tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju.

Teraz, owszem, odkłada słuchawkę. Dosłownie nią rzuca, jak gdyby uderzenie mogło zniszczyć jego głos, jego cień, jego wspomnienie. Jak postąpiłby Petruccio, gdyby Katarzyna odpowiedziała mu tak bezczelnie jak Reina? Zamknąłby ją, nie dawał jeść ani pić: poskromienie wścieklicy. Ale to było możliwe tylko dlatego, że Petruccio, pewny siebie, zgodził się z nią ożenić. Znalazł smycz, na której ją do Siebie uwiązał. Natomiast Camargo pozwolił Reinie odejść: to był błąd w obliczeniach.

Po tym, co zrobił jej Momir, dostała za swoje. Przesadziłeś, Camargo. Trzeba było zaproponować jej coś, czemu nie mogłaby odmówić. Znowu do niej dzwonicz, pewny, że i tak nie odbierze.

A jednak widzisz, że słysząc telefon, podnosi się na łóżku. Monotonny dźwięk dzwonka wibruje między ścianami. Przez chwilę myślisz, że ona zatka sobie uszy, bo unosi ręce w błagalnym albo groźnym geście. Potem zasłania sobie piersi prześcieradłem, jak gdyby wyczuwała, że ktoś ją obserwuje. Z automatycznej sekretarki płynie jej czysty głos: "Nie ma mnie. Podaj swój numer i godzinę, o której dzwonicz".

- Reina - mówisz. - Queenie. Chciałbym wszystko zacząć od nowa. Chcę się z tobą ożenić. Na serio. Chcę się ożenić. Proszę, odbierz. Jeśli nie będę miał od ciebie żadnej wiadomości, jutro wpadnę do ciebie, żeby dowiedzieć się, co o tym myślisz. A jeśli nie jutro, to za dwa albo trzy dni.

Odsuwanie w czasie to jeden z kluczowych elementów w tresurze: dwa dni albo trzy. Ona będzie czekać, drżąc, na chwilę, kiedy wjedziesz windą, zrobisz kilka kroków na korytarzu, zatrzymasz się przed drzwiami i zapukasz. Przypomina ci się, że w jednym rozdziale *Siedmiu szaleńców* Arlta poświęconym upokorzeniu, Erdosain opowiada, że kiedy tylko zrobił coś złego, jego ojciec kazał mu iść do łóżka, mówiąc mu: "Jutro dostaniesz lanie". Noc wydawała się nigdy nie kończyć. Niebieskawy blask wdierał się do środka przez szyby. Kiedy w końcu morzył go sen, wchodził ojciec: "No, już czas". Kazał mu klękać i z okrucieństwem walił w pośladki pasem. Jutro, za dwa dni. Tak postąpisz, Camargo. Zadzwońisz do niej i będziesz powtarzał: jutro. Kiedy wreszcie staniesz przed jej drzwiami, Reina pochyli głowę, a ty każesz jej uklęknąć i nigdy już nie pozwolisz wstać.

No, już czas, mówi Camargo. Od chwili, kiedy zadzwonił do Reiny, może tylko wyobrażać sobie scenę, jak ona otwiera mu drzwi i mówi: będziemy razem. Udajmy, że nic się nie zdarzyło. Dzielnie uwagi między kobietę i gazetę osłabia go. Raz czy dwa przyłapał się na niewybaczalnym rozkojarzeniu. W pracy - nigdy. Jest tylko poirytowany i mniej tolerancyjny, ale jego talent pozostaje nie naruszony. Z pasją skomponował opis zderzenia dwóch awionetek nad Chacabuco, miejscowością na równinach, przez którą przejeżdżał, zdążając na spotkanie z Reimą w Azotea de la Carranza. Doprowadził do tego, że jeden z dziennikarzy przeprowadził wywiad z Vladimirem Montesinosem*, czarnym mnichem

Peru, w samolocie, którym wracał do Limy z panamskiego wygnania. Codziennie, sprawdzając rano wydanie "El Diario", przekonuje się, że pokonali "El Herald". Nie, to nie tutaj jego intelekt zawodzi. Widać to tylko w codziennych drobiazgach: czasami zapomina, z kim właściwie umówił się na lunch w restauracji, kiedy już jest w drodze. Skasował kolejny samochód służbowy: tym razem zagapił się i wjechał do wykopu pod instalacje elektryczne. Przód samochodu został kompletnie zmiażdżony. Pragnienie jak najszybszego powrotu do mieszkania na ulicy Reconquista doprowadza go do rozpacz. Co chwilę sprawdza osobisty telefon, żeby się upewnić, czy kobieta nie zostawiła jakiegś wiadomości. Nic. Jedynym, co przerwało to milczenie, okazał się głos Diany, która pytała go, kiedy się zobaczą. Na święta, odpowiedział. Nawet przed świętami, córeczko, obiecuję.

Reina prowadzi życie rekonwalescentki. Nie kąpie się, nie odrywa wzroku od telewizora i wstaje tylko po to, żeby zaparzyć sobie herbatę, a czasami zrobić tosty z serem. W środę rano odbyła kolejną rutynową wizytę u ginekologa. Chociaż wychodzi na ulicę prawie nieuczesana, włosy spina klamrą, a na sobie ma proste, luźne, bawełniane ubranie, porusza się z taką lekkością, wyzywając wrogi świat. Ach, nie wie, ile traci, pozbawiając się miłości Camargo: objąłby ją w pasie i opowiadając wesołe historie, wymazałby z jej pamięci burze. Już po wszystkim, Queenie, już koniec cierpień. Czujesz, jak twoje ciało oczyszcza się od wewnątrz, twoja krew się regeneruje, a ból wygasa do tego stopnia, że został już w tobie tylko popiół bólu, męczące jego wspomnienie? Spacerowaliby razem po mieście, przepelnieni szczęściem.

Po powrocie od ginekologa kobieta przegląda swoje rzeczy wiszące w szafie. Zirytowana, odkłada bryczesy i zanosz je do pralni: to znak, że znowu ich użyje, być może tej niedzieli. Tym razem Camargo nie da się zaskoczyć. O siódmej będzie czekał w innym służbowym samochodzie i pojedzie za nią, gdzie będzie trzeba. Z tego, co ustalił Sicardi, jej ojciec naprawia samochody należące

* Vladimiro Montesinos - bliski współpracownik prezydenta Peru Alberta Fujimoriego (na stanowisku w latach 1990-2000), faktyczny szef służb wywiadowczych, odpowiedzialny m. in. za kampanie antynarkotykowe i działalność skierowaną przeciwko terrorystycznej organizacji Świetlisty Szlak. Oskarżony o łamanie praw człowieka, zlecanie morderstw, tortury i liczne defraudacje. Nagrania wideo, na których uwieczniono, jak Montesinos korumpuje polityków, by udzielili poparcia Fujimoriemu, w dużym stopniu przyczyniły się do upadku tego ostatniego (przyp. tłum.).

do właściciela jednej stadniny, w Longchamps, za co pozwalają mu korzystać w weekendy z dwóch najszlachetniejszych koni ze stada: kasztanowatego araba i karego ogiera.

W tę środę oficjalna wizyta premiera Hiszpanii oraz nowiny związane z Montesinosem docierające z Limy dwa razy zmusiły Camargo do zmiany pierwszej strony "El Diano". Potrafi się skupiać na wielu rzeczach naraz, ale wydarzenia rozgrywające się poza nim nie interesują go, bo toczą się same, nie potrzebują jego kontroli. Pewnie, że opowiadając o nich, modyfikuje je. Co to ma za znaczenie? Przejmowałby się nimi, gdyby także one jego modyfikowały, ale nic na świecie nie jest w stanie poruszyć jego żelaznej osobowości, nic nie może go zmusić, żeby był kimś, kim nie chce być. Tylko ta kobieta to potrafi: to go złości. W perspektywie historii jest ona mniej ważna od zmiany pogody, blaknącego kolom, foki klaszczącej płetwami. Ale w perspektywie jego życia zajmuje tak wiele przestrzeni, że go wręcz dusi, i on nie będzie sobą, dopóki nie zredukuje jej do właściwych rozmiarów, dopóki jej nie wygna do najdalszych zakamarków swego umysłu. Jeśli kobieta się zgodzi, ożeni się z nią: osiąść ją jak przedmiot, namalować sobie na ścianie - to przyniesie mu ulgę. A jeśli odmówi? Ale przecież nie ma żadnego powodu do odmowy. To kompletnie zniszczona osoba, a on gotów jest ją odbudować, odtworzyć ją od zera.

Być może Reina przeczuwa, że to jutro albo za dwa dni, którymi groził jej Camargo, nadejdzie właśnie dziś, bo zamiast szlafroka i szala - niemal nigdy się z nimi nie rozstaje, z wyjątkiem krótkich wypadów do lekarza, apteki albo supermarketu - wciąż chodzi w długiej, luźnej, bawełnianej sukience. Zachowuje się tak jak zawsze: leży na łóżku, wpatruje się w telewizor jak zahipnotyzowana, ale przyglądając się jej przez teleskop, przed wyjściem na ulicę, Camargo odkrywa, że jej ciało stało się kłębkim nerwów: znowu zajadle obgryza paznokcie, tak niezręcznie spina włosy - a głowa jej drży, ramiona dygoczą jakby od zimna - że co chwilę jakiś kosmyk opada jej na czoło i zmusza do poprawiania fryzury. Poza tym nabawiła się nerwowego tik, na górnej wardze, tuż przy kąciku ust, co bardzo ją postarza. Wszystkie te drobiazgi motywują Camargo, uzmysławiają mu, jak bardzo nieszczęśliwie musi się czuć, jak bardzo cięży jej samotność i pasywność. Upadła już tak nisko, że teraz może tylko dziękować za każdą próbę podźwignięcia jej-

O dziesiątej, kiedy - co widział - odniosła filiżankę po herbacie do kuchni, Camargo puka do drzwi.

- Nie otworzę - mówi ona. - Kimkolwiek jesteś, nie zamierzam otworzyć.

- Przecież chyba odsłuchałaś wiadomość, jaką ci zostawiłem, Queenie - niepokoi się Camargo. Wścieka go, że musi porozumiewać się z nią krzykami, rozbrzmiewającymi w ciszy korytarza. - Zaproponowałem ci małżeństwo. Nawet jutro, jeśli zechcesz, pójdziemy do urzędu stanu cywilnego i ustalimy datę.

- Jesteś chory. Oszalałeś. Ja jestem człowiekiem, nie rozumiesz? Mam uczucia, rozum. Nie jestem twoim przedmiotem.

- Queenie, to ty nie rozumiesz.

- Nie nazywaj mnie tak. Jestem Reina. Odejdź stąd, albo będę musiała wezwać policję.

- Reina. Ty chyba straciłaś rozum. Powtarzam, że chcę się z tobą ożenić. Mówiłem, że przyjdę po odpowiedź. Jestem Camargo, nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Jestem Camargo i oferuję ci coś, czego żaden inny mężczyzna na świecie ci nie zaproponuje. A ty nawet nie raczysz otworzyć mi drzwi.

- Słyszę cię, Camargo. Wiem, kim jesteś. Nie czuję się dumna ani nie cieszy mnie to, że chcesz się ze mną ożenić. Jestem zakochana w innym mężczyźnie, mówiłam ci już.

- A w kim ty niby jesteś zakochana? Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś sama, Reina.

- Dzwonię na policję - mówi ona.

- I jeszcze masz czelność mi grozić, dziwko? Jesteś chora, zarażona, ty kurwo, oferuję ci pomoc, a ty mi odpowiadasz, że wezwiesz policję?

- Wynocha! - W jej głosie można wyczuć desperację, ale także zdecydowanie. Gdyby tak mógł zobaczyć teraz jej minę przez teleskop, mój Boże, gdyby tak mógł zobaczyć. - Zabraniam ci! - odpowiada on.

Teraz się wściekł. Kopie w drzwi, napiera na nie z siłą byka. Otwarłby je kluczem, który dał mu Sicardi, ale kobieta zainstalowała drugi zamek. Nie ma nic prostszego, niż zdobyć kopię i tego klucza, ale zaniedbał ten szczegół. Czy on musi wszystko przewidywać, ogarniać naraz tysiąc różnych myśli? Gdyby tym, co stawia mu opór, była gazeta, Buenos Aires czy cała Argentyna, wiedziałby,

jak dać temu radę. Ale te nędzne drzwi od mieszkania kobiety okazują się nie do przejścia, nie do pokonania.

- Wynocha! - powtarza ona.

Rozdział ostatni

Już od soboty wie, że kobieta wybiera się na konną przejażdżkę. Widział, jak pucuje buty i wiesza w szafie bryczesy, białą bluzkę i płaszcz z wysokim kołnierzem i złotymi guzikami, którego używała w zeszłym tygodniu. Nie spał przez całą noc. Poranek jest słoneczny, na niebie nie ma ani jednej chmury i idąc w stronę samochodu, ku swemu zaskoczeniu zdaje sobie sprawę, że słyszy niesamowity śpiew drozdów. Drozdy na tej bezdrzewnej pustyni Buenos Aires: któż byłby w stanie przewidzieć, jaki humor będą mieć te ptaki? Taksówka znowu przyjechała po nią o siódmej. Jechał za nią przez ponad godzinę długą szosą przebiegającą przez miasta na południu, ignorując wszystkie czerwone światła i nie odrywając wzroku od karku kobiety, jak gdyby ciągle wpatrywał się w soczewkę teleskopu.

Chce tylko poprosić ją o wyjaśnienia, zrozumieć, dlaczego ona go odrzuca, nie bacząc na to, kim on, Camargo, jest. Nie sądzi, rzecz jasna, żeby wciąż pociągał ją kolumbijski dziennikarz, bo przecież odrzuciła go równie zdecydowanie jak wcześniej jego. I nie mieści mu się w głowie, żeby jego jedna nieistotna rozmowa z szefami mediów w Buenos Aires, którym sugerował, żeby jej nie zatrudniali, obraziła ją tak, jakby to była jakaś potwarz. Kolejny raz kobieta zdaje się zapominać, że jedyne, co obchodzi Camargo, to chronić ją: czy kiedykolwiek wcześniej czuła się taka spełniona i taka szczęśliwa jak w "El Diano"? Zaoferował jej małżeństwo: czy to mało? Gdyby się zgodziła, przecież byłoby to ważniejsze od tamtych przeklętych podróży do Temuco i Caracas. Nawet nie musiałyby niczego więcej pisać. Przestałyby być panną Remis, stałyby się panią Camargo: jak może nie zdawać sobie sprawy z różnicy? On jej to wyjaśni. Właśnie dlatego zadaje sobie ten trud i jedzie czterdzieści kilometrów do jakiejś dalekiej stadniny na południu. Przecież nie może pozwolić na to, żeby osoba, która powinna za niego wyjść, zajmowała się jakimiś żalonymi sprawami! Na przykład w piątek, żeby daleko nie szukać, Sicardi powiedział mu, że kobieta zamierza podjąć pracę w agencji monitorującej prasę. Ta informacja oburzyła go. Sama myśl, że ona ma wycinać i przyklejać to, co inni napisali w jakimś ciasnym i brudnym biurze, obok trzech czy czterech śliniających się stażystów, wydaje mu się obrazą wobec tego, co on, Camargo, jej wpajał: duma, pewność siebie, umiejętność dziwienia się światu; tak, przede wszystkim duma. Natychmiast zadzwonił do właściciela agencji i powiedział mu, że jeśli zatrudni Reinę Remis, to on, Camargo, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nie został mu ani jeden klient. Nawet nie trzeba było podawać powodów. Trochę brutalniej musiał zachować się w stosunku do pewnego pisma internetowego, które zamierzało opublikować część eseju o bliźniaczych Mesjaszach. Jego wydawca okazał się upartym młodzieńcem, który złożył już całą stronę i właśnie brał się do jej dystrybuowania. Nie wiadomo jak, ale Sicardiemu udało się sprawić, że jego nieliczni subskrybenci zrezygnowali z jego usług: tak skończyła się ta przygoda.

Chce Reinę dla siebie i z nikim nie będzie jej dzielił. Teraz, kiedy zatrzymał samochód w pobliskim lesie i może bez obaw obserwować przez lornetkę zmysłowe ruchy kobiety, gdy wysiada z taksówki, idzie w stronę domku strażnika stadniny i bierze angielskie siodło, upewnia się, że musi ją zatrzymać za wszelką cenę. To jest odpowiednia dla niego towarzyszka, drugiej takiej nie znajdzie. Jest mniej wyrafinowana niż Brenda: ale pozorny czar jego byłej żony zniknął, kiedy próbowało się z nią poważnie porozmawiać. Brendy nie obchodziły żadne idee ani realny świat. Cała jej namiętność koncentrowała się na muzyce, a właściwie to jeszcze gorzej: na tych sześciu czy siedmiu triach, które wykonywała podczas koncertów na prowincji. Natomiast Reina ma autentyczny talent: coś nieokrzesanego, zaniedbanego, czasami grubiańskiego, ale on wie, że wypolerowanie tego to tylko kwestia czasu i tarcia. Przez te wszystkie miesiące, podczas których ją uczył, nie dopuszczał jej na spotkania biznesowe: wybiła godzina, w której powinna się pokazać i zaryzykować.

Stadnina znajduje się jakieś dwa kilometry od stacji kolejowej Longchamps i prezentuje się dużo skromniej, niż Camargo sobie wyobrażał. Między boksami dla koni, jest ich w sumie sześć, rozciąga się szeroki plac, a nieco dalej pole lucerny z dwoma albo trzema stojakami używanymi być może do skoków. Nie widać żywej duszy. Strażnik prawie na pewno znowu śpi, a ojciec Reiny pojawić się może w każdej chwili razem z innymi jeźdźcami. Widzi, że kobieta zrećnie zakłada siodło na

kasztana, poprawia mu popręg i głaszcze po głowie. Wsuwa stopę w strzemień, ale coś ją powstrzymuje. Z wyrazu twarzy Camargo odgaduje, że przeszył ją niespodziewany ból, możliwe, że w brzuchu. Kobieta, nie puszczając wodzy, łapie się tam jedną ręką. W tej sytuacji on musi wyjść i jej pomóc. Wysiada z samochodu i wychodząc ze schronienia, jakie zapewniały mu drzewa, idzie w stronę placu, gdzie Reina próbuje przemóc ból, oddychając głęboko. Wzrusza go ta jej absolutna bezbronność. Miejsce jest odludne i dzieli je zaledwie kilka kilometrów od wysypiska, gdzie pałętają się włóczędzy i paserzy najgorszego gatunku: Sicardi opowiadał mu, że napady są na tych południowych pustkowiach na porządku dziennym. Doradzał mu też, żeby nie zatrzymywał się na żadnych świątlach, bo lepiej zapłacić mandat - w razie czego - niż stracić wszystko: taksówkarz Reiny też o tym niewątpliwie wiedział, bo zachowywał się tak samo. Na wszelki wypadek Camargo wziął ze sobą rewolwer Taurus, kaliber 38, z sześcioma kulami załadowanymi do obrotowego bębna. Jeśli zobaczy jakiegoś podejrzanego typu, wystarczy, jak sądzi, że pokaże mu broń i tamten ucieknie.

Kobieta prostuje się szybciej, niż zakładał, i jednak decyduje się wsiąść na konia. Widząc, że podnosi upuszczony pejcz i z gniewną miną prostuje głowę, on próbuje znowu schronić się w lesie. Za późno: odkryła jego obecność i może tak jest lepiej. W każdej chwili może pojawić się ojciec, chociaż, jakby się nad tym zastanowić, to dlaczego Reina przyjeżdża tu tak wcześnie? Fala podejrzeń zalewa jego wyobraźnię. A może ona czeka na następnego kochanka, kogoś, z kim porozumiewa się tylko przez telefon? Bo jeśli nie, to co ona tutaj robi do późnego wieczoru. Pomyśl, Camargo, pomyśl. W południe kobieta na pewno zostawia konia i idzie do domu rodziców na lunch. Po tem wraca tu z ojcem, jeździ konno do szóstej, a potem jeszcze raz zatrzymuje się w Androque, pewnie żeby pobawić się z bratankami - ma ich dwóch - i wraca do Buenos Aires. Przedtem jeździła samochodem służbowym. Teraz prosi ojca, żeby podwiózł ją starą furgonetką. Pozostaje zatem pięć niepewnych godzin: od ósmej rano do pierwszej. Jakich jeszcze dowodów ci trzeba, Camargo? Teraz masz pewność, że będzie się gzić z następnym kochankiem, pewnie w domku strażnika, o ile to sam strażnik nie jest tym kochankiem. Ach, czujesz, że to objawienie dodaje ci sił, żeby stawić czoło rozgniewanemu i wyzywającemu spojrzeniu, jakim ona cię teraz mierzy.

- Znowu ty? Nigdy nie zostawisz mnie w spokoju?

Nie możesz pozwolić, żeby poniósł cię gniew. Nie, Camargo. Musisz głęboko oddychać, nie żeby opanować jakiś ból, tylko żeby tchnienie wydobywające się z twego wnętrza uznało słusność tego, co robisz, i nasyciło twój głos pewnością potrzebną ci, żeby powiedzieć:

- Chcę tylko zrozumieć, co się z tobą dzieje, Reina. Tak trudno ci to pojąć? Nie możesz mnie odtrącać, jakbym był nikim.

- Dla mnie jesteś nikim - przerywa ci. I odwraca się w stronę konia. Kurwa jedna.

- Chcę ci pomóc. Wiem, przez jakie okropności przeszłaś...

- Wiesz, tak? Wtykasz swój nos nawet w moje majtki, żebraku? Oczerniłeś mnie przed wszystkimi i teraz chcesz zniszczyć jeszcze moją prywatność? Myślisz, że kim ty jesteś?

Nie: to nie ta kobieta, która do ciebie należała, Camargo. Podmienili ci ją: coś zrobili z jej jasnym umysłem, urodą, zepsuli jej charakter. Ten kloaczny język, którym cię teraz chłosta, nie jest jej językiem. Jak mogłeś nie zauważyć tej zmiany, skoro ciągle obserwowałeś ją przez teleskop? Kiedyś była pszczołą lecącą do światła, teraz stała się śmierdzącą larwą. Ty, tak czy inaczej, ciągle jesteś sobą i nie pozwolisz, żeby cię wciągnęła do tego bagna nieczystości.

- Wyobraź sobie przez chwilę, że rzeczywiście nikim nie jestem - mówisz do niej. - Ten nikt to jedyna osoba, która do ciebie zadzwoniła podczas tego tygodnia, w którym zdarzyło się nieszczęście. Tylko ja poszedłem pod twoje drzwi, żeby ofiarować ci miłość i wszystko, czego zapragniesz. Każdemu innemu podałaś jakieś wytłumaczenie. Dlaczego właśnie mnie tego odmawiasz? Kobieta podnosi pejcz i drży. Kącik ust znowu zaczyna jej dygotać.

- Skończmy z tym raz na zawsze - mówi. - Co jeszcze chcesz wiedzieć, skoro wiesz o wszystkim?

- Ten mężczyzna, Kolumbijczyk, już mnie nie obchodzi.

- No to wszystko jasne. Moje życie to moja sprawa. Chodzi ci o to, co zdarzyło się między nami, prawda? Domyślam się, że to cię interesuje. To była pomyłka, Camargo. Fatamorgana. Pewnego ranka zbudziłam się, popatrzyłam na tych kilka żyłek przebiegających ci przez czoło, posiwiące włosy, indycze podgardle i zapytałam samą siebie: co ja robię u boku tego człowieka? Co zrobiłam

ze swoim życiem? Mimo wszystko nie zamierzałam cię zostawić. Ale przytrafiła mi się miłość, prawdziwa, i odsunęłam cię na bok. Teraz odejdz. Chcę pojechać.

Ach, Reino, sam już nie wiem, którą ze swych bliźniaczek jesteś. Będziesz teraz jeździć konno w twoim plisowanym fartuchu i gumowych rękawiczkach? Będziesz głaskać końską grzywę swoimi nierękami? Camargo przez całe lata czekał na tę chwilę, całe lata, i tym razem jej nie przegapi.

- Zaparkowałem samochód tam, między drzewami - mówisz jej. - Wsiądziesz teraz do niego, grzecznie, nie odzywając się ani słowem, i zostaniesz przy mnie już na zawsze. Doskonale wiesz, że mnie nie można zostawić.

- Oszalałeś - odpowiada ona.

Próbuje jednym susem wsiąść na konia, ale jesteś zwinniejszy. Łapiesz ją za ramię i przyciągasz do siebie z taką siłą, że puszcza wodze i pada na ziemię. Kasztan podrywa się, przestraszony, i odbiega.

- Ja jestem tobą. Nie możesz się ode mnie oderwać.

Kobieta waha się, czy uciekać do domku strażnika, czy stawić czoło Camargo. Masz pecha, bo bicz leży w zasięgu jej ręki. Nie może być aż tak bezczelna, żeby cię uderzyć, a jednak robi to. Wygląda na dużo większą, niż jest w rzeczywistości, kiedy chłoszcze cię pejcem przez głowę. Wydaje ci się, że to dwie kobiety - ona sama i twoja matka - gniotą się w jednym ciele.

- Ty skurwysynu! - krzyczy. - Skurwysynu! Rzuca ci pełne pogardy spojrzenie i biegnie za koniem.

- Reina - mówisz. Wydobywa się z ciebie jasny, jakby odświeżony głos.

Potem powiesz, że nie pamiętasz tego, co się zdarzyło, i być może naprawdę tak jest, bo do jakich wspomnień przyporządkować gwałtowne zderzenie przeszłości z teraźniejszością? Jak to wytłumaczyć, że wcześniej wiele razy, nieskończoną ilość razy zrobiłeś to, co zrobisz teraz? Ze spokojem wyciągasz pistolet z kabury, którą zawiesiłeś u pasa, mierzysz w plecy kobiety i naciskasz spust. Bębenek taurusa przekręca się odrobinę i kolejna kula ustawia się na linii lufy. Widzisz, jak kobieta potyka się i pada, odwraca w twoją stronę twarz z wyrazem niedowierzania i kurczowo chwyta pejcz, być może, żeby znowu cię uderzyć.

- Jak to, Camargo? - mówi.

Włosy opadły jej na jedną stronę twarzy. Usta, pobladłe, otwierają się i ukazują dziąsła. Kark odslania się i dostrzegasz lekko pulsujący pieprzyk, który tyle razy całowałeś. Ale ona to nie ona: to pomyłka, która oderwała się od twojego ciała.

- Reina - powtarzasz.

I wystrzelasz drogą kulę, tym razem z bliska, prosto w ten pieprzyk.

Widzisz, że z domku wychodzi strażnik i jakaś kobieta, szarpiąc się za ubrania i kwicząc jak świnię. Widzisz biały dysk słońca na wodnistym niebie i odnosisz wrażenie, że wszystko jest w porządku, Camargo. Znowu czujesz się czysty, tak jak w dniu, w którym przyszedłeś na świat, kiedy jeszcze nikt cię nie porzucił.

Przez kilka godzin będziesz jeździł po okolicy, po pustych drogach, przy których gdzieniegdzie pasą się krowy. Chciałbyś zadzwonić do Maestro, żeby opowiedzieć mu, co się stało, i polecić, żeby dał tę wiadomość na pierwszą stronę jutrzejszego wydania. To będzie skandal i "El Diario" musi się postarać i opowiedzieć o tym najlepiej. Zrobisz to potem. Teraz zapadasz się w ciszę, tak jak w pościel w dzieciństwie, dajesz się ponieść czułości, której nie zaznałeś, wstrzymujesz dech w pieszczących cię rękach nicości. Powietrze się nie porusza. Południowy upał jest tak okrutny, że nawet owady milczą. A jednak ktoś śpiewa - to twoja matka? Za plecami słyszysz odległą pieśń, która nie wiadomo jak i skąd się bierze i wibruje nie w twoich uszach, tylko gdzieś głębiej w tobie, Camargo, w miejscu, do którego chciałbyś wrócić i nie możesz.

Brenda niczego nie zostawia losowi. Tej nocy dom na San Isidro pełen będzie gości i najlepiej, jak stwierdziła, podać zimne dania. Lato w Buenos Aires zrobiło się bezlitosne i być może trzeba będzie ustawić stół na zewnątrz, na tarasie, z tym że nierozsądnie byłoby narażać Camargo, który nie może się ruszyć z wózka, a nie chce, żeby ludzie widzieli jego kalectwo.

Już podczas uciążliwego procesu o zabójstwo, za które nie ponosi winy, co wszyscy teraz przyznają, uwidoczniły się pierwsze symptomy bardzo rzadkiej choroby, którą lekarze zdiagnozowali, używając nazw nie do wymówienia: poliradikulonueropatia demielinizacyjna, znana także jako zespół Guillain-Barre.

Camargo twierdzi, że pierwszy sygnał pojawił się podczas pogrzebu senatora Valentiego, kiedy nagle zwiotczyły mu mięśnie nóg i Enzo Maestro musiał go podtrzymać, żeby nie upadł, ale to niemożliwe. Zaczęło się jak zwykły katar, w środku nocy, bez żadnych wcześniejszych sygnałów. Camargo stracił oddech i znieruchomiała mu lewa strona twarzy. Na całe szczęście Brenda wróciła do Buenos Aires na czas procesu, przekonana o jego niewinności, i zgodziła się odbudować małżeństwo. Jak zawsze skuteczna, wezwała taksówkę i zmusiła obsługę szpitala, żeby przyjęli Camargo na oddział intensywnej terapii. Gdyby nie to, mógłby umrzeć w pustym domu z niedotlenienia.

Choroba zachowuje się w niemożliwy do przewidzenia sposób i któregoś dnia ustąpi, tak samo niepostrzeżenie, jak przyszła. Za każdym razem, kiedy atakuje, robi to podstępnie, spływając od góry ciała w dół, albo odwrotnie, czasami panosząc się przez tygodnie albo miesiące w którejś z kończyn. Camargo, który z początku nie mógł w ogóle poruszać mięśniami ramion, któregoś dnia nie był zdolny wstać, bo słabość zeszała do nóg i okolic brzucha. Jednocześnie stracił panowanie nad zwieraczem, ale to nie martwi go tak bardzo jak utrata potencji seksualnej. Od kiedy dolegliwość zainstalowała się w nogach, libido wyparowało i nie doszło nigdy do minimalnej choćby erekcji. Przeraża go myśl, że ludzie dowiedzą się o jego paraliżu i będą snuć złowieszcze spekulacje. Pod pretekstem, że musi czymś zająć umysł, Brenda często organizuje w domu przyjęcia. Zanim przyjdą goście, sadza go za stołem i pozostawia go tam aż do chwili, kiedy wszyscy sobie pójdą, przypisując tę nieruchliwość lumbago albo złamaniu kości. Wie, że za plecami Camargo ludzie gadają o jego seksualnej niewydolności, ale pociesza ją, że przecież objaw ten może być przejściowy i że kiedyś wszystko wróci do normy. W głębi duszy jednak cieszy ją to, że może go wozić w różne miejsca i doświadczać jego rosnącej zależności. Kiedy widzi, że on ma gorszy nastrój, siada przy fortepianie i gra utwory Alkana i Gabriela Faurego.

Tego wieczoru Brenda starannie dobrała dania. Jednym z gości będzie Enzo Maestro, który zawsze przyjaźnie się do niej odnosił, zwłaszcza w przededniu procesu o zabójstwo, kiedy Camargo nie chciał jej widzieć. Ona zrewanżowała się za to Maestro, przekonując męża, żeby szefowanie "El Diario" przekazał temu właśnie, jakże wiernemu przyjacielowi.

Trudno sobie wyobrazić trafniejszą decyzję: kiedy tylko ma ochotę, Camargo dzwoni i wydaje polecenia dotyczące jakiegoś tytułu na pierwszą stronę, ale nie chce, żeby pytano go o zdanie nawet w wypadku ważnych wiadomości. Woli zachowywać dystans wobec gwaru codzienności. Krótko po zbrodni zadzwonił do Maestro ze szpitala, w którym go zamknięto, żeby zwrócić uwagę, iż "El Herald" informuje o jego sprawie bardziej szczegółowo niż "El Diario". "Czy ja muszę nad wami stać, żebyście wiedzieli, co robić? - pytał. - Nie ma już tam nikogo, kto dobrze opowiedziałby historię o miłości i zdradzie?" Wydaje się to nieprawdopodobne, ale jeśli ktoś zajrzy do ówczesnych gazet, przekona się, że to prawda.

Jego inteligencja wciąż jest tak błyskotliwa jak dawniej, ale rzeczywistość już go nie interesuje: wie, że wiadomości z jednego dnia zostaną sprzątnięte przez te z dnia następnego i że prawie żadna nie zapisze się w ludzkiej pamięci, bo nawet tragedie tego świata skazane są na śmierć, tak jak istoty ludzkie. Teraz woli spędzać czas w sali telewizyjnej, obok korytarza z geranium, przeglądając na DVD filmy Hitchcocka, Felliniego, Viscontiego i Bunuela, które od dawna chciał zobaczyć kolejny raz. Któregoś wieczora zebrał siły i puścił Noc myśliwego Charlesa Laughtona, ale chociaż od samego początku utwierdza się w przekonaniu, że to arcydzieło, zatrzymał film na scenie kazania Roberta Mitchuma o Miłości i Nienawiści, i wyrzucił płytę do śmieci. Czasami woli poczytać: nie przegapia żadnej powieści młodej literatury angielskiej, zwłaszcza Ishigura i McEwana, i bardzo polubił eseje francuskiego filozofa Gillesa Deleuze, samobójcy wyklętego tak jak Louis Althusser, którego kryminalna historia tak go fascynuje. W wolnych chwilach szlifuje teksty, które zamierza włączyć do swojej klasycznej już książki *Opuszczeni*.

Tego wieczoru Brenda postanowiła podać vichyssoise, zimną zupę z porów i ziemniaków; pieczonego indyka w sosie malinowym, sałatki i ciasto francuskie z mleczkiem pszczelim sprzedawanym przez pszczelarzy z San Isidro. Kiedy w południe pracownica cukierni dostarczyła ciasto, przyniosła też w prezencie kilka kawałków plastra pełnego gęstego miodu, trochę bardziej matowego niż zwykle. Jej zdaniem substancją tą żywią się królowe pszczół: ma dużo protein, tłuszczów i jakichś niesprecyzowanych hormonów. "Niech pan spróbuje miodu prosto z plastra, panie Camargo - zachęca go kobieta. - Skoro królowe czerpią z tego siłę potrzebną, żeby polecieć tak wysoko, to co dopiero za efekt będzie to miało u pana, prawdziwego księcia". Camargo nie odpowiada. Chociaż czuje wstręt do tych tajemniczych wydzielin pszczelich żołądków, wieczorem prosi, żeby przynie-

siono mu kawałek plastra. Przez lupę przygląda się starannym, sześciokątnym komórkom o delikatnych, a mimo to elastycznych ściankach. Chciałby trafić przypadkiem na larwę jakiejś przyszłej królowej i przebić ją szpilką.

Tej nocy nie będzie ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Jego życie zmieniło się teraz w ciąg obojętności. Może któregoś dnia, jeśli znów będzie chodził, pojedzie na miesiąc lub dwa nad morze i weźmie się do pisania powieści, która od dawna chodzi mu po głowie. Chciałby opowiedzieć historię śpiewaka o absolutnie doskonałym głosie, umiejącego osiągnąć najwyższe rejestry, któremu diaboliczna matka, z pomocą bandy uliczników, zamyka wszystkie drogi do samorealizacji. Wymyślił, że śpiewak będzie się nazywał prawie tak jak on, Carmona, a tytuł powieści mógłby brzmieć Ręka pana, choć taki zestaw słów, kojarzący się z etykietą na płytach gramofonowych His master's voice, mógł już przyjść do głowy jakiemuś innemu pisarzowi.

Pewna refleksja Gillesa Deleuze, którą wyczytał w Dialogach, motywuje go do robienia notatek do swojej książki. Deleuze mówi, że treścią każdej powieści, od Chretien de Troyes po Samuela Becketta, jest antybohater: istota absurdalna, dziwna i zagubiona, która wciąż błądzi tam i ówdzie, ślepa i głucha. Ta definicja wydaje mu się trochę za prosta, może dlatego, że jest zbyt horyzontalna. Dla niego powieść jest jak królowa pszczół, która leci do góry, na ślepo, zagarniając wszystko, co mija, wznosząc się coraz wyżej, bez litości czy skrupułów, bo przyszła na świat tylko dla tego jednego lotu. Lot ku pustce to jej jedyna дума, ale także jej przekleństwo.

Uwaga końcowa

Wszystkie postaci i miejsca opisane w tej powieści, nawet te, które wydają się zaczerpnięte z rzeczywistości, należą do świata fikcji. Inne ich odczytanie pogwałciłoby ich naturę.